SĘDZIOKRACJA I JEJ OFIARY

Łysiak mocno uderza w „nadzwyczajną kastę”

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 11/364 9–15 MARCA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dlaczego Kukiz tak się zaplątał

ASYMILACJA – CZYLI JAK SOBIE RADZIĆ Z IMIGRANTAMI Z UKRAINY

Zychowicz broni Studnickiego

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 69,5 tys. egzemplarzy

WSZYSCY NA JEDNEGO

Jak Andrzej Duda może uniknąć pułapek zastawianych przez kandydatów salonu – pisze Piotr Semka

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU: ORLEN

PARTNER: PPL Porty Lotnicze

PARTNER WSPIERAJĄCY: WARS

PATRONI MEDIALNI: wprost, Do Rzeczy

eprasa.pl 5a2134d4e1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Na froncie walki z wirusem

Trudno nie zauważyć gigantycznej dysproporcji między faktycznym zagrożeniem epidemią koronawirusa a histerią, którą wywołują doniesienia na jej temat. Nie zamierzam tu bynajmniej lekceważyć potrzeby walki z chorobą – oczywiście trzeba zachować ostrożność, dbać o higienę itd., itp. Potencjalne niebezpieczeństwo jest trochę większe niż w przypadku grypy, bo śmiertelność wynosi 3,4 proc., to prawda. Jednak wszystko to nie tłumaczy wystarczająco paniki. Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego akurat ta choroba wywołuje coś, co śmiało można nazwać zbiorową paranoją? Powodów jest kilka.

Pierwszy to zmiana na rynku mediów, a ściślej rozwój mediów społecznościowych i Internetu. Obecnie, można powiedzieć, wszyscy mają dostęp do informacji praktycznie w tym samym czasie. Mają też wrażenie, że uczestniczą w tej samej historii. Zanim epidemia do Polski dotarła – nie wiem, czy jeden potwierdzony przypadek (piszę ten tekst w piątek) pozwala w ogóle mówić o epidemii – już Polacy za sprawą Internetu zarazy doświadczali. Już uczestniczyli w tej jednej zbiorowej opowieści. Na bieżąco. Tak jakby faktycznie już to ich dotykało. To złudzenie przynależności, które daje Internet, sprawia, że dawniej odległe wydarzenia, powolnie przebiegające procesy teraz skokowo przyspieszyły.

Nie da się też ukryć, że informacja o koronowirusie dobrze się sprzedaje. Im bardziej dramatyczne relacjonowanie, im więcej mocnych przymiotników i określeń, tym większe prawdopodobieństwo, że czytelnik przeczyta. Nic tak nie napędza zainteresowania jak strach. A jeśli ktoś przeczyta, to się przejmie. Czyli błyskawicznie ulegnie, nawet podświadomie, czemuś, co śmiało można nazwać zarażeniem emocjonalnym. Ponieważ wszyscy korzystają z tych samych źródeł w tym samym czasie, panika i lęk wybuchają znacznie szybciej i mają powszechny zasięg.

Drugi to powszechne przekonanie, że człowiek jest w stanie, dzięki technologii, wszystko kontrolować. To złudzenie leży też u podstaw zaangażowania w walkę z ociepleniem klimatu, które musi być traktowane jako efekt działań człowieka. Po prostu współczesnemu człowiekowi wydaje się, że przypadek i to, co nieoczekiwane, zostały praktycznie wykluczone. Jeśli zatem pojawia się coś niechcianego lub szkodliwego, to na pewno można nad tym zapanować. W tym sensie nowa epidemia, nawet jeśli w efekcie nie musi powodować większej śmiertelności niż inne choroby, budzi lęk. W świecie, w którym żyjemy, to, co nieoczekiwane, nie ma się prawa pojawić. Szczególnie jeśli z tym, co nieoczekiwane, łączy się groźba śmierci. Śmierć, jak wiadomo, całkowicie niemal została ze świadomości wyparta, okiełznana i zamknięta w statystykach i szpitalach. Nic dziwnego, że jej nieproszony powrót budzi taką grozę.

Po trzecie, trudno nie zauważyć, że do rozpowszechniania paniki przyczyniają się, w stopniu zaskakującym, ci, od których można byłoby oczekiwać nieco rozwagi i dystansu. Nie bardzo rozumiem, dlaczego tylu biskupów zaczęło zachowywać się tak, jakby zarządzali oddziałami zakaźnymi w szpitalach, a nie troszczyli się o zbawienie wieczne dusz. Rezygnacja z wody święconej, zakaz komunii świętej do ust – wszystko to z jednej strony pokazuje zeświecczenie świadomości, z drugiej jednak przyczynia się do wytwarzania atmosfery przerażenia. Sprawa musi być śmiertelnie poważna, skoro, mogą sądzić ludzie, Kościół zdecydował się na tak drastyczne posunięcia.

Dziwne to wszystko, naprawdę. Obserwując z dnia na dzień nakręcanie się spirali paniki, mam wrażenie, jakbyśmy znaleźli się w domu wariatów. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 5a2134d4e1

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR SEMKA
WSZYSCY NA JEDNEGO
Pułapki na Andrzeja Dudę

22 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŁAPIŃSKIM
ANDRZEJ DUDA TO TRUDNY PRZECIWNIK

KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZARAZA W CZASACH MEDIÓW
Kto i po co sieje panikę wokół koronawirusa

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
EPIDEMIA W USTAWIE

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
STRZEMBOSZ NA SZTANDARZE

32 ROZMOWA Z ANDRZEJEM POZORSKIM
DOPÓKI ŻYJE SPRAWCA

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
RODZINA CHCE BYĆ RAZEM

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
DZIECI NIENAWIŚCI, DZIECI POGARDY
„Sala samobójców. Hejter" – nowy film Jana Komasy

42 ROZMOWA Z MARKIEM TELEREM
TROPAMI WYBLAKŁYCH GWIAZD

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
PROGRESIŚCI PEWNI RYCHŁEGO ZWYCIĘSTWA
„Querida Amazonia" a sprawa celibatu

53 ANDRZEJ TALAGA
WIDMO POLSKO-UKRAINY

56 ROZMOWA Z PROF. JAROSŁAWEM FLISEM
TO BĘDĄ WYRÓWNANE WYBORY

60 ŁUKASZ WARZECHA
PAWEŁ KUKIZ NA ROZSTAJACH

CYWILIZACJA

62 WALDEMAR ŁYSIAK
SPRAWIEDLIWOŚĆ
Sprzeciw wobec sędziokracji

HISTORIA

70 PIOTR ZYCHOWICZ
STUDNICKI I ŻYDZI
Renesans zainteresowania Władysławem Studnickim

ŚWIAT

74 MACIEJ SZYMANOWSKI
NAUKA Z WĘGIER
Reforma edukacji według Orbána

78 JACEK PRZYBYLSKI
NIEWYPOWIEDZIANA WOJNA

82 PIOTR WŁOCZYK
TRUMP PRZECIW CYWILIZACJI ŚMIERCI

EKONOMIA

84 ROZMOWA Z TOMASZEM JANIKIEM
GOSPODARCZA NIEPODLEGŁOŚĆ
Polska jest przeregulowana

88 TOMASZ CUKIERNIK
ZUS KONTRA MATKI

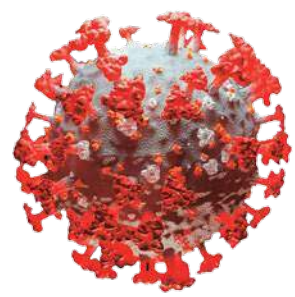

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
CO WIEMY O WIRUSIE Z WUHAN?
Epidemia SARS-CoV-2

FELIETONY:

ZIEMKIEWICZ (6), SEMKA, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (49), ZALEWSKI, WOLSKI (58), WARZECHA (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (87), KOMUDA (94), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KUCHARCZYK (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 5a2134d4e1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **A. Hulimka/Forum, T. Gołąb/GN/Forum, A. Markowicz/Wprost/Forum, R. Siderski/Forum, A. Zbraniecki/East News, montaż JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 69,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

korespondencję do rubryki „Listy" prosimy nadsyłać pocztą elektroniczną na adres: listy@dorzeczy.pl lub tradycyjną (adres w stopce obok).

„Wszyscy na emeryturę!", Piotr Gabryel, „DRz" 9/2020

Szanowna Redakcjo,
z zainteresowaniem przeczytałem felieton Piotra Gabryela pt. „Wszyscy na emeryturę!". Bardziej trafny byłby jednak tytuł: „Wszyscy mundurowi na emeryturę!". Wyłączenie w 2003 r. z powszechnego systemu emerytalnego funkcjonariuszy służb mundurowych spowodowało, że obecnie mamy do czynienia z uprzywilejowaniem mundurowych i skrajnie niesprawiedliwym systemem emerytalnym, powodującym ogromne dysproporcje w emeryturach cywili oraz mundurowych. Posłużę się konkretnym przykładem. Dyrektor szkoły, przechodząc na zaopatrzenie emerytalne, po 35 latach pracy otrzymuje obecnie ok. 2 tys. zł emerytury, zaś dyrektor zakładu karnego po 30 latach służby ok. 8 tys. zł (kwoty netto). A ta polaryzacja wysokości emerytur cywili i mundurowych będzie się jeszcze pogłębiać, gdyż mundurowi otrzymują wyższe podwyżki wynagrodzeń i ciągle zachowują prawo do obliczania emerytury z ich ostatniej pensji, co przy podniesieniu w ostatnim miesiącu dodatku służbowego do 50 proc. wynagrodzenia zasadniczego powoduje, iż często ich emerytura wynosi więcej niż ostatnia pensja!!! (Czyż to nie paradoks powodujący ogromne spustoszenie w budżecie państwa?). Należy zatem zadać rządowi pytania: Co uzasadnia aż tak ogromne różnice w świadczeniach emerytalnych między osobami z różnych grup zawodowych, ale zajmujących hierarchicznie podobne stanowiska? Czy to jest sprawiedliwy społecznie system? Kiedy system ten zostanie zracjonalizowany?
Pozdrawiam Redakcję

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Byliśmy na wczasach", Igor Zalewski, „DRz" 9/2020

Czytałem Pana świetny (jak zwykle) felieton „Byliśmy na wczasach" i przypomniała mi się zabawna sytuacja z roku 2000. Byłem w Rzymie na czterodniowej firmowej wycieczce. Idziemy grupką 10-osobową przez jakiś plac w centrum i na parkingu stoi stary sfatygowany fiat uno, brudny, zakurzony.

Kolega wpadł na pomysł: „Może napiszemy mu palcem na szybie »BRUDAS!!!«?".

Wtedy facet stojący na rusztowaniu odwraca się do nas i mówi czystą polszczyzną: „Lepiej tego nie piszcie, są tacy, którzy potrafią to przeczytać i zrozumieć".

Pozdrawiam

stały czytelnik „Do Rzeczy"

Wyjaśnienie

Jeden z tytułów na okładce poprzedniego wydania „Do Rzeczy" powinien brzmieć: „Zagadka szefowej kampanii prezydenta Dudy", a tytuł artykułu na stronie 28.: „Szefowa kampanii w świetle reflektorów". Za błąd przepraszam.

Piotr Gabryel

eprasa.pl 5a2134d4e1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

BBC przy pracy

A tak bojówki lewicy i LGBT na mszę świętą, odprawianą w Warszawie przez abp. Jędraszewskiego w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych, okazuje się jeszcze większym skandalem, niż się wydawało już w pierwszej chwili. Przypomnijmy: podczas mszy zadymiarze rozstawili się pod świątynią z tęczowymi flagami, bannerami Strajku Kobiet, hasłami obelżywymi wobec arcybiskupa i z gigantofonami, z których zagłuszali nabożeństwo ku czci Wyklętych piosenką komunistycznych partyzantów. Grupa, w której były dwie posłanki Lewicy, Anna Maria Żukowska oraz Hanna Gil-Piątek, zaczepiała też wiernych, wyzywając ich od pedofilów, a jedna z aktywistek wdarła się w trakcie mszy do kościoła, prowokując uczestników.

Wierni wykazali się ewangeliczną cierpliwością, żaden homo nie został potraktowany brutalnie i oczekiwanego materiału dla BBC nakręcić się nie udało. Niemniej społeczność LGBT może się pocieszyć, że pan Hunte był zadowolony

Nie wszyscy zauważyli jednak, że cały ten cyrk zorganizowano pod ekipę telewizji BBC i jej korespondenta Bena Hunte'a, przysłanego do Polski z zadaniem nakręcenia filmu o „strefach wolnych od LGBT" i prześladowaniach homoseksualistów przez katolicki, nacjonalistyczny reżim PiS. Oczywiście zainteresowanie sławnej z „obiektywizmu" brytyjskiej stacji i jej „pierwszego korespondenta LGBT" (tak – specjalnie dla niego stworzyła BBC taką redakcję) ogranicza się do tego, co pokazuje mu oprowadzający go po Polsce niejaki Bart Staszewski, ten, który wymyślił i poprzykręcał do polskich znaków drogowych tabliczki z napisem: „Strefa wolna od LGBT" w kilku językach, a potem rozpowszechnił ich zdjęcia na świecie wraz z kłamstwem o rzekomych „no-go zone" dla homo w naszym kraju.

Mimo jednak, że pan Bart, panie posłanki i ich trzódka wychodzili ze skóry, by przekroczyć ostatnie granice zbydlęcenia, akcja nie do końca się udała. Atakowani i na różne sposoby wyprowadzani z równowagi wierni wykazali się ewangeliczną cierpliwością, żaden homo nie został potraktowany brutalnie i oczekiwanego materiału dla BBC nakręcić się nie udało. Niemniej społeczność LGBT może się pocieszyć, że pan Hunte był zadowolony. Zamieścił na swym twitterowym koncie wyznanie, że wprawdzie pobyt w homofobicznej Polsce jest „scary" (przerażający), ale przyjemnie mu było widzieć aktywistów LGBT przy pracy.

Można się niestety spodziewać, że zwyrodnialcy obwożący „kuzyna" z BBC po Polsce nie będą mu takich przyjemności skąpić także w kolejnych dniach pobytu. ©℗

FOT. MARCIO JOSE SANCHEZ/AP/EAST NEWS

UBYWA RYWALI DONALDA TRUMPA

Do listopadowej walki o Biały Dom po stronie Partii Demokratycznej stanie zapewne zdeklarowany socjalista Bernie Sanders albo były wiceprezydent Joe Biden (na zdjęciu). Ten ostatni triumfował w większości stanów podczas prawyborczego superwtorku.
Po porażce z walki o partyjną nominację wycofał się jeden z najbogatszych ludzi świata i były burmistrz Nowego Jorku Michael Bloomberg, który na kampanię wydał z prywatnych pieniędzy ponad pół miliarda dolarów. Z wyścigu zrezygnowali też Elizabeth Warren oraz Pete Buttigieg. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

Spór o „Romana” w Radzie Dialogu Społecznego

Solidarność i ZPP zrezygnowały z udziału w Radzie Dialogu Społecznego dopóty, dopóki jej szefem będzie Andrzej Malinowski z Pracodawców RP. „Do Rzeczy” ujawniło jego agenturalną przeszłość

NSZZ „Solidarność” oraz Związek Przedsiębiorców i Pracodawców nie zgadzają się, by Radzie Dialogu Społecznego przewodniczył nadal Andrzej Malinowski. To pokłosie artykułu, który ukazał się w „Do Rzeczy” (nr 4/2019). Piotr Woyciechowski ujawnił na łamach naszego tygodnika, że Malinowski, który od 18 lat stoi na czele Pracodawców RP, był w latach 1983–1990 niejawnym współpracownikiem Agenturalnego Wywiadu Operacyjnego (AWO) o pseudonimie Roman. Malinowski zaprzeczył tym ustaleniom oraz stwierdził, że jego teczka została sfabrykowana przez PRL-owskie służby. Szef Pracodawców RP zapowiedział jednocześnie, że wystąpi do Instytutu Pamięci Narodowej o autolustrację. Tak się jednak nie stało.

Ze względu na to, że Malinowski przekonywał, iż oficerowie wywiadu wojskowego PRL sfabrykowali dokumenty, Woyciechowski złożył do naczelnika Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia zbrodni komunistycznej przez oficerów II Zarządu Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Woyciechowski wnioskował m.in. o przesłuchanie Malinowskiego, zabezpieczenie teczki personalnej „Romana” oraz powołanie biegłego, który wykona ekspertyzę pismoznawczą w celu oceny wiarygodności dokumentów znajdujących się w archiwum IPN.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Jednak pod koniec lutego IPN umorzył śledztwo w sprawie rzekomego sfałszowania teczki TW „Roman”. W praktyce oznacza to, że teczka okazała się autentyczna. W efekcie Solidarność i ZPP zrezygnowały z udziału w RDS do czasu, gdy jej szefem będzie Andrzej Malinowski. – Nie wyobrażam sobie, że będziemy współpracować z osobą, która była tajnym współpracownikiem wywiadu wojskowego. To dla nas sytuacja anormalna – powiedział Piotr Duda, przewodniczący związku. Jednocześnie Solidarność wezwała rząd i Kancelarię Prezydenta do podjęcia pilnych działań mających na celu uregulowanie kwestii składania oświadczeń lustracyjnych przez wszystkich członków RDS. ***(kga)*** ©℗

NAGRODA DLA PIOTRA LITKI

Dziennikarz, reporter i reżyser filmów dokumentalnych Piotr Litka został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Współpracownik „Do Rzeczy” otrzymał odznaczenie za swoją działalność zawodową, która buduje wspólnotę obywatelską Polaków oraz ich poczucie tożsamości narodowej. Gratulujemy! ***(kga)*** ©℗

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na dyskusję wokół publikacji

Jacka Wołoszyna
Niepodległościowa konspiracja młodzieżowa na ziemiach polskich w latach 1944/1945–1956

W dyskusji udział wezmą:

DR HAB. JACEK WOŁOSZYN – Instytut Pamięci Narodowej
PROF. MAREK WIERZBICKI – Instytut Pamięci Narodowej
DR BARTŁOMIEJ NOSZCZAK – Instytut Pamięci Narodowej

Prowadzenie:
DR JĘDRZEJ LIPSKI

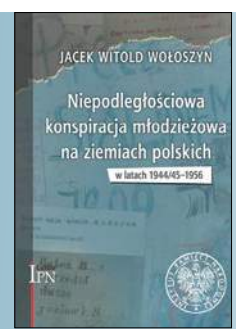

11 marca 2020 (środa) godz. 17:00

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Organizatorzy: INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ, PRZYSTANEK HISTORIA

Patroni medialni: TVP HISTORIA, DO RZECZY, DZIEJE.PL, BIULETYN IPN

eprasa.pl 5a2134d4e1

Trudne słowo „przepraszam”

PIOTR SEMKA

Manfred Weber z chadeckiej CSU pozytywnie odniósł się do użycia przez greckich pograniczników gazu łzawiącego przeciwko uchodźcom starającym się przedostać z Turcji do Grecji. „Granica zewnętrzna [UE – przyp. P.S.] musi być chroniona” – podkreślił w wywiadzie dla telewizji ARD. „Jeżeli uchodźcy rzucają kamieniami, to użycie gazu także jest słuszne” – stwierdził. „Poza tym winę za zaistniałą sytuację ponosi turecki prezydent Erdoğan, ponieważ zezwolił na dowiezienie uchodźców autobusami na granicę z Grecją” – dodał Weber.

Bundestag zagłosował przeciwko złożonej przez partię Zielonych propozycji przyjęcia kilku tysięcy kobiet i dzieci przebywających w obozach dla uchodźców w Grecji. Solidarnie głosowała przeciw ustawie cała koalicja CDU/CSU z SPD. Partia Zielonych proponowała sprowadzenie „5 tys. opuszczonych dzieci, samotnych kobiet, kobiet w ciąży oraz osób szczególnie poszkodowanych przez pobyt w przepełnionych obozach w Grecji”. Projekt przewidywał też finansową i humanitarną pomoc dla greckich władz. Deputowani SPD tłumaczyli, że nie sprzeciwiają się przyjęciu przez Niemcy uchodźców, ale musi to odbyć się na mocy całościowego, europejskiego rozwiązania. Zmiana tonu jest więc widoczna.

Nikt nikomu nie zabrania wyciągania wniosków z przeszłości. Decyzja Angeli Merkel z 2015 r. o szerokim otwarciu granic przyniosła Niemcom prawie milionową imigrację, która z czasem przyczyniła się do kryzysu niemieckiej demokracji. Po pięciu latach od triumfu Willkommenskultur połowa przybyszy dalej nie ma pracy. Niektórzy z przyjętych wzięli potem udział w zamachach terrorystycznych. Opór wobec imigracji wywindował skrajną partię AfD do poziomu jednej z wiodących sił politycznych we wschodnich landach. Nic dziwnego, że Angela Merkel tym razem nie chce powtórki z wydarzeń z 2015 r.

Tyle tylko, że pięć lat temu na Węgry, kraj znajdujący się wówczas w identycznej sytuacji jak dziś Grecja, sypała się ze wszystkich stron niemieckiej sceny politycznej i medialnej krytyka za to, co robi teraz rząd w Atenach. Obrzucano Orbána błotem, że broni swojej granicy przed tłumami uważającymi, że Angela Merkel ich zaprosiła do siebie i mają święte prawo przejść do niemieckiego raju przez kraj Madziarów bez zgody tamtejszego rządu. Polska i Węgry, które wówczas wskazywały, że taka niekontrolowana imigracja przyniesie poważne problemy, były odsądzane od czci i wiary. „Kto tak jak Węgry wznosi mur na granicy, ten rezygnuje ze wspólnych wartości europejskich podobnie jak te kraje, które sprzeciwiają się kwotom dla uchodźców, ponieważ nie chcą u siebie przyjmować obcych” – pisała wówczas jedna z niemieckich gazet.

Dzisiaj obowiązuje już inna linia i komentatorzy znad Renu i Szprewy chwalą Greków za obronę swoich granic. Tylko jedno słowo jakoś nie może im przejść przez gardło. Słowo „przepraszam” dla Budapesztu i Warszawy za to, że już pięć lat temu broniły zdrowego rozsądku. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

Fabryka fejkniusów

Bieżąca kampania prezydencka i epidemia koronawirusa zepchnęły gdzieś na dalszy medialny tor ideologiczny spór przez wiele miesięcy toczony w Polsce wokół ideologii LGBT i zagrożeń, które niesie ze sobą propaganda gender. Tyle że walec tej wywodzącej się z marksistowskiego pnia ideologicznej rewolucji ma w nosie polską politykę i toczy się dalej.

Właśnie do Polski przyjechał niejaki Ben Hunte, reporter brytyjskiej BBC, którego doświadczenie dziennikarskie sprowadza się głównie do realizacji materiałów o aktywistach LGBT. Temat zleconego mu reportażu to „strefy wolne od LGBT”. Przy czym fakt, że takich stref w Polsce nie ma, kierownictwu stacji, która wyemitowała już niejeden fejknius na temat Polski, bynajmniej nie przeszkadza. Przewodnikiem po temacie jest Bart Staszewski, działacz LGBT, który przy wjazdach do kilku miejscowości ustawił fejkowe tablice „LGBT free zone”, czym nakręcił całą spiralę kłamstw.

„Pierwszy dzień był przerażający” – ogłosił na Twitterze pan Hunte. Dodał: „To straszne widzieć, przez co przechodzą tu działacze LGBT”, po czym na pytanie, co go tak w pełnej swobód obywatelskich Polsce przeraziło, zamilkł. Wyręczyli go aktywiści środowisk LGBT przekonujący, że Polskę terroryzują: „homofobia”, „religia katolicka”, „prawicowcy”, „Kościół” i „zakaz aborcji”.

Przekaz oparty na opiniach aktywistów LGBT pójdzie w świat przy milczeniu osób odpowiedzialnych – jak np. cyklicznie zmieniający się prezesi Polskiej Fundacji Narodowej – odpowiedzialni za wizerunek Polski w świecie. Wiara, że prawda się sama obroni, jest takim samym nonsensem jak opowieść o strefach wolnych od LGBT. A warto, by zwłaszcza w tym przypadku, powalczyć o nią na sali sądowej. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O harcach na grobach

Gdy piszę te słowa, liczba ofiar śmiertelnych koronawirusa w Italii przekroczyła 50, a zarażonych – 2 tys. Wśród mniej tragicznych i groźnych, acz irytujących skutków ubocznych jest to, że w radiu i telewizji nie mówi się o niczym innym. Niestety, dyskusje szybko przepoczwarzają się w karczemną awanturę. Bardzo potrzebnym występom naukowców objaśniających korowirusa towarzyszą rzewne popisy polityków. Opozycja zarzuca rządowi, że robi za mało i za późno, a rząd opozycji, że próbuje wykorzystać tragedię do własnych celów politycznych.

Najgorsze jest jednak to, że w tych programach biorą również udział tzw. intelektualiści, którzy wygadują żenujące banały i niestworzone głupoty, bo o materii nie mają zielonego pojęcia. Dzielnie wtórują im dziennikarze, którym wydaje się, że naród umiera z ciekawości, by usłyszeć, co oni o koronawirusie myślą.

Festiwal zacietrzewienia i głupoty trwa w najlepsze, a dalece największym kretyństwem popisała się superpostępowa pisarka Michela Murgia. Niewiasta znana jest w Italii nie tyle z powodu swojej twórczości, ile z opracowania „faszystometru", czyli testu zamieszczonego w lewicowym tygodniu „L'Espresso", który dzięki odpowiedziom na wiele pytań miał wykazać, kto jest modelowym liberałem i postępowcem, a kogo poglądy lokują na prawo od ideologii wyznawanej przez Iwana Groźnego. Notabene coś z testem było nie halo, bo wykazał, że intelektualna czołówka lewicy to w istocie protofaszyści, i wybuchła awantura.

Otóż postępówka oświadczyła w występie telewizyjnym, że byłoby dobrze, gdyby epidemia potrwała jeszcze trochę, bo dzięki niej można podróżować pustymi tramwajami, autobusami i samolotami, a przy okazji spokojnie obejrzeć wystawę czy zwiedzić muzeum bez tłoczącego się plebsu.

Na kanwie zarazy powstały arcydzieła światowej literatury: „Dżuma", „Dekameron", „Opowieści kanterberyjskie" czy „Dziennik roku zarazy". W roku koronawirusa na razie błysnęła tylko Murgia. O tempora, o mores! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zbrodnia prawie doskonała

Wydaje się, że w Polsce nie ma już rzeczy, które nie miałyby kontekstu politycznego. Weźmy np. wirusa z Chin. Co można z niego zrobić nad Wisłą? „Istnieje przypuszczenie, że rząd wie o przypadku #koronawirus, o którym nie informuje opinii publicznej" – napisał zaniepokojony Michał Szczerba. „Czy jeszcze ktoś wierzy w to, że w wielu krajach sąsiednich są osoby zakażone, a w Polsce nikt? Bardzo bym chciał, aby to było prawdą" – powątpiewał Robert Kropiwnicki.

Niektórzy jednak nie bawili się w niuansowanie. „Wzywam premiera Morawieckiego i rząd do ujawnienia prawdy o przypadkach koronawirusa w Polsce. Bezpieczeństwo Polek i Polaków jest najważniejsze" – zaapelowała Małgorzata Kidawa-Błońska, ale zamiast wdzięczności spotkało ją złowrogie niedowierzanie. „Zadziwiające, jak mocno opozycja lansuje spiskową teorię ukrywania pierwszego przypadku koronawirusa. W taką operację musiałoby być zaangażowanych co najmniej kilka osób, ryzyko wycieku info było ogromne. I nie za bardzo widać cel" – stwierdził Konrad Piasecki.

Do porządku przywołał go jednak jeden z najtęższych umysłów Platformy. „Cel jest prosty: ogłosić pierwszy przypadek koronawirusa na 30 minut przed rozpoczęciem Konwencji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej! Brak Panu Redaktorowi intuicji politycznej – zupełnie :(" – ubolewał Jan Vincent-Rostowski. Wydawało się, że trafił w sedno. „Lata badań, miesiące przygotowań, wynajęcie poprzez łańcuszek fasadowych firm biolaboratorium w Wuhan – wszystkie te drobiazgowo planowane działania rządu PiS już niedługo osiągną zamierzony cel – odwrócenie uwagi od konwencji Małgorzaty Kidawy-Błońskiej" – przyznał wicerzecznik partii Radosław Fogiel.

A potem? Cisza. W konwencji nikt nie przeszkodził. „Cel BYŁ może prosty, ale stał się nie do osiągnięcia po pytaniu na Twitterze zadanym przez Kidawę-Błońską. Teraz mają problem: ogłoszenie nastąpi dziś/jutro czy później? Jak dziś/jutro, to znaczy, że pytanie było zasadne. Jak później, to grożą im: epidemia, niedowierzanie i dochodzenie prawdy" – wyjaśnił Rostowski. Bohater, na którego nie zasługujemy. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

JAK NIE IDZIE, TO NIE IDZIE

Trenerka wszystkich Polek Ewa Chodakowska nie ma ostatnio dobrej passy. Najpierw została oskarżona przez swoje fanki, które poczuły się przez nią wykorzystane i zmanipulowane, a teraz kolejne ciosy. Jedna z firm świadczących usługi fotograficzne ujawniła propozycję biznesową, którą dostała od współpracowniczki Chodakowskiej. Chodziło o zdjęcia z urodzin siostrzenicy Chodakowskiej. Sęk w tym, że zamiast wynagrodzenia fotografowi zaproponowano barter w postaci umieszczenia nazwy firmy na profilu celebrytki na Instagramie. „Jestem pewna, że o tej imprezie będzie mówiło całe Podkarpacie jak i wszystkie social media" – pisze współpracowniczka Ewy. „Dożyliśmy czasów, kiedy milionerzy ustami swoich współpracowników błagają o pracowanie dla nich za darmo zamiast normalnie, cywilizowanie zapłacić za czyjąś pracę. Proszą nie tylko o usługi dla siebie, ale także dla swojej rodziny" – napisała firma, która postanowiła upublicznić tę jakże atrakcyjną ofertę. Sprawa zbulwersowała wielu fotografów, głos zabrało Stowarzyszenie Fotoreporterów. Jednym słowem, rozpętała się wokół Ewy ogromna burza. Ona sama nie kryła oburzenia. – Jeśli z takiej bzdury: „Chodakowska umawia się na barter" robi się aferę na skalę gwałtu, to ja się czuję ofiarą! Hejt to przemoc – wyznała. Każdy – na hura – kto mnie „nie trawi", może rzucić kamieniem. Kamienowanie opanowane do perfekcji – narzekała. Za porównanie do gwałtu znów spadła na nią lawina krytyki, w efekcie której musiała przepraszać. Może niech przez jakiś czas Ewa nic już nie mówi, nie pisze, nie komentuje. Wszystkim to wyjdzie na dobre. Najbardziej jej samej. I żeby była jasność, ta rada jest w pełni darmowa. Żaden tam barter.

EKSPERCKA DIAGNOZA

Beata Tadla postanowiła poprzeć Macieja Orłosia, który zaapelował do swoich znajomych z TVP, by mieli odwagę powiedzieć „dość" i wyrazić oburzenie tym, co robi ich pracodawca. Orłosia oburzyło to, jak TVP wyśmiała Kingę Rusin za jej słynną relację z prywatnej imprezy u Beyoncé. Tadla, która podobnie jak Orłoś pracowała kiedyś w TVP, wyznała, że „podpisuje się pod apelem". – Uważam, że nie należy się wypowiadać dla telewizji publicznej. Jeśli już, to korzystać z programów na żywo – oczywiście licząc się z tym, że zakrzyczą nas pozostali goście, odpowiednio sformatowani, a także dziennikarz przychylny tym gościom. Ale przynajmniej jest szansa, że wypowiemy coś na żywo i nikt tego nie wytnie. Jeżeli zgadzamy się na wypowiedź, która będzie później wypuszczona w formie krótkiego fragmentu, to rzeczywiście lepiej tego unikać. Nigdy nie wiadomo, w jaki kontekst się trafi, w jak sugestywne ramy nas wpiszą – radzi Tadla. Brzmi jak ekspercki opis standardów, które obowiązywały w TVP, gdy pracowała tam pani Tadla. Wszak każdy mierzy swoją miarą, prawda?

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GROMADA

W GAZECIE JAK NA KOZETCE

Dziwi nas, że Krystynie Jandzie jeszcze się nie znudziło narzekanie na PiS i udzielanie wywiadów o tym, jaki ten rząd jest okropny. Równie mocno dziwi nas, że są gazety, które wciąż chętnie tego wysłuchują i to publikują. Ale są. Należy do nich na przykład „Gazeta Wyborcza", która zagaiła rozmowę z aktorką pytaniem „Jak się pani żyje w Polsce PiS-u?". Janda tak trudnego pytania się nie spodziewała, zareagowała więc nader emocjonalnie. – Ojej, to jest pytanie killer! Jakby mnie pani uderzyła w głowę tasakiem, od razu! – odpowiedziała. Nie dociekając, skąd pani Janda wie, jak się czuje człowiek uderzony w głowę tasakiem, przeczytaliśmy wynurzenia pani Jandy do końca. Niczego nowego się specjalnie z nich dowiedzieć nie dało, ale po raz kolejny aktorka przyznała, że to, iż tak bardzo udziela się publicznie, jest silniejsze od niej i nie potrafi nad tym zapanować. – Tak, protestuję, odzywam się, zamieszczam, to jest silniejsze ode mnie. Nie potrafię sobie odpuścić żadnego dnia. Przebudzeniu i zasypianiu towarzyszy śledzenie tego, co się stało, jak się stało, dlaczego się stało. Koszmar – zwierza się. Cały czas „Gazecie Wyborczej" zamiast terapeucie.

CHWIEJNA ŁASKA WYBORCY

O ile Janda swoimi wywodami nikogo już nie zaskakuje, o tyle wszystkich zaskoczyła znana ze swoich antypisowskich poglądów Maria Nurowska, która dla odmiany skrytykowała kandydatkę Koalicji Obywatelskiej Małgorzatę Kidawę-Błońską. Za co? Za jej słowa dotyczące uchodźców. Kidawa-Błońska stwierdziła bowiem, że trzeba pomóc Grecji w powstrzymaniu kolejnej fali migrantów, pilnować naszych granic i „czuwać, żeby nikt niepowołany w naszym kraju się nie znalazł". Te słowa tak bardzo oburzyły panią Nurowską, że oznajmiła, iż w tej sytuacji nie będzie głosować na kandydatkę Platformy. – Jeśli Małgorzata Kidawa-Błońska naprawdę coś takiego powiedziała, to dla mnie przestaje się liczyć jako człowiek i kandydatka na prezydenta mojego kraju – napisała Nurowska na Facebooku. Ciekawe, kogo teraz poprze. Ktokolwiek to będzie, już dziś powinien zacząć się bać. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER

Grupa Inwest®

HM Inwest S.A.

eprasa.pl 5a2134d4e1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż w tym kraju koronawirusosoba pojawiła się dość późno, musimy podkreślić, iż jest to między innymi ciężka praca opozycji, która niejednokrotnie apelowała, iżby rząd ogłosił, jaka jest prawda.

No i wreszcie pod presją opozycji rząd się ugiął i ogłosił, iż pierwszy przypadek koronawirusoosoby pojawił się w Zielonej Górze – blisko granicy niemieckiej, na wypadek, gdyby wirus po zobaczeniu, jak wygląda ten kraj, postanowił się jednak wycofać do Niemiec.

Na tym przykładzie widać również, w jakim stopniu zachowanie podstawowych mechanizmów demokratycznych i jawności życia publicznego zależy od merytorycznej, silnej i sprawnej opozycji. Czujemy więc, iż jesteśmy w bezpiecznych rękach. Of kors, jak już się uda odstawić PiS od władzy.

Pod presją opozycji rząd się ugiął i ogłosił pierwszy przypadek koronawirusoosoby

Beka, rząd postanowił walczyć z wykluczeniem komunikacyjnym i postanowił w tym celu wdrożyć program „Kolej plus". Tym samym zwiększy dostępność transportu kolejowego w mniejszych ośrodkach.

W czasach, kiedy świat stawia na elektromobilność, my będziemy, rząd będzie wysyłał w ten kraj parowozy zasilane węglem z polskich kopalni – iżby przy okazji rozwiązać problem ze środkami na piętnastki dla górnictwa.

Dodatkowo widzimy taki problem, iż janusze z małych ośrodków mogą otrzymać możliwość łatwiejszego transportu do większych ośrodków miejskich. Budzi to w nas pewien niepokój i lęk. Nie chcielibyśmy naruszenia naszej miękkiej tkanki miejskiej przez wąsatych januszów z Podkarpacia, którzy nie rozróżniają LGBTQWERTY od LPG i Starbunia od baru mlecznego.

Za nami kolejne okropne „święto" celebrowane przez wszystkich januszów tego kraju, a więc Dzień Kobiet. Okoliczność w oczywisty sposób wskazująca waginoosobom, gdzie ich miejsce w patriarchacie, spychająca je na margines poprzez poświęcenie im wyłącznie jedynego dnia w roku, który w całości poza tym należy do mężczyzn.

Chcieliśmy w korpo ogłosić bunt przeciw obchodzeniu Dnia Kobiet, jednak Nowy z Tarnowa był szybszy – na każdą frendziarę z kolektywu na biurku czekały rano goździk, czekoladki i rajstopy. Oczywiście Nowy nie sprawdził, jakiej kto w naszym kolektywie jest tożsamości, kierując się wyłącznie kryterium płci biologicznej.

Podejrzewamy, że podobnie wyglądało to w wielu miejscach pracy w całym tym kraju. Obawiamy się, iż potrzeba kilku zmian pokoleniowych, aby odwrócić perspektywę i zepchnąć mężczyzn na margines, a w ich dzień wręczać im piwo, maszynki do golenia czy skarpetki. Ciekawe, czy by się im to podobało... ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Specjalny stoliczek

Jola, miałaś tu kontrolować, jak to wszystko wygląda. Zamiast tego łazisz po telewizjach, a mnie robią jakieś idiotyczne zdjęcia!
Andrzej, nie przesadzaj. Widziałam tę fotkę na peronie, bardzo godnie wyszedłeś. Skromnie tak. Na skromnym peronie skromny prezydent przy skromnym stoliku blisko skromnych ludzi...

No właśnie: nie blisko! Widziałaś, gdzie ich postawili? Dziesięć metrów ode mnie!
Wiesz, zasady bezpieczeństwa. Ale i tak dość blisko. A pamiętasz Brąka, jak podpisywał różne rzeczy byle gdzie?

Pamiętam, pamiętam. Chcesz powiedzieć, że mam tak samo beznadziejną kampanię jak on?
No... Nie, oczywiście. Następnym razem, jak będziesz coś podpisywał w terenie, to będziemy wozić ze sobą specjalny stoliczek. Albo przynajmniej taki obrus zielony, żeby ładniej wyglądało.

Mam nadzieję. Bo w ogóle się tam skupić nie mogłem.
Ale – dlaczego?

Wzięli ten stolik z jakiejś szkoły czy świetlicy chyba. Ja tu mam podpisywać ważną ustawę, a tam czytam wyskrobane na blacie: „Baśka, kocham cię".
A odpowiedź jakaś była? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jak PiS mówi, żeby opozycja nie grała koronawirusem, to wiadomo, że sam zaczyna nim grać. Teraz wykorzystuje koronawirusa do ograniczenia praw obywatelskich".

***TOMASZ LIS**, publicysta, na Twitterze*

eprasa.pl 5a2134d4e1

REPUBLIKA

Salonik POLITYCZNY

RAFAŁA ZIEMKIEWICZA

11:00
NIEDZIELA

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 5a2134d4e1

No i jest! Przyszedł! Nazywa się SARS-CoV-2, w skrócie koronawirus! Jest już z nami w Polsce! W kręgach odpowiedzialnych za zwalczanie wszelakich zaraz po informacji, że mamy w Polsce pierwszy przypadek, rozległo się głębokie westchnienie ulgi. Po prostu chłopaki mieli już po kokardę cymbałów głoszących, że bakcyl w Polsce jest, tylko PiS to ukrywa. Jakby to powiedziała Angela Merkel: „Panie bakcylu, herzlich willkommen".

Głupia sprawa. Po informacji, że zarażonym osobnikiem jest były kandydat PiS do Sejmu, poważnie bierzemy pod uwagę możliwość, że PiS specjalnie go posłał do Nadrenii, by przywiózł koronawirusa. Nie byłby to pierwszy przypadek wykorzystania byłego PiS-owca do krzyżowania planów wroga i siania popłochu. Na przykład Misio Kamiński, prawda?

dwaj panowie g

Z okazji pojawienia się w Polsce koronawirusa doszło do licznych występów kabaretowych. Na przykład Tomasz Siemonko Siemoniak z Peło przedstawił premierowi Mateuszowi „oczekiwanie wyłączenia sprawy walki z koronawirusem z bieżącej kampanii politycznej". Zrobił to gość, którego były kolega z rządu, niejaki Jan vel Vincent vel Jacek Rostowski, publicznie rozgłaszał tezę, jakoby w Polsce wirus był od dawna, ale rząd to ukrywał, by odpalić wiadomość pół godziny przed konwencją wyborczą Kidawy.

Najpiękniejsza jest jednak Eine Totalopposition, kiedy się waha. Na przykład raz śmieje się z koronawirusa, że to wszystko pic na wodę fotomontaż i jakieś kwadratowe jaja, a raz, dla odmiany, grzmi, że nieudolny rząd nie daje sobie rady z apokaliptycznym zagrożeniem i wszyscy umrzemy. To się, proszę państwa, nie składa. Nie jesteśmy zdziwieni.

Mamy prośbę do wyborców Peło: Tak, słuchajcie tych polityków i róbcie wielkie zakupy na zapas. Zakupy napędzą polską gospodarkę

Jeszcze o koronawirusie. Mamy prośbę do wyborców Peło, której politycy straszą w tej sprawie – tak, słuchajcie ich grzecznie i róbcie wielkie zakupy na zapas. Konsumpcja, jak wiadomo, napędza polską gospodarkę. Od tego rośnie polski PKB. Nasze hasło na dziś to zatem: „Słuchając PO, wzmacniasz PiS!".

Przy okazji wykrycia w Zielonej Górze pierwszego delikwenta chorego na koronawirusa objawiła nam się nowa mini-Kopacz. Też ma krótkie włosy, okulary, jest z Peło i przejawia niepokojącą agresywność oraz daleko posuniętą emocjonalność. Nowa Kopacz nazywa się Elżbieta Polak i jest marszałkiem województwa lubuskiego. Na konferencji prasowej o koronawirusie pierwsze, co zrobiła, to nakrzyczała, że województwo chciałoby sto melonów złotych, ale zły rząd nie dał. Prawdziwa Ewka Kopacz siedzi w Brukseli, musimy więc zadowolić się podróbką.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 5a2134d4e1

W cieniu walki z koronawirusem szerzy się inna epidemia. To epidemia woronowirusa. Woronowirus przejawia się w olbrzymiej chęci dokonania daleko idących zmian na Woronicza. Stąd chryja o rekompensatę dla mediów publicznych i rozterki prezydenta Andrzeja Sebastiana. Mało kto wie, że rozterki te podziela sporo ważnych polityków Zjednoczonej Prawicy, o ile tylko nie są ani Ziobrą, ani Kaczyńskim. Jarosław Gowin bowiem od dawna wraz z Andrzejem Sebastianem oczekiwał zmian w kierownictwie TVP. A źli ludzie opowiadają, że i premier Mateusz nie byłby z tego powodu nieszczęśliwy.

Wszelkie sprawy w CBA, w których pojawiają się tzw. duże nazwiska, zostały odłożone na „po wyborach"

Z dziennika kampanii wyborczej. Dementujemy. Nieodpowiedzialne czynniki rozpowszechniają wiadomość, jakoby autobus dudabus, który ruszył w Polskę, był tym samym autobusem co pięć lat temu. Nieprawda. Autobus dudabus jest inny i kierowca też jest inny. Pięć lat temu prowadzić go mógł ktokolwiek, teraz musi to być funkcjonariusz Służby Ochrony Państwa.

Z autobusem dudabusem wiąże się jednak ciekawa historia. Otóż sztab prezydenta Andrzeja Sebastiana zamówił w PiS autobus na 49 osób. Tymczasem podstawiony został taki na 39 osób. Trzeba było ruszyć z tym, co było, ale podmianka na właściwą ładowność już nastąpiła. I nikt się nawet nie zorientował. To znaczy my się zorientowaliśmy, ale znacie nas, tacy już jesteśmy.

À propos kampanii. Informujemy, że do 10 maja (albo do 24 maja, to się okaże) rozmaici źli ludzie mogą spać spokojnie. Wszelkie sprawy w CBA, w których pojawiają się tzw. duże nazwiska, zostały odłożone na „po wyborach". Oficjalnie padła komenda, że „sprawy mają zostać ponownie przeanalizowane". A to, jak wiadomo, wymaga czasu. Nieoficjalnie nikt nie chce dawać oręża do ręki opozycji do oskarżeń, że w kampanii zawijani są przeciwnicy polityczni. I powiedzcie, że nasza władza nie ma dobrego serduszka. A co, zapytamy bezczelnie, jak się okaże, że tzw. duże nazwiska są nosicielami koronawirusa?

Skoro już o CBA. Po wymianie Ernesta Bejdy na nowego szefa, Andrzeja Stróżnego, nie koniec zmian. Do odejścia szykują się dwaj zastępcy Bejdy. Jest jednak problem ze znalezieniem ich następców. I tutaj musimy zdradzić jedną z największych tajemnic polskich służb specjalnych. Zważywszy na zakres odpowiedzialności, szefom oraz ich zastępcom płaci się raczej słabo. Pytano kilku prawników, głównie prokuratorów, czy nie przeszliby do abecadła, ale regularnie odmawiają. Zbyszek ZiZou Ziobro hojniej wynagradza swoich ludzi.

Kiedy myślimy „CBA", od razu, nie wiedzieć czemu, przychodzi nam do głowy coś związanego z Platformą Łobywatelską. Ostatnio na przykład zdanie z konwencji Kidawy, która ogłosiła, że „wierzy w państwo, które chroni obywateli". Taki niby-przytyk pod adresem złego autorytarnego PiS. W sumie zgadzamy się z Kidawą, tylko sądzimy, że chodziło jej o inne państwo. Tak, państwo Kidawy, Tuska i Scheta broniło obywateli. Obywatela Gawłowskiego, obywatela Kwaśniewskiego, obywatela Wałęsę, obywatela Burego. Głównie przed wymiarem sprawiedliwości.

Jesteśmy zmartwieni. Coś niedobrego dzieje się w Eine Totalopposition. Najbardziej martwi nas piątka programowa kandydacicy na prezydencicę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Pamiętamy bowiem, że za Schetyny były szóstki programowe, to znaczy sześciopak, a właściwie trzy sześciopaki, czyli 18-kołowiec. Wychodzi na to, że Kidawa jest od Grzegorza gorsza o jeden punkt – albo o punktów 13, zależy, jak szeroko patrzeć.

Liczenia ciąg dalszy. Obywatel kandydat Hołownia Szymon ogłosił, że ma aż cztery hasła wyborcze. Wszystkie nam się podobają. Najbardziej „Dość partyjniactwa!". Tak oto Szymon został nowym Kukizem. Musiało do tego dojść, wszak natura nie znosi próżni, a skoro Paweł Kukiz zakłada partię K-15, to już nie może zwalczać partyjniactwa. Proste.

Cztery hasła Szymona przypomniały nam czasy, kiedy lewica postanowiła w Polsce przed wyborami parlamentarnymi przedstawić sto punktów programowych. Co było o tyle zabawne, że – jak powie wam każdy spec od kampanii – elektorat ma kłopot z zapamiętaniem nawet trzech. Dlatego kampanie wygrywa się jednym hasłem, które powtarza się do znudzenia. Trzeba tylko wiedzieć, jakie to hasło. Ponieważ jesteśmy ludźmi dobrymi, pomożemy Szymonowi. Wymyślimy mu jedno hasło. Może brzmieć na przykład: „Szymon Hołownia – mam cztery hasła!".

Wracając do Kukiza. Rozbawiło nas nieco oświadczenie Pawła, że partię zakłada, gdyż chce tego dziś 90 proc. działaczy ruchu. Z naszych informacji wynika bowiem, że zawsze 90 proc. działaczy chciało partii, tylko Paweł się nie zgadzał. Ale wystarczyło, że ludzie zaczęli myśleć, że Kukiz wstąpił do Peezelu, i od razu zmienił zdanie. Nie dziwimy się. Gdyby o nas tak mówiono, też byśmy wpadli w popłoch.

À propos Peezelu. Pozwalibyśmy Władysława Kosiniaka-Tygrysa. Znaczy nie my jako my, tylko gdybyśmy byli na przykład bankiem PKO BP. Tak się bowiem składa, że to w ofercie tego banku jest kredyt hipoteczny „Własny kąt". A Władek Tygrys tak nazwał swój program pomocy młodym w zdobyciu mieszkania. A może czegoś nie wiemy? Może powinniśmy do Tygrysa zwracać się per „ambasador marki PKO BP"?

Jednym z ambasadorów polskiej kultury za granicą jest Agnieszka Holland (tak, wiemy, jak fatalnie to brzmi). Ostatnio na festiwalu filmowym w Berlinie ambasadorowała jednak bardziej Czechom, gdyż przywiozła swój nowy film wyprodukowany właśnie u naszych południowych sąsiadów. Film nosi tytuł „Szarlatan" i jedną z jego głównych atrakcji są homoseksualne sceny męskie z udziałem ludzi w hm… mocno podeszłym wieku. Niniejszym zawiadamiamy Kampanię przeciw Homofobii, że powinna zainteresować się niecną działalnością Holland. Zbyt wielu ludzi wychodząc z kina, dzieliło się opinią, że dawno nie widzieli czegoś hm… tak odpychającego. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

Agreement for Bringing Peace to Afghanistan
إتفاق إحلال السلام في أفغانستان
افغانستان ته د سولې راوستلو تړون
موافقتنامهٔ آوردن صلح به افغانستان
Doha Qatar 29 February 2020 الدوحة قطر ٢٩ فبراير ٢٠٢٠

KONIEC NAJDŁUŻSZEJ WOJNY AMERYKI

Amerykański minister obrony Mark Esper oraz mułła Baradar, jeden z kluczowych dowódców talibów, podpisali w stolicy Kataru porozumienie pokojowe. Tym samym oficjalnie zakończył się trwający od 18 lat konflikt zbrojny, który przejdzie do historii jako najdłuższa jak dotąd wojna prowadzona przez Stany Zjednoczone.

Prezydent Donald Trump zapowiedział już w Waszyngtonie, że wycofywanie 5 tys. z obecnych 13 tys. amerykańskich żołnierzy rozpocznie się lada moment. Na podstawie podpisanego porozumienia talibowie mają zaprzestać ataków na stacjonujące w Afganistanie wojska NATO, a Stany Zjednoczone oraz ich sojusznicy z NATO wycofają wszystkich swoich żołnierzy w ciągu maksymalnie 14 miesięcy.

Wojna w Afganistanie rozpoczęła się w 2001 r. Amerykanie dokonali inwazji na ten kraj w odpowiedzi na zamachy terrorystyczne na Nowy Jork i Waszyngton z 11 września. Błyskawicznie obalili rządzących w tym kraju radykalnych talibów, ale nie zdołali pokonać rebeliantów, wprowadzić w Afganistanie nowych prozachodnich rządów czy też naprawić afgańskiej gospodarki.

Wojna kosztowała życie m.in. ponad 2,2 tys. żołnierzy międzynarodowej koalicji, w tym 43 polskich żołnierzy oraz jednego pracownika cywilnego polskiego wojska. Ponad 20 tys. kolejnych zostało rannych. ***(jap)*** ©℗

FOT. IBRAHEEM AL OMAR/REUTERS/FORUM

Wszyscy na jednego

Piotr Semka

Taki jest los każdego prezydenta, który walczy o drugą kadencję. Wszyscy pozostali kandydaci atakują głowę państwa, sami między sobą jedynie się podszczypując. Prezydent musi znosić ciosy ze wszystkich stron, a jednocześnie, jeśli poniosą go emocje i zrobi jakiś błąd – oceniany jest ostrzej niż zwykli politycy. Bo jest głową państwa

Jak wygląda katalog pułapek zastawianych na Andrzeja Dudę przez jego rywali? W czym prezydent sam pomaga opozycji? Jakie są jego atuty i słabości? I wreszcie – co będzie się liczyć w przypuszczalnej drugiej turze?

Dwie konwencje z 29 lutego opozycja ogłosiła jako reset w kampanii. Małgorzata Kidawa-Błońska została przedstawiona na nowo światu już nie jako elitarna wnuczka prezydenta i premiera z II RP, ale zwykła „kobieta z Ursusa". Z kolei Władysław Kosiniak-Kamysz zabłysnął sympatyczną żoną i efektownym przydomkiem Tygrysa. W tym samym czasie chór publicystów ogłosił koniec Andrzeja Dudy.

Gospodarza Belwederu próbowano wpierw zniechęcić do podpisania ustawy dyscyplinującej sędziów za pomocą zaklęć, że zaszkodzi mu to w kampanii.

Na łamach „Polityki" Sławomir Sierakowski pisał: „Publicyści i pijarowcy zachodzą w głowę, o co chodzi prezydentowi. [...] Pod prąd Dudzie kazał jechać sam Jarosław Kaczyński". Lewicowy publicysta postawił tezę, że podpisanie ustawy dyscyplinującej sędziów było tak absurdalnym działaniem w obliczu nadchodzącej kampanii, że można interpretować to jedynie jako walkę o głosy wyborców Konfederacji. „Duda wykrwawia się więc dla Kaczyńskiego w I turze, zaprzeczając żelaznym prawom kampanii prezydenckiej". Tekst Sierakowskiego to przykład zjawiska, o którym powszechnie mówi się jako o utkwieniu w bańce informacyjnej. Prezydent Duda sam wypowiadał się na temat arogancji kasty sędziowskiej w sposób znacznie ostrzejszy, niż czynili to np. Mateusz Morawiecki czy Zbigniew Ziobro. A niepodpisanie ustawy uruchomiłoby coraz częstsze przypadki rokoszu sędziów, które w ostatecznym rachunku liberalne media definiowałyby jako chaos prawny, obciążający polityczne konto głowy państwa.

Innym przykładem traktowania swoich przekonań jako obiektywnej analizy był tekst Marka Migalskiego pt. „Duda wchodzi w korkociąg?". Migalski maluje dramatyczny obraz: „Politycznie rozleniwiony po pięciu latach gnuśnej prezydentury Andrzej Duda jest zaskoczony tym, jak źle mu idzie i jak daleka od spokojnego spacerku po reelekcję jest ta kampania". Znów Migalski – jako pewnik – stawia, że prezydent do niedawna był przekonany o swojej wygranej i łatwej kampanii. Na tym tle efektownie kreuje obraz przerażonego logiką wydarzeń prezydenta. Tymczasem nic nie wskazywało dotąd, by Andrzej Duda lekceważył walkę o reelekcję. Jednak klimat schyłku i pogubienia doskonale sprzedaje się na łamach „Polityki".

Ta kampania jest wyjątkowo brutalna, co na tle ostatnich 15 lat wydawało się trudne do zrealizowania. Nikogo już nie oburza specjalny reportaż w „Gazecie Wyborczej" lansujący stalkerkę prezydenta Jolantę Rosiek. Tak samo mający wyraźne powiązania ze sztabem Małgorzaty Kidawy-Błońskiej portal Sok z Buraka nie ma żadnych oporów, by ogłaszać, że małżeństwo Andrzeja Dudy przeżywało w 2015 r. kryzys, który miał zakończyć się rozstaniem. Jeśli dorzucimy do tego ataki na szefową kampanii Dudy opisujące, że pogryzła człowieka, czy akcje przeciwników prezydenta w Pucku, to mamy skalę wyzwań, przed którymi staje obecny prezydent.

Jak będą wyglądać kolejne tygodnie kampanii? Każdy z rywali Dudy, jak się zdaje, będzie rozwijał któryś z wątków dezawuowania lidera. Władysław Kosiniak-Kamysz ogłasza: „Adriana z siebie zrobić nie pozwolę!", a potem jego partyjni koledzy demonstracyjnie dziwią się, że prezydent bierze to do siebie. Robert Biedroń z kolei rozwodzi się, jak to w Sejmie widział prezydenta jako przerażonego, złamanego człowieka. I wreszcie Włodzimierz Czarzasty, który już wali na odlew: „Pozwala pan na świństwa, jest pan tchórzem".

Te wyliczenia najróżniejszych prób sprowokowania Andrzeja Dudy jak dotąd nie dały efektu. Prezydent nie wybuchnął atakami złości i nie wdał się w utarczki słowne z rywalami. Czy równie twardych nerwów wystarczy mu na kolejne tygodnie kampanii?

JAK NIE POTKNĄĆ SIĘ O WŁASNE NOGI

Na razie pułapki zastawiane przez opozycję nie zaszkodziły specjalnie prezydentowi. Warto jednak teraz wyliczyć te pułapki, które Andrzej Duda może zastawić sam na siebie. Pierwszy problem ma swoją genezę parę lat temu. Prezydent nie ma ręki do ludzi. W swojej kampanii otoczył się politykami, którzy bardziej przypominali jego kolegów i rówieśników niż team, który w znoju wypracowuje najlepsze rozwiązania dla swego szefa. Do dzisiaj trudno zapomnieć, że prezydent pozwolił odejść

eprasa.pl 5a2134d4e1

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

eprasa.pl 5a2134d4e1

ze swojej kancelarii Markowi Magierowskiemu, który swoją osobą powinien wyznaczać standard kadr kancelarii.

Teraz nie jest lepiej. Nie widać, kto z otoczenia prezydenta ma być liderem sztabu wyborczego. Dziwaczna wielogłowa konstrukcja złożona z tak różnych postaci jak Joachim Brudziński, Beata Szydło czy Adam Bielan może w sytuacjach kryzysowych wzajemnie się zaklinczować. A już lekkomyślny wybór Jolanty Turczynowicz-Kieryłło – osoby „nieostrzelanej" w politycznych bojach – nie był najmądrzejszym ruchem. Jeśli sztab prezydencki sam nie wyznaczy sobie, kto jest ostatecznym decydentem w sytuacjach kryzysowych, to szybka reakcja lub decyzja w razie niespodziewanego wydarzenia może być problemem. Brak doświadczonego teamu politycznego u boku prezydenta rzucał się w oczy w ciągu czterech lat jego prezydentury. Teraz w realiach kampanii, gdzie ważyć będzie szybkość reakcji na niespodziewany kryzys, może okazać się kulą u nogi. Osobna sprawa to brak jednego ośrodka zarządzania w kwestii wizerunku prezydenta. A tu wpadką może być każda impreza.

Medialna oprawa otwarcia peronu w Końskich, według przecieków z obozu PiS, miała być dziełem PR-owców z Ministerstwa Infrastruktury, którym biureczko na pustym peronie nie skojarzyło się z niczym obciachowym. Nikt ze sztabu nie miał ponoć okazji osądzić fachowym okiem, czy taki kadr nie wygląda śmiesznie. Patrzeć potrafi każdy, przewidzieć wpadkę – niewielu. Jeśli ten chaos w zarządzaniu kampanijnym będzie się powtarzać, to będzie źle.

Jeszcze większym zagrożeniem dla prezydenta jest lekkomyślne wchodzenie w tematy polityczne bez wcześniejszej zimnej analizy. Tak było w wypadku słynnych słów w wywiadzie dla „Wprost" o tym, że pod pewnymi warunkami byłby w stanie zaakceptować ustawę o związkach partnerskich. Teraz prezydent wchodzi w rozgrywkę o TVP, w której nie ma specjalnie dużych szans na wygraną. Jeśli jest prawdą, że rozważał podpisanie ustawy o 2 mld dla TVP za cenę głowy Jacka Kurskiego, to oznaczałoby, że nie rozumie, że taki konflikt w środku kampanii nie może skończyć się dla niej dobrze. Podzieli i zdezorientuje w ten sposób swój twardy elektorat, a proopozycyjne media i tak ogłoszą, że wszystko to jest ustawka na linii pałac prezydencki – Nowogrodzka.

Tak samo to, co jest największym atutem prezydenta, czyli ciężko wypracowana przez lata rozpoznawalność w Polsce średnich i małych miasteczek, może okazać się ograniczeniem, gdy prezydent nie znajdzie sposobu na występy w dużych miastach. Opozycja trafia w czuły punkt, gdy kpi, że prezydent chce odtwarzać jedynie chwyty, które były skuteczne w 2005 r. Sztab Andrzeja Dudy zapowiada nowe tematy i poruszanie kwestii ekologii czy problemów młodzieży.

Wciąż w otoczeniu prezydenta nie ma kogoś, kto by potrafił taktownie, ale skutecznie oduczyć go maniery podnoszenia głosu i pokrzykiwania na niektórych wiecach. To zachowanie, które łatwo wyszydzić lub przedstawić jako oznakę słabości.

Na razie prezydent powtarza niemal co drugi dzień łudząco podobne do siebie wizyty w miastach średniej wielkości. Od Gryfina do Rabki. Nie można wyłącznie takimi wiecami wygrać wyborów. Na dodatek w kampanii prezydenta bokiem mogą mu wyjść ataki „Wiadomości" TVP na jego rywali, formułowane w przesadnym stylu. Tak było, gdy „Wiadomości" nadęły do wielkiego skandalu fakt, że Małgorzata Kidawa-Błońska była fetowana przez tłumy na swojej konwencji jedynie pod pierwszym członem swojego nazwiska – „Kidawa". Podobnie bardzo ryzykowne są próby dziennikarzy „Wiadomości", by Kidawę-Błońską wykreować na drugiego Bronisława Komorowskiego jako symbol nowego obciachu. To porównanie może być dla PiS obosieczne. Oczywiście Duda nie ma wpływu na to, co robią „Wiadomości", ale ich nietrafione ataki będą szły na jego konto.

A co na plus? Aby obraz był zrównoważony, warto zauważyć też atuty prezydenta. Może to truizm, ale prezydent wydaje się najbardziej aktywny fizycznie na tle wszystkich pretendentów. Jego udział w Biegu Tropem Wilczym ku czci żołnierzy wyklętych pokazał, że jest wciąż w bardzo dobrej kondycji fizycznej. Co więcej, nie ziściła się największa obawa, że jego główny rywal będzie epatował jeszcze lepszymi warunkami fizycznymi. Małgorzata Kidawa-Błońska jest starsza o 15 lat. Z wieści, które dochodzą ze sztabu PO, wynika, że zmęczenie każe jej żądać co pewien czas wolnych dni. Duda dobrze znosi długie trasy kampanijne z codziennymi spotkaniami. Na tle prezydenta w sile wieku młodsi od niego kandydaci jawią się nieco chłopięco. To przypadek Szymona Hołowni. A kandydat lewicy Robert Biedroń mimo siwej głowy wciąż nie potrafi się wyzbyć stylu krotochwilnego dowcipnisia. O wiele większym wyzwaniem dla Andrzeja Dudy jest Władysław Kosiniak-Kamysz. Istotnie młodszy od prezydenta i wciąż mogący przyciągnąć tych, którzy szukają kogoś poza „wojną plemion". Problem w tym, że lider PSL przemawia z dość nudnawą nutą świeckiego kaznodziei. A ożywiający jego konwencje przydomek Tygrys na dłuższą metę może go ośmieszać.

Największym atutem obecnej głowy państwa jest to, że sprawia wrażenie sympatycznej osoby. Jest zdeterminowany, aby walczyć o prezydenturę, i sprawdza się jako bohater wieców w średnich i małych miejscowościach. To z tego powodu zwykli ludzie zgłaszają się do sztabu Andrzeja Dudy po jego banner, aby powiesić go na swoim płocie. W wyborach sejmowych tak silnej identyfikacji nie było.

Zaletą Andrzeja Dudy jest to, że zwykłym wyborcom nie jawi się jako gracz. Jeśli już mówi do ludzi, to ci najczęściej identyfikują się z nim. To wrażenie pobrzmiewa w opiniach uczestników wieców, że kandydat PiS „nie kłamie" lub „jest sobą". Szczególnie istotne jest to w sytuacji, gdy prezydent przedstawia się jako gwarant świadczeń socjalnych typu „500+". Na jego tle Małgorzata Kidawa--Błońska – deklarująca ogólnikowo, że nic, co zostało dane, nie zostanie zabrane – jawi się o wiele mniej wiarygodnie. Ogromnym atutem prezydenta jest też jego żona, która przez ostatnie cztery lata pobytu w pałacu prezydenckim zachowała ważną rzecz. Nie dała sobie wmówić, że ma stanąć do tablicy i zdawać przed publicystami salonu egzamin z politycznej poprawności. Wyobrażenie o Polakach jakoby oczekujących na rozdyskutowaną politycznie pierwszą damę to jakiś fantom lewicy. Gdyby Agata Kornhauser-Duda wybrała taką rolę, reakcje społeczne en masse nie byłyby pozytywne.

WCIĄŻ MNÓSTWO SZANS DO WYGRANIA

Sztabowcy Andrzeja Dudy zaklinają się, że mają jeszcze liczne asy w rękawie. Usłyszeć można, że bardzo starannie przeanalizowano formalnie wygrane, ale gorzkie z racji utraty Senatu wybory parlamentarne z października 2019 r. Według analityków PiS o sukcesie mniejszym niż się spodziewano zadecydowały trzy czynniki: zbytnia pewność siebie po triumfie w eurowyborach, brak oferty dla grupy wiekowej 40–49 lat, która już zazwyczaj nie korzysta z „500+", a jeszcze nie dotyczy jej np. 13.

eprasa.pl 5a2134d4e1

Największym atutem Andrzeja Dudy jest ciężko wypracowana przez lata rozpoznawalność w Polsce średnich i małych miasteczek. W tej kampanii prezydent powtarza niemal co drugi dzień wizyty w miastach średniej wielkości

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

emerytura, i wreszcie fatalna reakcja klasy średniej na zapowiedź podwyższenia płacy minimalnej.

Paradoksalnie jednak część nadziei sztabu Dudy kieruje się ku obozowi rywali, ze szczególnym wskazaniem na sztab Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Kandydatka Koalicji Obywatelskiej nie polepsza swojego image'u, trafne były słowa jednego ze sztabowców KO, które zacytował „Wprost": „Ręce opadają, co pijarowcy z nią robią. Widać, że nieustannie ją szkolą, przez co pozbawili ją naturalności. Jest zestresowana i stąd biorą się jej słowne wpadki". W wyborach do europarlamentu czynnikiem mobilizującym prawicowy elektorat były agresywne zachowania zwolenników rewolucji obyczajowej i – szerzej mówiąc – lewicy. Od pewnego czasu pojawiają się one znowu. Hałaśliwa pikieta grup gejowskich pod kościołem w Warszawie, w którym mszę odprawiał abp Marek Jędraszewski, czy zapowiedzi liderów lewicy o likwidacji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych – silnie oddziałują na nastroje prawicowego elektoratu.

Sztab Dudy może przypominać, co w praktyce będzie oznaczać likwidacja CBA, IPN, programy LGBT czy powrót sędziów marzących o odwecie, zdeterminowanych, by cofnąć jakiekolwiek reformy w sądach. To, co jest słabością prezydenta, to brak na razie ciekawej odpowiedzi na problemy młodych i silny w tej grupie wiekowej lęk przed katastrofą klimatyczną. Jeśli Andrzej Duda znajdzie sposób na dotarcie do najmłodszej grupy wyborców z odpowiednim przesłaniem, to jego szanse się zwiększą.

Prezydent Andrzej Duda ma jeszcze jeden atut. W bieżącym roku obchodzona będzie 40. rocznica powstania Solidarności w 1980 r. Owszem, kampania zakończy się przed rocznicą gdańskiego Sierpnia, ale prezydent może podjąć tę tradycję w swej kampanii. Został wychowany przez rodziców, którzy w ruchu Solidarności wzięli udział w sposób przynoszący im zaszczyt. Powiązanie tego dziedzictwa z ideą troski o dowartościowanie tych Polaków, którzy przed programami socjalnymi PiS żyli poniżej godnych warunków, akurat Andrzejowi Dudzie będzie w naturalny sposób pasowało. Tak się bowiem złożyło, że żaden z rywali nie kojarzy się z tradycją solidarnościową. Ani Robert Biedroń, ani Szymon Hołownia, ani Krzysztof Bosak do tradycji Solidarności nigdy nie nawiązywali. Nawet najstarsza w tym gronie Małgorzata Kidawa-Błońska na studiach na Uniwersytecie Warszawskim w latach 80. nie była pamiętana z żadnych związków z antysystemowym NZS. A Władysław Kosiniak-Kamysz jako syn starego działacza komunistycznego ZSL tym bardziej nie pasuje do solidarnościowego kostiumu. O roli lidera PSL w podwyższeniu wieku emerytalnego już nawet nie wspominając. Kandydat ludowców musi zacząć się czymś odróżniać od kandydatki KO. Pytanie: W jaki sposób to zrobi? Czy ustawi się jako kandydat bardziej konserwatywny od Kidawy-Błońskiej? Na razie nie można wykluczyć iskrzenia pomiędzy Kidawą-Błońską a Kosiniakiem-Kamyszem.

Najbliższych parę tygodni może zresztą okazać się dla Andrzeja Dudy okresem na poukładanie sztabu i zamknięcie paru linii sporów z obozem PiS. Dla prezydenta Dudy korzystne są też wielkie manewry NATO na terenie państw Europy Środkowo-Wschodniej o kryptonimie Defender-Europe 2020, które potrwają do maja. Obrazki z wizyt głowy państwa wśród żołnierzy US Army w Polsce kojarzą się raczej dobrze.

Jeśli Andrzej Duda utrzyma do początku kwietnia pozycję zdecydowanego lidera to pozostanie już jedynie pytanie, czy w drugiej turze zmierzy się z Małgorzatą Kidawą-Błońską czy Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem? Jeśli kontrkandydatem będzie Kidawa-Błońska, to pytanie, czy część elektoratu PSL i Lewicy nie uzna Dudy za mniejsze zło wobec obaw o szybkie odejście przez Platformę od programu podarunków socjalnych w stylu „500+". Jeśli kontrkandydatem będzie Kosiniak-Kamysz, to paradoksalnie obawy mogą być takie same. Ktoś, kto przyjął na siebie z rąk Tuska rolę lidera bardzo niepopularnych reform socjalnych, nie musi dobrze wypaść w roli obrońcy finansowych podarków.

NIE WSZYSTKO DA SIĘ PRZEWIDZIEĆ

I wreszcie dwa czynniki nieprzewidywalne – epidemia koronawirusa i kryzys uchodźczy. Jak dotąd rząd Mateusza Morawieckiego radzi sobie dobrze z groźną epidemią. Przekłada się to na nastroje społeczne, które służą kampanii głowy państwa. Jeśli jednak w kolejnych dniach rząd będzie miał wpadki, to one też będą szły na konto obozu politycznego prezydenta. Także kryzys uchodźczy polaryzuje w mniejszym stopniu polską politykę niż pięć lat temu. To efekt zwrotu w polityce Berlina, który nie chce powtórki z Willkommenkultur i w jakimś stopniu potwierdza słuszność linii PiS z 2015 r.

I na koniec generalna uwaga. Największym paradoksem obecnej sytuacji jest to, że opozycji udało się wykreować wrażenie, że to PiS jest w sytuacji bez wyjścia. Owszem, w razie prezydenckiej wygranej opozycji PiS zostaje mocno zablokowany, ale mimo wszystko władzę zachowuje. Jeśli opozycja nie wygra tych wyborów prezydenckich, to stanie wobec wizji trzech długich lat bez żadnych elekcji. Nie sposób orzec, kto po stronie opozycji przeżyje ten długi polityczny marsz przez pustynię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Z Krzysztofem Łapińskim, członkiem sztabu Andrzeja Dudy w 2015 r., byłym posłem PiS i sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta, obecnie poza polityką

rozmawia Kamila Baranowska

Andrzej Duda to trudny przeciwnik

KAMILA BARANOWSKA: W skali szkolnej od 1 do 6 jak pan ocenia trwającą kampanię prezydencką Andrzeja Dudy?

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: Nie czuję się uprawniony do wystawiania ocen sztabowcom prezydenta, których wielu znam i z którymi w wielu kampaniach razem pracowaliśmy. Jest tam dużo doświadczonych osób, które zjadły zęby na kampaniach i mają na koncie wiele zwycięskich kampanii PiS. Joachim Brudziński, Adam Bielan, Piotr Agatowski, Radosław Fogiel, Krzysztof Sobolewski czy Paweł Szefernaker – to ludzie, którzy wiedzą, jak się robi kampanie. Sztab ma więc duży potencjał i przede wszystkim ma kandydata będącego faworytem i liderem sondaży.

Trudno jednak uniknąć wrażenia, że pięć lat temu sztab działał sprawniej, był bardziej decyzyjny, a dziś nawet trudno się połapać, kto jaką rolę w nim odgrywa.

Jeśli chodzi o decyzje personalne, to nie zapominajmy, że to, jaka jest konstrukcja sztabu, to także efekt decyzji politycznych, które muszą uwzględniać pewne wewnętrzne uwarunkowania i wpływy w obozie Zjednoczonej Prawicy.

Bliżej nieznana mecenas Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, osoba bez politycznego doświadczenia, to właściwy człowiek na stanowisku szefowej kampanii?

Nie chciałbym tego oceniać, bo nie znam okoliczności powierzenia pani Turczynowicz-Kieryłło tej funkcji. Na pewno cały obecny sztab Andrzeja Dudy pamięta o tym, że w poprzednich wyborach to sztab naszego głównego konkurenta był podzielony, miał kilka różnych ośrodków decyzyjnych, jeden w partii, drugi w Kancelarii Prezydenta, i ten cały chaos mocno przyczynił się do jego przegranej. To jest nauczka, którą – jestem co do tego przekonany – wszyscy w PiS doskonale pamiętają.

W kampanii sprzed pięciu lat było o wiele więcej prób narzucania własnych tematów, dziś kampania w wykonaniu PiS jest bardzo reaktywna, co sprawia, że brakuje jej emocji. A to emocjami wygrywa się wybory.

Cały czas powtarzam, że to inna kampania, inne wybory, ale i inny czas, inne okoliczności i nastroje społeczne. Pięć lat temu znaczna część społeczeństwa była znużona, zmęczona, czasami zniesmaczona rządami Platformy, które w dużej mierze uosabiał prezydent Komorowski, a Andrzej Duda był tego wszystkiego

FOT. SEBASTIAN WELECHOWSKI/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 5a2134d4e1

zaprzeczeniem, nową jakością. Dzisiaj trudno obudzić te same emocje, trzeba grać całkiem innymi emocjami, pokazywać spełnione obietnice, uświadamiać, że sukcesy rządu PiS to także sukcesy prezydenta, że bez niego nie byłoby to możliwe. W zupełnie innej kondycji jest dziś także obóz Zjednoczonej Prawicy. Pięć lat temu był po kilku z rzędu porażkach, więc z jednej strony nie dawano nam szans, a z drugiej głód zwycięstwa był tym większy. Dzisiaj ten sam obóz idzie od zwycięstwa do zwycięstwa i to, czego musi uniknąć, to po pierwsze – przeświadczenia, że jak wygrał poprzednie wybory, to automatycznie wygra i kolejne, a po drugie, mówiąc językiem piłkarskim, braku ciągu na bramkę i pewnego nasycenia zwycięstwami.

Prezydent jest dziś faworytem, ale Bronisław Komorowski też nim był, a sondaże miał nawet lepsze niż dziś Andrzej Duda.

Myślę, że sztabowcy Andrzeja Dudy doskonale wiedzą, że nikogo nie można lekceważyć i do końca trzeba ciężko pracować, by przekonywać ludzi nie tylko do popierania Andrzeja Dudy, lecz także zmobilizować ich w ogóle, by poszli na wybory. Czym innym jest bowiem poparcie deklaratywne, sondażowe, a czym innym to realne, wiążące się z pewnym wysiłkiem, by pójść i oddać głos.

Demobilizacja wyborców to dziś największe zagrożenie dla Andrzeja Dudy?

Wyborcy nie mogą mieć poczucia, że zwycięstwo jest przesądzone, że właściwie nie trzeba już o nic walczyć. W kampaniach cały czas trzeba mobilizować, można przecież mówić, że owszem, zwycięstwo jest możliwe, ale zależy wyłącznie od ludzi i ich zaangażowania w wybory. Że ich głos jest ważny i potrzebny jak nigdy wcześniej. Domyślam się, że to kwestia, którą sztab ma przebadaną i zdiagnozowaną – na ile mocno osoby, deklarujące swoje poparcie dla Andrzeja Dudy, są zdeterminowane, by rzeczywiście pójść na wybory.

Jak pogodzić mobilizację twardego elektoratu z walką o tych bardziej umiarkowanych wyborców, bez których nie da się wygrać w drugiej turze?

Żeby wygrać te wybory, prezydent Andrzej Duda potrzebuje absolutnie pełnej mobilizacji elektoratu PiS, bo bez niego nie ma co marzyć o zwycięstwie. W drugiej turze będzie zaś musiał pozyskać dodatkowych wyborców, tych, którzy w pierwszej turze zagłosowali na jego konkurentów. Nie wiem, jak dzisiaj wyglądają możliwe przepływy elektoratu, ale zwykle sztaby robią takie badania, gdzie są one najbardziej prawdopodobne, i zaczyna się walka o tych konkretnych wyborców z odpowiednio dobranym przekazem kampanijnym i środkami dotarcia do nich.

Małgorzata Kidawa-Błońska to z punktu widzenia prezydenta Dudy najwygodniejszy przeciwnik w drugiej turze?

Nie stawiałbym tak sprawy. Jeśli opozycji uda się zrobić z drugiej tury plebiscyt pt. „PiS kontra reszta świata", to każdy kandydat jest tak samo groźny. Wtedy bowiem u wyborcy opozycji uruchomi się myślenie, że co prawda to nie jest mój wymarzony kandydat/kandydatka, ma dużo słabości, zalicza wpadki, nie ma odpowiedniego przygotowania, ale ważniejsze od tego jest powstrzymanie kandydata PiS, więc zaciskam zęby i idę głosować. Zakładam, że opozycja, a zwłaszcza Koalicja Obywatelska, będzie do tego dążyć, ale akcja zwykle rodzi reakcję i druga strona, czyli sztab Andrzeja Dudy, może się na to przygotować. To, czyja narracja w drugiej turze bardziej przebije się do społeczeństwa, może przesądzić o wyniku.

Był sondaż pokazujący, że Władysław Kosiniak-Kamysz, w przeciwieństwie do Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, mógłby wygrać z Andrzejem Dudą w drugiej turze.

Na pewno byłby trudniejszym przeciwnikiem, bo w wielu kwestiach ma podobne atuty do Andrzeja Dudy. Też ma doświadczenie, był ministrem konstytucyjnym, jest liderem partii, która w znacznej mierze jemu zawdzięcza dobry wynik w ostatnich wyborach, jest w podobnym wieku, postrzegany jest jako polityk ugodowy, niewzbudzający negatywnych emocji, niekojarzący się ze skrajnościami. To kandydat, przeciwko któremu trudniej byłoby zmobilizować swoich wyborców, trudniej przedstawić go jako zagrożenie czy niebezpieczeństwo. Jest to łatwiejsze w przypadku kandydatki Platformy Obywatelskiej, bo wiadomo, że można tu zagrać rządami Platformy, Tuskiem i całą masą złych skojarzeń. Kosiniak-Kamysz podczas swojej konwencji pokazał się też z nowej strony – jako człowiek, który chce walczyć i się tej walki nie boi. Plus zaangażowanie żony, która może być mocnym wsparciem w kampanii.

Czy sztab Andrzeja Dudy powinien odpowiedzieć większym zaangażowaniem w kampanię pierwszej damy?

Pokazanie żony, rodziny najczęściej jest dla kandydata korzystne. Polacy lubią wiedzieć, kto jest współmałżonkiem kandydata, poznać jego rodzinę, najbliższe otoczenie, jest to dla nich ważne. W przypadku pierwszej damy mamy nieco inną sytuację. Polacy już wiedzą, kim jest Agata Duda, nie trzeba im jej przedstawiać i na siłę angażować w kampanię. Można za to bardziej wyeksponować jej pięcioletnią działalność, która była bardzo bogata, wypełniona wieloma aktywnościami, ale mało medialnie wyeksponowana. I to jest jak najbardziej do zrobienia.

Dzisiaj Andrzej Duda jest zupełnie innym kandydatem niż pięć lat temu. Nie trzeba budować jego rozpoznawalności

Pięć lat temu Agata Duda też nie była zbyt obecna w kampanii prezydenckiej. Trudno było ją namówić do większego zaangażowania?

Proszę pamiętać, że w tamtym czasie pani prezydentowa miała swoją pracę zawodową, obowiązki, przygotowywała swoich uczniów do matury i nie było tak, że mogła w każdej chwili wziąć urlop, żeby uczestniczyć we wszystkich konwencjach. Pojawiła się w kilku kluczowych momentach, Polacy mieli więc okazję ją zobaczyć i poznać, i bez wątpienia była wsparciem dla męża.

Czym się różni ta kampania od tej sprzed pięciu lat?

Nie ma dwóch takich samych kampanii. Dzisiaj Andrzej Duda jest zupełnie innym kandydatem niż pięć lat temu. Nie trzeba budować jego rozpoznawalności, nie trzeba przedstawiać go Polakom, można skupić się na czymś innym, przede wszystkim na akcentowaniu sukcesów

eprasa.pl 5a2134d4e1

jego prezydentury. To powoduje, że ta kampania musi być inna i nie da się jej porównać z tym, co robiliśmy pięć lat temu.

Jest trudniej niż wtedy?

Proszę pytać obecnych sztabowców. Chociaż moim zdaniem jest inaczej niż pięć lat temu. Z oczywistych względów. Z jednej strony, dzisiaj Andrzej Duda jest urzędującym prezydentem, ma 100-procentową rozpoznawalność, startuje z pozycji faworyta, ale z drugiej strony, to on będzie przez wszystkich swoich rywali atakowany, rozliczany z każdej decyzji, ale i z tego, co robi jego polityczne zaplecze. Warto też pamiętać, że Andrzej Duda będzie dziś atakowany bardziej niż ktokolwiek inny, bo każdy z jego konkurentów ma w tym swój interes. Począwszy od Krzysztofa Bosaka i Konfederacji, przez kandydatów Platformy, PSL, do Lewicy. Jest jeszcze kwestia oczekiwań, które dziś są zupełnie inne niż pięć lat temu. Gdyby Andrzej Duda wtedy przegrał w drugiej turze, ale z niezłym wynikiem, to i tak byłby to dla niego olbrzymi osobisty sukces i pozostanie w pierwszej politycznej lidze. Od urzędującego prezydenta oczekuje się zaś tylko wygranej, co wiąże się z dodatkową presją, ze stresem i świadomością wysokości stawki, o którą toczy się gra.

Chociaż Małgorzata Kidawa-Błońska w roli kandydatki głównej siły opozycyjnej nie radzi sobie najlepiej, to jej sztab działa bardzo sprawnie. To zupełnie inna jakość niż sztab Bronisława Komorowskiego pięć lat temu.

Faktycznie w przestrzeni medialnej pojawiły się różne wypowiedzi kandydatki Platformy, pełne wpadek, lapsusów językowych i nieprzemyślanych słów. Widząc słabości i niedociągnięcia swojej kandydatki, jej sztab skupił się na osłabianiu Andrzeja Dudy i atakowaniu go z każdej strony. Już dzisiaj widać, że ta kampania będzie mocna i ostra, że druga strona odrobiła lekcję sprzed pięciu lat, potrafi zrobić dobrą konwencję, dobry spot. W sztabie są ludzie, którzy potrafią robić kampanie i są zdeterminowani, bo zdają sobie sprawę, że następne wybory dopiero za trzy i pół roku, więc przegrana ich kandydatki oznacza, iż szybko nie będzie szansy na rewanż. Dla PiS jest to walka o domknięcie pewnej puli, a dla Platformy czy – szerzej – opozycji to bój o zrobienie potężnego wyłomu w murze przeciwnika. Jeśli bowiem przejęcie Senatu było wyjęciem kilku cegieł z tego muru, to zwycięstwo w wyborach prezydenckich byłoby czymś, co naruszałoby całą stabilną dotąd konstrukcję władzy. Nie burzyło całkowicie, ale mocno naruszało. A skoro stawka jest tak wysoka, to należy się spodziewać nie zawsze czystych zagrywek i sztab Andrzeja Dudy musi być na to przygotowany. Będą fake newsy, będzie fala hejtu i nie zawsze będą obowiązywać zasady fair play.

Co jest dzisiaj największym atutem Andrzeja Dudy?

Mogę tylko kierować się intuicją, ale w takich sprawach najważniejsze są solidne badania, które pokażą, co o prezydencie myślą Polacy, za co go cenią, co uznają za jego atuty. Wówczas te wskazane cechy czy sukcesy trzeba maksymalnie eksponować. To może być doświadczenie, które zdobył, piastując funkcję prezydenta, dobra i sprawna współpraca z rządem, co w przypadku prezydenta z opozycji nie będzie możliwe. Do tego cała masa sytuacji, w których Andrzej Duda występuje i dobrze wypada, np. w roli zwierzchnika sił zbrojnych z wojskowymi, szefem NATO, z amerykańskim prezydentem itd. Na tym polu trudno komukolwiek będzie go przelicytować, bo nikt nie ma tylu obrazków ze spotkań z najważniejszymi politykami świata. Widać także, że prezydent zachował energię i wciąż ma dobry kontakt z ludźmi, ciągle się z nimi spotyka, trudno mu zarzucić odklejenie od rzeczywistości. Opozycja zdaje sobie sprawę, że pod względem osobowości czy wizerunku Andrzej Duda to trudny przeciwnik, dlatego za wszelką cenę będzie próbowała uniknąć starcia na tym polu. Jej jedyna szansa to zamiana tej rywalizacji w referendum przeciwko rządom PiS.

> **Widząc słabości i niedociągnięcia swojej kandydatki, sztab Kidawy-Błońskiej skupił się na atakowaniu Andrzeja Dudy**

Pojawienie się koronawirusa i to, jak poradzi sobie z tym kryzysem rząd, może być czymś, co zaważy na wyniku wyborów prezydenckich?

Ta sprawa może być ważna w kampanii, tylko na tym etapie trudno przewidzieć, kto na niej zyska, a kto straci. Wszystko będzie się zapewne rozgrywać na czterech płaszczyznach – medycznej, i tu nie wiemy, ile osób zachoruje i jaka będzie skala zjawiska, psychologicznej, czyli możliwa panika ludzi, wykupywanie towarów ze sklepów itd., ekonomicznej, czyli czy koronawirus w dłuższej perspektywie może wpłynąć na spowolnienie gospodarcze, bo przecież Polska nie jest samotną wyspą i jeśli wystąpi kryzys na skalę światową, to my też go odczujemy. A wreszcie kampanijnej, tzn. na ile wpłynie na przebieg samej kampanii czy nie utrudni jej choćby w tym względzie, że nie będzie można organizować dużych zgromadzeń wyborczych.

W momentach trudnych, w sytuacjach zagrożeń ludzie często skupiają się wokół rządzących. Pod warunkiem jednak, że mają poczucie, iż jest to władza silna, skuteczna, sprawna, że w trudnym momencie robi wszystko, by zapewnić obywatelom bezpieczeństwo, i – co równie ważne – potrafi skutecznie o tym społeczeństwu zakomunikować. Widać, że rządzący mają świadomość powagi sytuacji. Liczne konferencje prasowe ministra Łukasza Szumowskiego, w których na bieżąco przekazuje wszystkie najważniejsze komunikaty, pokazują, że obóz rządowy wie, jak ważna jest rzetelna informacja.

Jednak takie nagłe wydarzenia niosą także zagrożenia dla władzy. Jeśli społeczeństwo uzna, że władza nie panuje nad sytuacją, nie wie, co robić, będzie poczucie chaosu i paniki, to łatwo wzbudzić emocje całkiem odwrotne.

Chyba że opozycja przegrzeje temat, tak jak wcześniej wiele innych.

Dla opozycji to też wyzwanie: czy wspierać rządzących, czy krytykować z nadzieją, że na tym zyska wyborczo. Jeśli bowiem za bardzo zapędzi się w krytyce działań rządu, to może powstać wśród Polaków wrażenie, że zamiast zjednoczyć się i pomagać w trudnej sytuacji, tylko przeszkadza rządzącym. Naprawdę bardzo trudno przewidzieć reakcje społeczeństwa na sytuację kryzysową, z którą do tej pory nie mieliśmy do czynienia. O ile rządzący nauczyli się reagować np. w sytuacji powodzi, o tyle tutaj rodzaj zagrożenia jest nowy, więc reakcje są trudniejsze do ustalenia. W apogeum kampanii każda władza wolałaby uniknąć wszelkich nieprzewidzianych kryzysowych wydarzeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

DO V EDYCJI KONKURSU

ZAPRASZA PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

100% polski produkt

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

eprasa.pl 5a2134d4e1

Rafał A. Ziemkiewicz

Zaraza w czasach mediów

Chociaż dane medyczne nie wskazują, żeby nadchodząca z Chin grypa była znacząco bardziej niebezpieczna od tej „zwykłej", na którą co roku choruje kilka milionów Polaków, a kilkaset umiera, to nieznane zawsze wzbudza większy strach od znanego. A na strachu się zarabia

W mediach społecznościowych setki milionów odsłon nabijają filmiki, mające pokazywać „straszliwą, ukrywaną prawdę". Chińskie dzieci, tańczące kilka lat temu techno, po zmianie tła dźwiękowego z muzyki na krzyki i lament stały się konającymi masowo w drgawkach ofiarami zarazy; ofiary wypadku drogowego z Japonii – dowodem, że w Wuhan trupy leżą na ulicach etc.

Inni internetowi spryciarze naciągają naiwnych na ciężkie pieniądze za chirurgiczne maseczki, mimo ich bardzo ograniczonej przydatności w antywirusowej profilaktyce, a nawet w najmniejszym stopniu w niej nieprzydatne przemysłowe maski przeciwpyłowe. Drogerie wyprzedają niespotykane nigdy wcześniej ilości mydła (szczególnie tego z napisem „antybakteryjne") i dezynfekcyjnych żelów do rąk, dyskonty pozbywają się zapasu suchych, paczkowanych i puszkowanych produktów żywnościowych.

Pokusa zbicia na panice kapitału nie mogła oczywiście ominąć także opozycyjnych polityków. Od dawna przecież szukają – pisaliśmy o tym – tematu, którym można by Polaków postraszyć. Przymierzali w tej roli „wyrzucenie z Unii", „obcięcie funduszy", „objęcia Putina", „zabranie paszportów", „odcięcie Internetu", „drożyznę"... Wykorzystanie lęku przed nieznaną chorobą z Chin nasunęło się właściwie automatycznie.

Społecznościowe profile stronników PO zapełniły się więc panikarskimi wpisami o epidemii, mającymi zdyskredytować rząd. Część miała wykazać rzekomą znieczulicę władzy – tu królowało zwłaszcza oburzenie, że rząd PiS każe pacjentom z podejrzeniem koronawirusa płacić 500 zł za badanie. Jak zwykle uruchomiony został mechanizm „głuchego telefonu", z mnogością błyskawicznych retweetów i podań, ignorujących oficjalne sprostowania i zaprzeczenia (sam Jerzy Owsiak zapewnił temu fake newsowi dotarcie do kilkuset tysięcy użytkowników Facebooka i Twittera), choć w istocie bardzo szybko okazało się, że płatne badanie udostępniane było przez Wojewódzki (a więc nawet niepodlegający rządowi) Szpital Zakaźny w Warszawie jako oferta ponadstandardowa, dla tych, którzy chcieliby się przebadać bez skierowania; po narosłej wokół awanturze usunięto ją ze strony internetowej.

Do momentu, gdy ten numer trafi do rąk czytelników, o tej burzy w szklance wody nikt zapewne nie będzie już pamiętać – ale to część świadomie przyjętej przez opozycję strategii nieustannego bombardowania Polaków mającymi wzbudzać emocje sensacjami. Każda z nich z osobna jest szybko zapominana, wytwarzają jednak w odbiorcach niejasne przekonanie, że jest źle, że jesteśmy zagrożeni, że rząd się nie sprawdza – „no bo przecież ciągle się mówi".

ZNIECZULICA I INWIGILACJA

W czasach przedinternetowych nazywano to „informacjami agencji JPP – Jedna Pani Powiedziała". Wśród pań szczególnie usilnie przez opozycję nagłaśnianych była taka, która (kto to sprawdzi?) przyleciała z Chin i nikt na lotnisku nie mierzył temperatury i nie zbadał ani jej, ani innych pasażerów samolotu. Była też zaledwie trzy dni później inna pani, która oburzała się, że na lotnisku zażądano od niej wypełnienia jakiegoś formularza, z podaniem adresu i numeru kontaktowego („A jakim prawem? Gdzie RODO?"). Oburzona pani oznajmiła, że w obywatelskim proteście oddała formularz niewypełniony i nikt jej nie zatrzymywał. Proszę zwrócić uwagę na perwersyjną wieloznaczność tego oskarżenia, spotęgowaną faktem, że podawały i linkowały je te same „autorytety" opozycji, które nagłaśniały zarówno relację wcześniejszą, jak i nieco późniejsze nagranie „pani Ani z Krotoszyna" skarżącej się, że przez 88 godzin nie mogła doczekać się wyników testu na koronawirusa i w końcu – zanim go dostała – wyzdrowiała sama z siebie. Widać tu, że rząd miał się znaleźć na cenzurowanym, cokolwiek by zrobił bądź nie zrobił. Nie przebadano wracających do kraju turystów – PiS lekceważy zagrożenie, przebadano – PiS bezprawnie inwigiluje. Oburzenie, że nie wiadomo „jakim prawem" zażądano podania danych osobowych, przy jednoczesnym oburzeniu, że wypuszczono osobę, która danych tych nie podała, wydaje się kwintesencją tej

eprasa.pl 5a2134d4e1

FOT. AGNIESZKA STOLARSKA/SE/EAST NEWS

determinacji, z którą opozycja chwyciła się koronawirusa i nadziei na ogólnokrajową panikę, która dokona tego, czego nie dokonały strach przed polexitem i drożyzną.

Obrazy z Włoch i Niemiec zbudowały w kręgach anty-PiS nadzieję na łatwe powtórzenie takiej samej sytuacji nad Wisłą. Polacy okazali się jednak po raz kolejny bardziej zdroworozsądkowi od mieszkańców Zachodu. Owszem, wzmogli zakupy w dyskontach, aptekach i drogeriach, ale nie aż tak, by można było skutecznie straszyć pustymi półkami. Nawet internetowe wpisy pod panikarskimi komentarzami zwolenników opozycji okazały się dalekie od oczekiwanej eksplozji lęku, nieufności wobec władzy oraz gniewu za „nieprzygotowanie do epidemii".

PANIKA I ROZSĄDEK

Nie po raz pierwszy opozycja „przegrzała". Kampania oskarżania rządu o to, że ukrywa wypadki zachorowań, po czasie niemrawo korygowana w kierunku oskarżenia, że nie potrafi ich wykrywać, dała skutki dość groteskowe, podobnie jak manifestacja „stanu epidemiologicznego oblężenia" w Senacie, rozbrojona zresztą równie groteskową dyskusją o tym, jak prawidłowo należy myć ręce i którą częścią ręki naciskać dozownik. Punktem zwrotnym były, jak się zdaje, spiskowe teorie o „ukrywaniu rozmiarów epidemii", w które włączyła się swym apelem do premiera kandydatka Kidawa-Błońska, oraz oskarżenia, że PiS celowo zwleka z ujawnieniem prawdy, aby koronawirusem „przykryć" jej konwencję. A gdy konwencja minęła bez żadnych sensacji – że rząd „czeka na odpowiedni politycznie moment". Co było odpowiedniego akurat w ubiegłą środę, gdy długo oczekiwana przez opozycję informacja o pierwszym polskim chorym została wreszcie podana, tego już nawet szczególnie aktywny w spiskowych teoriach Jan Vincent-Rostowski tłumaczyć nie próbował.

W sumie więc bezładne sianie przez PO i jej akolitów paniki pomogło rządowi, zamiast mu szkodzić. Pomogło, bo na tle histeryzującej opozycji łatwo było władzy odegrać rolę „tych rozsądnych", z jednej strony nieulegających panice, z drugiej jednak czuwających i dających społeczeństwu nadzieję, że kiedy „się zacznie", zostanie zrobione wszystko, co możliwe.

Co nie znaczy oczywiście, że zachowanie władzy naprawdę było rozsądne. PiS wiele zrozumiał od czasów, kiedy Jarosław Kaczyński ogłaszał różne rzeczy, nie dbając w najmniejszym stopniu o ich społeczny odbiór (np. o związkach Angeli Merkel ze Stasi, czym prawdopodobnie spowodował przegraną w wyborach, choć wydana kilka lat potem w Niemczech książka jego słowa potwierdziła), a pytany o skutki obruszał się: „Ale przecież to jest prawda!". Dzisiejszy PiS dobrze zrozumiał udzieloną mu przez Tuska lekcję, że rządzenie to teatr, w którym trzeba umieć zagrać, że robi się to, czego publiczność oczekuje; i wcale niekoniecznie trzeba coś robić naprawdę.

Przykładem wzorowej reakcji na kryzys, na który – podobnie jak to jest z epidemią – w gruncie rzeczy nie dało się niczego poradzić, a nawet więcej, niczego poza spokojnym oczekiwaniem na rozwój wypadków robić nie należało, było zgaszenie przez Tuska paniki podczas światowego kryzysu finansowego. Wszystkie ustawy, które wtedy ogłosił i przeprocedował, a które miały „ochronić polską gospodarkę", okazały się pozbawione jakiegokolwiek praktycznego znaczenia (np. z pomocy dla zagrożonych wahaniami kursowymi firm zdołało skorzystać zaledwie ok. 40 podmiotów, tak umiejętnie ustawiono warunki jej udzielania). Jednak uspokoiły sytuację. Podobnie PR-owskim strzałem PiS w dziesiątkę okazała się antygrypowa specustawa, która wzięła opozycję w kleszcze – albo musiała się przyłączyć do działań władzy, a więc je zaaprobować, albo wyjść w oczach wyborców na malkontentów, którzy zawsze we wszystkim przeszkadzają.

RECEPTA NA STRACH

Na zdrowy rozum jest przecież oczywiste dla każdego, kto się zetknął z grypą (a kto się z nią nie zetknął?), że prędzej czy później musi ona do Polski trafić: jeśli nie z Włoch, to z Niemiec albo w ogóle Bóg wie skąd (tak jak w USA, gdzie po pierwszym wypadku śmiertelnym przyznano, że wirus rozpowszechniać się musi po kraju już co najmniej od sześciu tygodni). Szczęśliwie nie wydaje się ona groźniejsza od „zwykłej" grypy, od której zresztą trudno ją odróżnić, a naturalny mechanizm sprawia, że im epidemia ma szerszy zasięg, tym łagodniej choroba przebiega. Akcje tego rodzaju, jak trzymanie w kwarantannie 200 uczniów i nauczycieli dlatego, że dwie dziewczynki zachorowały, zresztą na zwykłą grypę, ale po pobycie we Włoszech, epidemiologicznego sensu nie mają.

Mają jednak zasadniczy sens jako element przekazu: spokojnie, władza czuwa. Spotykają się sztaby kryzysowe, laboratoria pracują pełną parą, w razie konieczności przygotowane są polowe przychodnie w namiotach itd.

Na irracjonalny strach najlepszą bowiem odpowiedzią są działania irracjonalne – czego wzorem może być sposób, w jaki Brytyjczycy zniwelowali załamanie sprzedaży swej wołowiny po panice wywołanej przez priony (antidotum na nią okazała się kampania reklamowa sugerująca, że jedzenie brytyjskiej wołowiny znacząco wpływa na jakość seksu). Na szczęście panikować długo się nie da – chodzi więc tylko o dostarczenie obywatelom doraźnego ukojenia dopóty, dopóki sami się koronawirusem nie znudzą, jak kiedyś SARS-em, ptasią grypą i innymi ogłaszanymi w mediach histeriami. Strach się przesili, spowszednieje i wtedy jeśli nawet umrze na koronawirusa ktoś w sąsiedztwie, wszyscy powiedzą: „No cóż, stary był, tak to już jest".

Aby do wyborów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Nowe prawo pozwoli rządowi np. nakazać działania prywatnym lecznicom. Na zdjęciu od lewej: minister zdrowia Łukasz Szumowski, premier Mateusz Morawiecki i szef MSWiA oraz minister koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński

FOT. HUBERT MATHIS/ZUMA PRESS/FORUM

Epidemia w ustawie

Łukasz Zboralski

Polska szybko opracowała prawo, które ma pozwolić lepiej reagować w przypadku zagrożenia epidemiami. Co się zmieni?

W obliczu zagrożenia epidemią koronawirusa posłowie rządzącej Zjednoczonej Prawicy i opozycji razem planowali w Sejmie, jakie procedury powinniśmy wprowadzić w kraju w obliczu epidemii. Dyskusja była gorąca i na część zapisów opozycja się nie godziła. Kiedy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", ustawa została już przyjęta przez Sejm (przeciw głosowali jedynie posłowie Konfederacji), ale poprawki do niej mógł wnieść jeszcze Senat.

Oczywiście nie było pełnej zgody w kraju – jeszcze przed głosowaniem w Sejmie projekt został w niektórych kręgach ostro skrytykowany. Pojawiały się nawet zarzuty, że rząd w ten sposób „omija konstytucję". – Konstytucja precyzuje, do jakiego stopnia można ograniczać prawa jednostki, gdy ogłoszony jest stan nadzwyczajny. Specustawa obchodzi konstytucję: wprowadza rygory w zakresie wolności i praw bez gwarancji kontroli i ustawowego ograniczenia dla arbitralnych decyzji administracji. To otwarcie drzwi dla samowoli i opresji pod szyldem troski o ochronę zdrowia – stwierdziła na łamach „Gazety Wyborczej" prof. Ewa Łętowska, była rzecznik praw obywatelskich.

Jeszcze dalej poszła prof. Monika Płatek, która na Facebooku alarmowała: „Ten projekt daje obecnej władzy użyć wojska i każdej innej siły przeciw każdemu".

– Przepisy rzeczywiście dają dużą władzę, np. premierowi, w sytuacji szczególnej. Premier może wydać nakaz przedsiębiorstwu albo jakiemuś organowi administracji, ale – można powiedzieć obrazowo – jest to pewna broń atomowa, która miejmy nadzieję, że nigdy nie zostanie wykorzystana – tłumaczył na konferencji Michał Dworczyk, szef KPRM. Dodał, że nowa ustawa została przyjęta z określonym czasem obowiązywania – 180 dni – i po tym czasie rząd musi Sejmowi przedstawiać sprawozdanie z działań podejmowanych na podstawie tych przepisów. Obowiązywanie ustawy może po tym czasie zostać przedłużone.

Specustawa tak naprawdę wnosi niewiele nowych zapisów do polskiego prawa, w większości zbiera w jednym miejscu istniejące już regulacje i je doprecyzowuje.

PRACOWNIK I PRACODAWCA ORAZ ŻŁOBKI

Specustawa powstała w obliczu zagrożenia epidemią koronawirusa, ale ma przydawać się w przyszłości w przypad-

eprasa.pl 5a2134d4e1

ku każdego zagrożenia epidemią i rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych.

Ponieważ te sytuacje dotykają w poważnym stopniu firmy, rządowy projekt przewidział dodatkowe narzędzie dla pracodawcy. Może on polecić pracownikowi na określony czas wykonywanie pracy w domu, czyli pracy zdalnej. Dzięki temu pracodawca może zdecydować, że np. pracownik wracający z regionu, w którym zaczęła się rozprzestrzeniać epidemia, nie powinien przychodzić do firmy.

Tymczasem pracownicy też nie chcą dziś wykonywać niektórych obowiązków. Już po wybuchu epidemii we Włoszech część kierowców przewoźnika z południa Polski odmawiała służbowego wyjazdu w te rejony. Państwowa Inspekcja Pracy przypomniała niedawno, że pracownik może powołać się na Kodeks pracy. Zgodnie z nim, gdy warunki pracy nie odpowiadają przepisom bezpieczeństwa i stwarzają bezpośrednie zagrożenie dla życia i zdrowia pracownika albo gdy wykonywana przez niego praca grozi takim niebezpieczeństwem innym osobom, pracownik ma prawo powstrzymać się od wykonywania pracy. Musi oczywiście poinformować o tym pracodawcę, i to niezwłocznie.

Z drugiej strony – jak zauważa PIP – pracodawca nie jest uprawniony do samodzielnej oceny zdrowia pracownika ani do kierowania go na badania, gdy nie pokrywa się to z terminem obowiązkowych badań okresowych. Pracodawca nie ma też podstaw prawnych do zbierania informacji o miejscach wypoczynku pracownika, a ten nie musi ujawniać, gdzie był na urlopie.

Specustawa ureguluje też kwestię rodziców, którzy ze względu na zamknięcie szkoły, żłobka, przedszkola czy klubu dziecięcego będą musieli przez ten czas opiekować się malcem i nie będą mogli pracować i zarabiać. Oni otrzymają dodatkowy zasiłek opiekuńczy za maksymalnie 14 dni (dwa tygodnie wynosi dziś kwarantanna osób podejrzanych o możliwość bycia nosicielem koronawirusa). A w Polsce są już przypadki zamkniętych szkół – czasowo zamknięte były Szkoła Podstawowa nr 6 w Kołobrzegu oraz Zespół Szkół im. I. Łukasiewicza w Policach.

Sama specustawa zmienia Prawo oświatowe i Prawo o szkolnictwie wyższym, pozwalając ministrom, którym podlegają te sprawy, czasowo ograniczać lub zawieszać funkcjonowanie jednostek systemu oświaty i uczelni.

Specustawa wprowadzi też do Ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi pojęcia: „strefa zero", „strefa buforowa", „strefa zagrożenia", „zagrożony obszar", „miejsce kwarantanny". Zobowiąże ministra zdrowia do określania rozporządzeniem wykazu chorób powodujących powstanie obowiązku hospitalizacji, kwarantanny lub nadzoru epidemiologicznego oraz okres podlegania takiej kwarantannie lub nadzorowi (sam obowiązek zastosowania się do kwarantanny czy nadzoru epidemiologicznego już wcześniej wynikał wprost z tej ustawy).

RZĄD ZAKAŻE OPUSZCZANIA STREFY

Rząd dodał jeszcze istotne przepisy – pozwolą one w stanie epidemii lub zagrożenia epidemiologicznego Radzie Ministrów wyznaczać obszar zagrożony. Na takim obszarze zrząd będzie mógł rozporządzeniem wyznaczyć rodzaj strefy oraz „rodzaj stosowanych rozwiązań". Będzie więc mógł np. czasowo zakazać opuszczenia strefy zero czy kwarantanny przez osoby chore lub podejrzane o zachorowanie. Będzie też mógł wprowadzić np. czasową reglamentację określonego rodzaju artykułów.

Ściślej w sytuacjach epidemii może być regulowana sprzedaż i dostawa lekarstw, środków medycznych i środków spożywczych specjalnego przeznaczenia. W uzasadnieniu rząd podkreśla, że chodzi m.in. o to, by wydawane z Agencji Rezerw Materiałowych maseczki higieniczne, rękawiczki jednorazowe czy leki przeciwwirusowe trafiały wyłącznie bezpłatnie do pacjentów.

Minister zdrowia będzie mógł decydować, że producent leku ma dostarczać go wyłącznie do hurtowni. Tym z kolei może nakazać sprzedaż wyłącznie do aptek, z pominięciem np. sklepów.

Rząd dał sobie też prawo zmuszenia wszystkich podmiotów leczniczych, także prywatnych, do wykonania zadań związanych z przeciwdziałaniem koronawirusowi SARS-CoV-2. Będzie mógł zmusić takie podmioty do zmiany struktury – np. zmiany oddziałów na zakaźne – ale też do przekazania produktów leczniczych, wyrobów medycznych, środków spożywczych specjalnego przeznaczenia żywieniowego oraz aparatury i sprzętu medycznego, by zapewnić ciągłość leczenia ludzi rozpoczętą już w innych placówkach. Premier będzie mógł też nakładać takie obowiązki na jednostki samorządu terytorialnego.

ZAWIESZANIE PRZEPISÓW

Żeby szybko przeciwdziałać rozprzestrzenianiu się epidemii, czasem trzeba szybko kupować określone towary. W przypadku jednostek rządowych i samorządowych trzeba jednak robić przetargi, które potrafią trwać niemiłosiernie długo. Dlatego w przypadku „prawdopodobieństwa szybkiego i niekontrolowanego rozprzestrzeniania się choroby lub jeżeli wymaga tego ochrona zdrowia publicznego" specustawa pozwala na niestosowanie przepisów ustawy Prawo zamówień publicznych. W takich przypadkach nie będą też stosowane przepisy Prawa budowlanego oraz Ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym, Ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami. A gdy będzie za mało miejsc do udzielania pomocy medycznej, nie będzie też obowiązywać ustawa o działalności leczniczej.

Rząd będzie też mógł wydawać polecenia związane z przeciwdziałaniem koronawirusowi przedsiębiorcom. Zastrzegł sobie, że może ich o tym informować m.in. środkami komunikacji elektronicznej. Z tym że wszelkie ścisłe ustalenia będą zapisywane w formie protokołów.

W obiczu SARS-CoV-2 specjalne prawo przygotowywano nie tylko w Polsce. Pracowano nad nimi również we Włoszech. Czasem też wzbudzało to podejrzliwość. Tak było np. w przypadku gubernatora stanu Nowy Jork. Andrew Cuomo, który po wykryciu przypadków koronawirusa w jego stanie w ubiegłym tygodniu podpisał prawo rozszerzające jego uprawnienia w zakresie zarządzania kryzysowego i przeznaczył na powstrzymanie choroby dodatkowe 40 mln dol. Chodziło głównie o rozszerzenie definicji „katastrofy" na coś, co może wydarzyć się w przyszłości – czyli by zapobiegać epidemii na jej początku. Podejrzliwi wobec gubernatora byli zarówno demokraci, jak i republikanie. Ostatecznie prawo jednak przyjęto.

Najbardziej kontrowersyjny zapis polskiej specustawy – mówiący o tym, że rząd, jego jednostki i samorządy nie ponoszą odpowiedzialności za szkody wyrządzone działaniami dotyczącymi przeciwdziałania SARS-CoV-2 – skreślono jeszcze podczas procedowania w Sejmie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CO WIEMY DZIŚ O WIRUSIE Z WUHAN? – CZYTAJ NA STR. 92

eprasa.pl 5a2134d4e1

Strzembosz na sztandarze

Wojciech Wybranowski

Profesor Adam Strzembosz staje się jednym z najbardziej znanych prawników kwestionujących reformę sądownictwa. Nigdy nie należał on do zwolenników „przewietrzenia" polskich sądów

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Dalsze funkcjonowanie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego" jest działaniem przestępczym" – ogłosił na początku lutego prof. Adam Strzembosz, prawnik, były sędzia, w latach 1990–1998 pierwszy przewodniczący Sądu Najwyższego, podczas pikiety pod budynkiem Sądu Najwyższego zorganizowanej przez związany z opozycją Komitet Obrony Sprawiedliwości. Były działacz antykomunistycznej opozycji w PRL wziął też w obronę zawieszonego sędziego Pawła Juszczyszyna i oskarżył rządzący obóz Zjednoczonej Prawicy o to, że od pięciu lat systematycznie łamią zasadę trójpodziału władz.

Wystąpienie prof. Strzembosza zostało z uznaniem przyjęte przez polityków opozycji, bliskie im media i sędziów, którzy kwestionują wprowadzaną przez obecny rząd reformę wymiaru sprawiedliwości. Atutem prof. Adama Strzembosza jest nie tylko olbrzymie doświadczenie prawnicze – w III Rzeczypospolitej był prezesem Sądu Najwyższego, a także przewodniczącym Trybunału Stanu, przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa. Za swoją nienaganną postawę w czasach reżimu komunistycznego, m.in. za obronę godności, niezawisłości sędziowskiej w PRL, a także tworzenie państwa prawa w III RP, został w 2012 r. uhonorowany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Orderem Orła Białego. Wcześniej, w 2008 r., prezydent Lech Kaczyński odznaczył go za wybitne zasługi dla Rzeczypospolitej Krzyżem Wielkim Orderu Orła Białego. Prestiżowych odznaczeń w „szufladzie" prof. Strzembosza jest znacznie więcej, wśród nich m.in. Krzyż Wielki Orderu Zasługi RFN czy Order św. Grzegorza Wielkiego.

– Jest autorytetem prawniczym w każdym calu, który całe życie poświęcił prawu i nigdy nie był sługą kogokolwiek oraz nie pełnił roli służebnej, mimo że jego kariera toczyła się w mrocznych czasach komunizmu – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" sędzia Paweł Strumiński z SR w Gliwicach. – Potrafił być nie tylko prawnikiem, lecz także przede wszystkim człowiekiem z silnym poczuciem odpowiedzialności za innych. Nie ulegał wpływom komunistów, a później polityków – dodaje nasz rozmówca. Szacunkiem prof. Strzembosz cieszy się po każdej stronie politycznego sporu o kształt sądownictwa.

– Chociaż nie zgadzamy się, gdy chodzi o czarno-białą ocenę dokonywanych reform wymiaru sprawiedliwości, to dowód

eprasa.pl 5a2134d4e1

wierności sprawom najważniejszym dał pan profesor, podpisując się w 2019 r. wraz z wieloma przedstawicielami świata nauki pod apelem Instytutu Ordo Iuris o niezwłoczne podjęcie działań mających na celu rozpatrzenie wniosku grupy posłów o zbadanie zgodności z polską ustawą zasadniczą zaskarżonych przepisów ustawy o planowaniu rodziny – mówi nam dr Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris

NA POLITYCZNEJ BARYKADZIE

Można odnieść wrażenie, że jednak od kilku lat prof. Adam Strzembosz stał się czynnym uczestnikiem politycznej gry wokół polskich sądów, aktywnie włączając się w sprzeciw wobec próby zreformowania polskiego wymiaru sprawiedliwości.

– Znów jestem aktywny. Byłem przed Sądem Najwyższym. Piękny milczący protest. Byłem przed Pałacem Prezydenckim, nawet coś powiedziałem. Nie pchałem się, chcieli mnie na górę wyciągnąć, to się dałem wyciągnąć – mówił w rozmowie z „DGP" o koordynowanych przez środowiska Platformy Obywatelskiej protestach przeciwko „ustawom sądowym" Ziobry.

Wcześniej – w 2016 r. – kiedy prezydent Andrzej Duda zaprzysiągł wybranych już głosami PiS nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego, prof. Strzembosz zarzucał mu, że złamał konstytucję. Kilkanaście dni temu sugerował, że prezydent może stanąć przed Trybunałem Stanu. To retoryka zaskakująco zbieżna z narracją polityków opozycji. – Prezydent przecież przysięgał, że będzie działał zgodnie z konstytucją, tymczasem ten projekt [ustawy „kagańcowej" – przyp. red.] był z nią sprzeczny – mówił w Radiu TOK FM.

Ostrych słów nie szczędził także obecnemu ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze, którego nazywał „wielkim szkodnikiem („Fakty po Faktach", TVN24, wrzesień 2019 r.), a komentując proponowane przez resort sprawiedliwości zmiany w sądownictwie, twierdził, że Ziobro się ośmiesza.

– Nieco dziwi mnie tak radykalna postawa pana prof. Strzembosza w kwestii reformy wymiaru sprawiedliwości i ustaw dotyczących sądownictwa. Zazwyczaj wypowiadał się on w sposób stonowany na temat sądownictwa w Polsce, problemów związanych z wymiarem sprawiedliwości – ocenia dr Bartosz Lewandowski, dyrektor Centrum Interwencji Procesowej Ordo Iuris. Nasz rozmówca zaznacza, że nie podziela krytycznych ocen Strzembosza co do ustaw reformujących wymiar sprawiedliwości.

„USTROJOWY" BŁĄD STRZEMBOSZA

W erze, gdy wyciąganie niechlubnych faktów z PRL-owskiej przeszłości jest elementem gry politycznej, przeszłości Strzembosza trudno coś zarzucić. Działał w podziemnym NSZZ „Solidarność", za swoje zaangażowanie po stronie opozycji był szykanowany, kilkukrotnie tracił pracę, represje dotknęły także jego rodzinę. W stanie wojennym został odwołany ze stanowiska sędziego sądu wojewódzkiego, a następnie z posady docenta w Instytucie Badania Prawa Sądowego. Podczas obrad Okrągłego Stołu pełnił funkcję przewodniczącego podzespołu ds. prawa i sądów, a następnie pełnił funkcję przewodniczącego komisji prawa i sprawiedliwości Komitetu Obywatelskiego. Z poparciem Jarosława Kaczyńskiego startował w 1995 r. w wyborach na prezydenta RP. – Zanim mi powiedział, namówił kilka partii. Przeprowadził negocjacje z Hallem, z taką partyjką Ujazdowskiego, która właściwie była odszczepieniem od Halla, z partyjką Balazsa i z partią tego wariatuńcia... zapomniałem nazwisko... Korwin-Mikkego. Wszystkich ich Jarek namówił – wspominał w 2016 r. w wywiadzie dla „GW". Ostatecznie jednak wycofał się z prezydenckiego wyścigu i poparł kandydaturę Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Co jednak charakterystyczne dla jego dzisiejszych krytycznych ocen reformy wymiaru sprawiedliwości, prof. Strzembosz przez całe lata sprzeciwiał się głęboko idącym zmianom personalnym w polskim sądownictwie.

Głośna była jego deklaracja z przełomu lat 1989 i 1990, kiedy to sprzeciwił się planom lustracji polskich sędziów. – Sędziowie się sami oczyszczą – przekonywał wówczas. – Pytałem, kto ma dekomunizować. Usłyszałem, że adwokaci. Adwokaci chwycili się za głowy, zaczęli pytać, według jakich kryteriów mają oceniać sędziów. Wiedziałem, że jeśli dojdzie do jakiejś pozaprawnej selekcji, to będzie z tego awantura na zachodzie Europy. Przecież zbiorowe represje mają zawsze charakter faszystowski – wspominał Strzembosz w 2017 r. w wywiadzie dla „DGP". I przekonywał, że w sądach po tylu latach nie ma już „komunistycznych złogów".

Dzisiaj już wiadomo, że znany prawnik akurat w tej swojej ocenie mocno się pomylił. – Jakkolwiek jestem przeciwnikiem tezy, że sami sędziowie są dziś powiązani z byłymi służbami, to jednak bez wątpienia w latach 90. ci sędziowie, którzy zostali w sądownictwie, a mieli niechlubną działalność w okresie stanu wojennego, wywarli potężny wpływ na powoływanie i awanse sędziów w ramach struktury wymiaru sprawiedliwości – ocenia dr Lewandowski.

Z kolei zdaniem prawnika Marcina Wątrobińskiego zaniechanie w lustracji sądów stało się „błędem ustrojowym", który mógł zaważyć na kształcie polskich sądów, jakości pracy i dzisiejszym politycznym zaangażowaniu części sądownictwa. Przypomina też, że wschodnie Niemcy były w podobnej sytuacji politycznej jak Polska, a jednak lustrację sędziów i prokuratorów tam przeprowadzono, a w jej wyniku w 1991 r. 61,7 proc. sędziów i aż 68 proc. ogólnej liczby prokuratorów wywodzących się z dawnej NRD musiało pożegnać się z pracą na zajmowanych stanowiskach. – Można by postawić prostą tezę. Dlaczego Niemcom udało się oczyścić sądownictwo i odsunąć sędziów skompromitowanych współpracą z komunistycznymi służbami, a więc takich, których teczki mogły znaleźć się w rękach, delikatnie mówiąc, niepowołanych? Bo Niemcy nie mieli prof. Strzembosza z jego obroną środowiska sędziowskiego – mówi Wątrobiński. I dodaje: – Nie jestem w stanie zrozumieć, że zostawiono w wymiarze sprawiedliwości takie osoby jak sędzię Agnieszkę Owczarek, odznaczoną przez władze PRL za zasługi w stanie wojennym, i później tacy jak ona awansowali do Sądu Najwyższego.

Pytanie, czy niechęć prof. Strzembosza do poparcia wtedy i dziś zmian w polskim sądownictwie wynikała z wiary w etos prawniczego zawodu, zawodowych powiązań i koneksji czy też nieznajomości faktycznego stanu?

W 2017 r. sondowani przez „DGP" Polacy w większości wyrazili niezadowolenie ze sposobu funkcjonowania polskiego sądownictwa. – A może trzeba ich zapytać: Czy byłeś kiedykolwiek w sądzie? A jeżeli tak, to w jakim charakterze: pozwanego, powoda, świadka, oskarżonego, oskarżyciela prywatnego? Jeśli się takie pytania zada, to okaże się, że ponad połowa badanych nie miała żadnego kontaktu z sądami, a swoje opinie opierała przede wszystkim na tym, co usłyszała w telewizji – bagatelizował prof. Strzembosz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Z Andrzejem Pozorskim, zastępcą prokuratora generalnego i dyrektorem Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
rozmawia Piotr Litka

Dopóki żyje sprawca

PIOTR LITKA: Krytycy działań prokuratorów IPN twierdzą, że prowadzone po latach śledztwa niczemu nie służą, że niewielu oskarżonych zostaje skazanych i w sumie sprawiedliwości nie staje się zadość...

ANDRZEJ POZORSKI: Absolutnie się z tym nie zgadzam. Proszę zauważyć, że Główna Komisja, której dyrektorem jestem od kilku lat, została powołana do istnienia tuż po wojnie [w listopadzie 1945 r. – przyp. red.]. Miała badać i dokumentować zbrodnie hitlerowskie, później stalinowskie. Jeśli chodzi o ukaranie niemieckich zbrodniarzy wojennych, to właśnie w Polsce skazano ich po wojnie najwięcej w Europie, w tym na kary śmierci. Jednak dopiero od niespełna 20 lat, w ramach działalności Instytutu Pamięci Narodowej, prokuratorzy mogą ścigać zbrodnie nazistowskie, komunistyczne, przeciwko pokojowi, ludzkości i zbrodnie wojenne. Powody tego stanu rzeczy są różne. Działalność Głównej Komisji w czasach PRL determinowała sytuacja polityczna. Wtedy w istocie niemożliwe było skuteczne ściganie stalinowskich prokuratorów, sędziów czy funkcjonariuszy aparatu terroru. Obecnie do naszych ustawowych zadań należy m.in. ściganie bezprawia państwa komunistycznego, w tym tzw. zbrodni sądowych, które były popełniane nie tylko na przełomie lat 40. i 50. ubiegłego wieku wobec Polaków walczących w podziemiu niepodległościowym, lecz także tych działających w opozycji w stanie wojennym. To w tej chwili jest dla nas jeden z priorytetów.

A konkretnie?

Dam przykład. Tylko od stycznia do grudnia ubiegłego roku zarejestrowaliśmy 1043 nowe postępowania we wszystkich oddziałowych komisjach naszego pionu. Ponad połowa z nich dotyczy właśnie zbrodni komunistycznych. Dane statystyczne, przy obiektywnej ich analizie, obrazują dobrą realizację zadań służbowych przez prokuratorów. To może zabrzmi nieskromnie, ale taka jest rzeczywistość.

Jakie inne sprawy prowadzą prokuratorzy IPN?

Blisko 300 z nich to zbrodnie nazistowskie. Reszta dotyczy zbrodni przeciwko pokojowi, ludzkości i zbrodni wojennych. Zajmujemy się też przestępstwami dotyczącymi ukrywania i niszczenia dokumentów, które winny trafić do zasobu archiwalnego IPN, oraz tzw. kłamstwem oświęcimskim. Przykładowo: prowadzimy w ramach rozległego śledztwa prace archeologiczne na terenie niemieckiego obozu przymusowej pracy Treblinka I, które zmierzają do odnalezienia miejsc, w których oprawcy skrycie grzebali swoje ofiary. To nieznany szerzej historykom i opinii publicznej obóz, oddalony od obozu zagłady Treblinka II o jakieś 2,5 km. Do tej pory udało nam się zebrać w sprawie funkcjonowania tego obozu pracy ok. 200 istotnych dowodów rzeczowych. Jednak ostatnio, o czym już wspominałem, dużym wyzwaniem dla prokuratorów prowadzących śledztwa w naszym pionie okazały się przede wszystkim przestępstwa przeciwko wymiarowi sprawiedliwości.

Którego okresu dotyczą?

W mniejszym zakresie czasów stalinowskich, bo większość sprawców nie żyje, ale postępowania te pozwalają na rehabilitację wówczas niesłusznie skazanych niewinnych osób. W przypadku uznania przez sąd nieważności takiego wyroku, przed byłym skazanym lub skazaną, którzy zostali poszkodowani przez PRL-owski wymiar sprawiedliwości, otwiera się szansa na dochodzenie zadośćuczynienia i odszkodowania od Skarbu Państwa. Jeśli taka osoba nie żyje, to taki wniosek mogą złożyć jej najbliżsi.

Osobną grupę spraw stanowią wyroki wydane z jawnym naruszeniem prawa w okresie stanu wojennego. Są to zupełnie nowe doświadczenia w naszej pracy śledczej. Okazało się bowiem, że sprawy te dotyczą bezprawnych orzeczeń wydanych przez sędziów i prokuratorów w okresie stanu wojennego, którzy są, lub do niedawna byli, czynnymi pracownikami wymiaru sprawiedliwości. Byli wśród nich np. dwaj sędziowie Sądu Najwyższego, z których jeden orzekał jeszcze w 2018 r. Był też nadal czynny sędzia jednego z dużych sądów okręgowych oraz trzech prokuratorów w stanie spoczynku byłych prokuratur apelacyjnych.

Chroni ich immunitet?

Oczywiście i tu, a tak było w kilku przypadkach, od których zaczęły się tego typu śledztwa, obawialiśmy się, w jaki sposób

eprasa.pl 5a2134d4e1

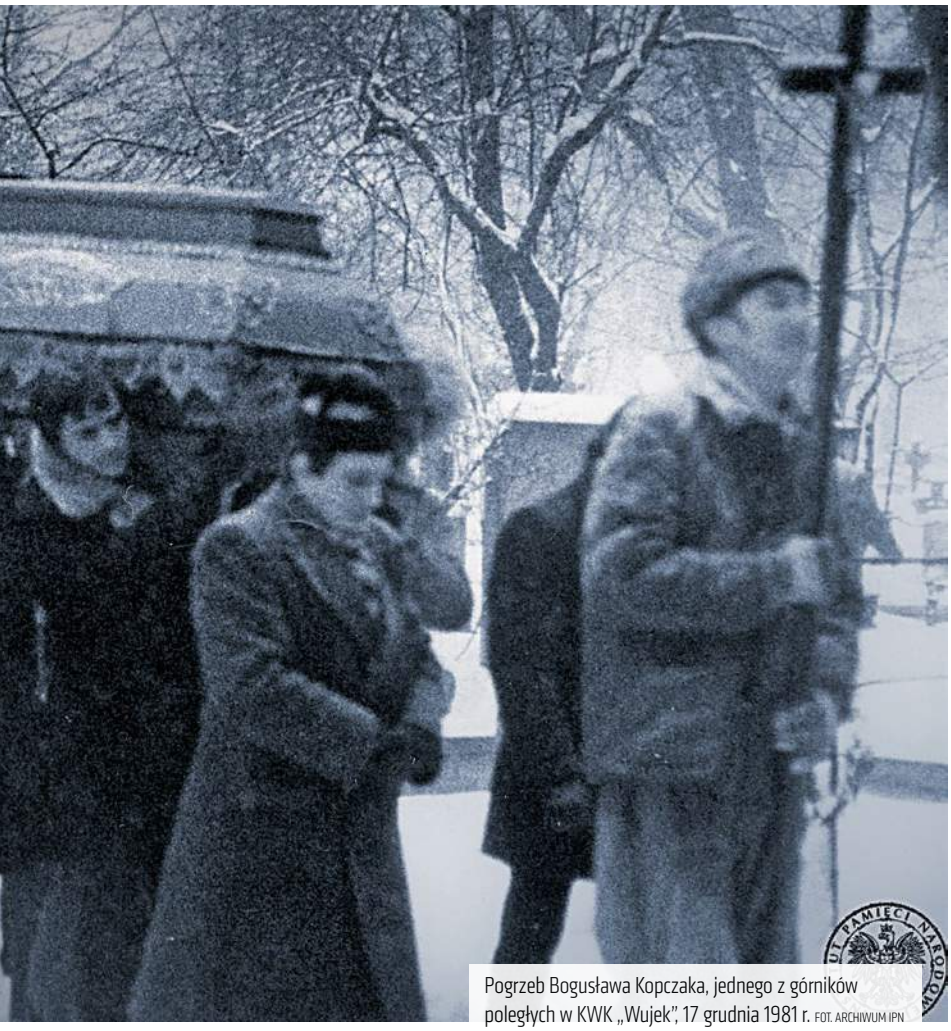

Pogrzeb Bogusława Kopczaka, jednego z górników poległych w KWK „Wujek", 17 grudnia 1981 r. FOT. ARCHIWUM IPN

Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w liczbach*

Liczba aktów oskarżenia skierowanych do sądów w latach 2000–2019	**369**
Osoby, przeciwko którym wniesiono akty oskarżenia w latach 2000–2019	**557**
Liczba osób skazanych prawomocnymi wyrokami w latach 2000–2019	**161**
Oskarżeni zmarli podczas postępowań trwających w latach 2000–2019	**90**
Osoby uniewinnione w latach 2000–2019	**39**
Liczba prokuratorów pracujących we wszystkich komisjach w 2019 r.	**83**
Liczba śledztw wszczętych w 2019 r.	**1043**
Akty oskarżenia skierowane do sądów w 2019 r.	**11**
Liczba osób objętych aktami oskarżenia w 2019 r.	**15**

* dane GKŚZpNP

Akty oskarżenia skierowane do sądów w 2019 r. z podziałem na poszczególne komisje*

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie	**4**
Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie	**3**
Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach	**2**
Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie	**1**
Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu we Wrocławiu	**1**

* dane GKŚZpNP

sądy ocenią nasze wnioski o odebranie tych immunitetów. Bo to nie są proste zagadnienia. Nie będę ukrywał, że za każdą konkretną sprawą szła ogromna praca prokuratorów naszego pionu. Efektywna praca. Bo, po pierwsze, mozolnie zdobywaliśmy dokumentację tych procesów i wyroki sprzed lat, jak też przesłuchiwaliśmy świadków, z których część przebywa obecnie poza granicami kraju.

Ile takich spraw jest obecnie?

Kilkadziesiąt i – jak już mówiłem – to dla nas obecnie priorytet. Powodem jest przede wszystkim to, że żyją i potencjalni sprawcy, i świadkowie, a to zdecydowanie ułatwia wejście takiej sprawy na wokandę i dokonanie jej oceny przez sąd.

Jest jednak jeden przypadek sędziego, myślę tu o Stefanie Michniku, którego jak dotąd nie udało się oskarżyć przed polskim sądem.

Jak pan zapewne wie, jesienią ubiegłego roku po raz trzeci uzyskaliśmy sądowy europejski nakaz aresztowania stalinowskiego sędziego Stefana Michnika, który przebywa obecnie w Szwecji. Działamy w ramach prawa i jedyną rzeczą, którą mogliśmy w tej sprawie zrobić, było wystąpienie o europejski nakaz aresztowania wobec tegoż podejrzanego, by możliwe było postawienie go przed sądem w Polsce.

Należy podkreślić, że wśród łącznie 93 przestępstw zarzucanych Michnikowi są te – mówiąc obrazowo – dużego kalibru, a mianowicie bezprawne wyroki wymierzające kary śmierci. Wykazaliśmy przy tym, że sędzia Michnik przy wydawaniu tak drakońskich wyroków kierował się przede wszystkim przesłankami natury ideologicznej i politycznej, dążąc do fizycznej eliminacji osób postrzeganych przez ówczesne władze jako przeciwnicy polityczni. Z tych powodów przestępstwa popełnione przez niego zakwalifikowaliśmy jako zbrodnie przeciwko ludzkości, a więc czyny, które się nie przedawniają. Stąd nasza determinacja w sprawie sprowadzenia Michnika do Polski.

To jak dotąd się nie udało...

Jedynym organem uprawnionym do rozpoznania ENA wobec Stefana Michnika jest szwedzki sąd. Do tej pory nie otrzymaliśmy jeszcze pisemnego uzasadnienia ostatniej odmowy wydania byłego stalinowskiego sędziego do naszego kraju. Podobnie nie wiemy, czy szwedzka prokuratura zaskarżyła postanowienie sądu

eprasa.pl 5a2134d4e1

w tej sprawie. Ja jednak nie tracę nadziei, bo proszę zauważyć, że ściganie zbrodni przeciwko ludzkości nie jest w żadnym wypadku zemstą na kimkolwiek. Jest wyłącznie egzekwowaniem prawa. Były przestępczy czyn, zbrodnia, dowody jej popełnienia, musi być i kara.

Europejski nakaz aresztowania wobec Stefana Michnika oparty był na bogatym materiale źródłowym, na dokumentach, w tym wyrokach podpisywanych przez Stefana Michnika, zeznaniach świadków. Nie ma tu zatem niczego, co zostałoby przez nas pominięte. Brakuje tylko pozytywnej decyzji szwedzkiego sądu, umożliwiającej proces sądowy Michnika w Polsce.

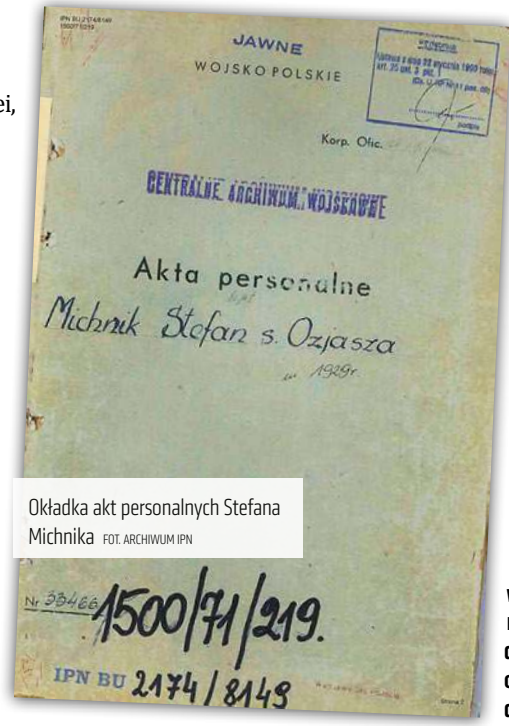

Okładka akt personalnych Stefana Michnika FOT. ARCHIWUM IPN

W przypadku jednego z ZOMO-wców pacyfikujących w stanie wojennym strajk górników w kopalni Wujek europejski nakaz aresztowania udało się skutecznie wyegzekwować...

... ale początkowo Niemcy, których obywatelem jest zatrzymany były ZOMO-wiec, odmówili zgody na jego wydanie. Podejrzany został zatrzymany, gdy przebywał poza granicami Niemiec, a sąd kraju, gdzie nastąpiło owo zatrzymanie, zdecydował o jego wydaniu stronie polskiej. Pozwoliło to na zakończenie śledztwa i skierowanie aktu oskarżenia. Dotąd zapadł w tej sprawie nieprawomocny wyrok w pierwszej instancji.

Jaki jest stan innych spraw, zwłaszcza tych, w których podejrzanymi są sędziowie lub prokuratorzy?

Jak wspomniałem, to sprawy, które określam jako rozwojowe. Jeśli zapadnie prawomocne rozstrzygnięcie sądu co do uchylenia immunitetu, to my dostajemy zielone światło i możemy działać dalej. Bez uchylenia immunitetu sędziowskiego czy prokuratorskiego pion śledczy IPN będzie miał związane ręce i takie postępowania będzie musiał umorzyć. Nie sposób w czasie naszej krótkiej rozmowy przedstawić wszystkich spraw, w których skierowano wnioski o uchylenie immunitetów, ale dla zobrazowania zagadnień, o których mówimy, niech posłużą trzy przykłady „przestępstw" popełnionych i surowo ukaranych w stanie wojennym.

Jeden z wyroków dotyczy osoby, która w czasie jazdy pociągiem wśród współpasażerów wypowiadała się krytycznie o członkach PZPR. Pociąg został zatrzymany, a ten przeciwnik jedynie słusznego ustroju, tak jak stał, został aresztowany i bardzo szybko skazany na trzy lata pozbawienia wolności.

Drugi przykład dotyczy księdza, który podczas wygłaszanego przez siebie kazania w czasie nabożeństwa krytycznie wypowiedział się o WRON. Wyrok: trzy i pół roku. Jaskrawym przykładem politycznej dyspozycyjności sędziów i prokuratorów okresu stanu wojennego jest też pozbawienie wolności dwóch uczniów drugiej klasy liceum ogólnokształcącego, którzy malowali na murach hasła „WRON-a Orła nie pokona", „Precz z WRON" i symbole Polski Walczącej. Prokurator zdecydował o aresztowaniu uczniów, następnie przed sądem wnosił o wymierzenie kar po trzy lata pozbawienia wolności. Sąd uznał, że oskarżeni poniżali naczelny organ państwa, mimo że Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego nie była takim organem. To tylko trzy przykłady z wielu spraw, którymi się obecnie zajmujemy. Pokazują niewątpliwie, że wymiar sprawiedliwości w PRL był bezwzględnie podporządkowany rządzącej partii i jej interesom, a swoich przeciwników „uciszał" takimi właśnie wyrokami.

Naprawiacie błędy wymiaru sprawiedliwości?

Nie nazwałbym tego w ten sposób. Bardziej przywracamy niesłusznie skazanym pokrzywdzonym wiarę w sprawiedliwość i oskarżamy winnych tych czynów. To wszystko. Dopóki sprawca żyje, dopóty musi liczyć się z konsekwencjami popełnionych przez siebie przestępstw.

Ta zasada nie sprawdza się jednak we wszystkich prowadzonych przez pion śledczy IPN postępowaniach. Na przykład sprawa prowokacji na Chłodnej, wymierzonej w ks. Jerzego Popiełuszkę w grudniu 1983 r., już po raz drugi została uznana przez sąd za zbrodnię komunistyczną, która przedawniła się na początku stycznia 1995 r.

Nie chciałbym dziś komentować orzeczenia sądu apelacyjnego, ponieważ obecnie analizujemy uzasadnienie tegoż rozstrzygnięcia. Po zakończeniu tej analizy będziemy mogli poinformować opinię publiczną co do naszych dalszych działań w tej sprawie.

Cierpliwość i determinacja, o których pan wspomina, przydały się chyba w sprawie, która miała swój finał po blisko dekadzie. Za podjęcie decyzji o internowaniu kilkudziesięciu działaczy opozycji ze Szczecina i okolic w pierwszych tygodniach stanu wojennego na początku zeszłego roku zapadł wreszcie prawomocny wyrok. Komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej został uznany za winnego popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości.

Tak, i muszę panu powiedzieć, że moja satysfakcja jako prokuratora jest podwójna. Bo po pierwsze zaczynałem tę sprawę jako szeregowy prokurator oddziałowej komisji w Szczecinie, a jej zakończenie śledziłem już jako dyrektor głównej komisji. Zapadły w tej sprawie wyrok jest na tyle istotny, że może determinować inne wyroki w sprawach, które są już na wokandzie albo które dopiero trafią do sądów w całej Polsce. Tak się chociażby stało w sprawie dwóch byłych emerytowanych generałów MSW: Józefa S. i Władysława C. Warszawski sąd skazał ich także za popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości, opierając się m.in. na wskazywanym przez nas wyroku ze Szczecina. Generałowie byli odpowiedzialni za skierowanie na przymusowe wojskowe ćwiczenia rezerwistów związanych z ówczesną opozycją. Tak więc można mówić w tym przypadku o swego rodzaju reakcji łańcuchowej: jedno orzeczenie sądu czy wyrok w jakiejkolwiek prowadzonej przez nas sprawie determinuje kolejne, a my pracujemy dalej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Andrzej Pozorski** – absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego, wieloletni prokurator, zastępca prokuratora generalnego, dyrektor Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.*

eprasa.pl 5a2134d4e1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl 5a2134d4e1

Wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik podczas konferencji prasowej przed domem pani Magdaleny z Wierzbicy FOT. PIOTR POLAK/PAP

Rodzina chce być razem

Agnieszka Niewińska

Uzależniony od alkoholu ojciec i dwa pokoje dla 17-osobowej rodziny. Sąd zdecydował, że dzieci nie mogą żyć w takich warunkach. I choć nie ma zastrzeżeń do opieki matki, to postanowił umieścić rodzeństwo w domu dziecka

Razem jest ich piętnaścioro. Jedenaścioro rodzeństwa to kilkuletnie maluchy i młodzież, która jeszcze nie skończyła 18 lat. Zgodnie z decyzją sądu w Piotrkowie Trybunalskim jedenastka rodzeństwa z Wierzbicy w woj. łódzkim miała z końcem lutego trafić do placówki opiekuńczej. – Od 30 grudnia trwa u mnie katastrofa. To wtedy sąd w Piotrkowie zdecydował o zabraniu mi dzieci – żaliła się dziennikarzom pani Magdalena, matka rodzeństwa z Wierzbicy, która nie widząc innego wyjścia, swoją sytuacją zainteresowała media.

SĄD: ZŁE WARUNKI I ŚRODOWISKO

Sąd decyzję podjął na wniosek kuratora pracującego z rodziną. Agnieszka Leżańska, rzeczniczka Sądu Okręgowego w Piotrkowie Trybunalskim, tłumaczy, że ocenił on, iż dobro dzieci jest zagrożone i nie mogą dalej funkcjonować w takich warunkach i środowisku.

– Głównym powodem umieszczenia dzieci w rodzinie zastępczej było nadużywanie alkoholu przez ich ojca, w domu, przy dzieciach, często w towarzystwie kolegów i do późnych godzin nocnych, co uniemożliwiało dzieciom spanie – wskazuje Leżańska. – Ojciec dzieci, będąc pod wpływem alkoholu, stawał się agresywny werbalnie w stosunku do matki dzieci, tak więc małoletnie dzieci były świadkami przemocy domowej – dodaje.

Wobec mężczyzny toczy się postępowanie karne o znęcanie się nad żoną. Rodzina ma założoną Niebieską Kartę – po jednej z awantur wszczętych przez ojca w domu interweniowała policja. – Ojciec nie widzi potrzeby podjęcia leczenia, mimo że już od 2015 r. rodzice mieli ograniczoną władzę rodzicielską i ustanowiony nadzór kuratora sądowego, który, niestety nieskutecznie, próbował skłonić ojca do zaprzestania picia alkoholu i podjęcia leczenia. Sąd uznał, że postępowanie ojca ma niewątpliwie demoralizujący wpływ na dzieci i uniemożliwia ich prawidłowy rozwój – wskazuje rzeczniczka piotrkowskiego sądu.

Zwraca także uwagę na złe warunki, w jakich żyje rodzina. W niewielkim nieotynkowanym domu z szarych pustaków w dwóch pokojach z kuchnią mieszka 17 osób. Matka gotuje na kuchni węglowej, nie ma centralnego ogrzewania, w zimie rodzina pali w piecu znajdującym się w jednym z pomieszczeń. Pilnego remontu wymaga łazienka.

Rodzina od 1990 r. jest objęta pomocą Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Ładzicach. Katarzyna Kowalik, kierownik OPS w Ładzicach, tłumaczyła, że mają oni asystenta rodziny, co tydzień, a czasem i kilkakrotnie w ciągu tygodnia odwiedza ich pracownik socjalny w ramach rutynowych działań.

Źródłem utrzymania rodziny są zasiłki i świadczenie „500+". Pracujący dorywczo ojciec do domowego budżetu dokłada symboliczne 100 zł miesięcznie.

Pani Magdalena żali się, że właśnie teraz, kiedy dzięki świadczeniu „500+" mogła kupić dzieciom niezbędne meble i odłożyć fundusze na remont łazienki sąd uznał, że dzieci mają trafić do placówki opiekuńczej. – Nie jest sztuką zabrać dzieci do domu dziecka – mówi matka, z trudem powstrzymując łzy, i pyta, dlaczego jej miłość do dzieci

eprasa.pl 5a2134d4e1

i opieka, którą je otacza, nie mają znaczenia.

POMOGĄ STRAŻ I WÓJT

Medialne zamieszanie sprawiło, że rodziną zainteresowała się posłanka Anna Milczanowska z PiS. – Po reportażu, który ukazał się w „Gazecie Radomszczańskiej", do mojego biura poselskiego zaczęło się zwracać wiele osób z prośbą o interwencję. Zdecydowałam się przyjrzeć sprawie. Rodzinę pani Magdaleny odwiedziłam wraz z prawnikiem – mówi „Do Rzeczy" Milczanowska. Zaznacza, że zapoznała się z dokumentami, zasięgnęła informacji o rodzinie w instytucjach, które się nią zajmowały. – Pani Magdalena jako matka ma bardzo dobre opinie. Mimo trudnej sytuacji należycie opiekuje się dziećmi, dba o posiłki, opiekę lekarską dzieci, o to, by miały przygotowane czyste ubrania. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że dobrze wywiązuje się z roli matki – mówi Anna Milczanowska.

Temu nie zaprzecza nawet sąd. – Matka dzieci stara się w miarę swoich możliwości dbać o nie, gotuje im posiłki, dzieci są zadbane, jednakże zachowanie męża uniemożliwia jej prawidłowe wykonywanie obowiązków rodzicielskich – tłumaczy Agnieszka Leżańska.

Posłanka zwraca uwagę, że choć matka z Wierzbicy jest drobną kobietą, to dostrzega w niej siłę i determinację do tego, by dzieci z nią zostały. – Widać, że są bardzo z nią związane i zżyte ze sobą. Odebranie ich matce byłoby dla nich ogromną krzywdą – mówi Milczanowska. I zaznacza, że problemów do rozwiązania jest wiele. Na razie udało się skłonić ojca rodziny, by wyprowadził się z domu. – Mamy nadzieję, że ojciec rodziny z chorobą alkoholową, który nie mieszka już z dziećmi, podda się leczeniu. Wiele osób chce pomóc w rozbudowie domu. Taką deklarację złożyli już wójt gminy Ładzice, ochotnicza straż pożarna, przedsiębiorcy, inżynierowie budowlani, projektanci. Jest możliwość zaadaptowania strychu i powiększenia przestrzeni o 40 mkw. To by była ogromna zmiana dla tej rodziny, ale potrzebuje ona także pomocy terapeutycznej, psychologicznej – mówi posłanka.

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie miało odebrać dzieci 28 lutego. Ze względu na zainteresowanie mediów, które pojawiły się pod domem rodziny, zrezygnowało.

Radca prawny mec. Bartłomiej Biskup, pełnomocnik pani Magdaleny, który sprawą zajął się pro publico bono, złożył do sądu wniosek o wstrzymanie wykonania prawomocnego orzeczenia sądu i merytoryczne rozpoznanie sprawy. – Wniosek o zabezpieczenie postępowania poprzez wstrzymanie wykonania postanowień sąd powinien rozpoznać niezwłocznie. Liczę, że stanie się to w ciągu najbliższych dni. W sprawach niecierpiących zwłoki – a w moim przekonaniu taka ma miejsce w przedmiotowej sprawie – sąd może wydać postanowienie o zabezpieczeniu bez przeprowadzania rozprawy – mówi mec. Biskup. – Mam nadzieję na pozytywne rozstrzygnięcie. W sprawie zaistniały nowe istotne okoliczności i sąd, kierując się dobrem dzieci, powinien wziąć je pod uwagę. Najlepsze dla nich będzie pozostanie w domu pod opieką matki.

Marzena Kąkała z Fundacji Rzecznik Praw Rodziców, która prowadzi telefon wsparcia dla rodzin zagrożonych pochopnym odebraniem dzieci, przyznaje, że odbiera bardzo wiele telefonów w takich sprawach. – Spotykam się z wieloma sytuacjami, w których decyzja o odebraniu dziecka zapada pochopnie, bez dostatecznego zbadania sprawy. Niedawno zajmowaliśmy się chociażby sytuacją z Warszawy, gdzie dziecko zostało zabrane przez kuratora z przedszkola po tym, jak jego starsza siostra powiedziała lekarzom w szpitalu psychiatrycznym, gdzie przebywa, że jest przez rodziców bita. Przedwczesna decyzja podjęta przez sąd o umieszczeniu dziecka w pieczy zastępczej w trybie natychmiastowym bez należytej weryfikacji donosu szpitala doprowadziła rodzinę do rozdzielenia z dziećmi. Sąd nie wziął pod uwagę tego, że dziewczynka według opinii psychologa ma zaburzenia opozycyjno-buntownicze i skłonności do konfabulacji. Oparł się całkowicie na jej słowach – opowiada Kąkała.

MARTWY PRZEPIS

Anna Milczanowska sprawą rodziny z Wierzbic zainteresowała także Ministerstwo Sprawiedliwości. W ubiegłym tygodniu na miejsce przyjechał wiceminister Michał Wójcik. Ocenił, że sędziowie z Piotrkowa Trybunalskiego popełnili błąd, decydując o przekazaniu dzieci do pieczy zastępczej. – Nie wszystkie okoliczności tej sprawy zostały wzięte pod uwagę – powiedział, dodając, że liczy na refleksję sędziów i wzięcie pod uwagę faktu, że ojciec już z rodziną nie mieszka. Zapowiedział także wsparcie rodziny z Funduszu Sprawiedliwości.

Kiedy Michał Wójcik był w Wierzbicach, szef resortu sprawiedliwości Zbigniew Ziobro poinformował na konferencji prasowej o przyjęciu przez rząd projektu ustawy antyprzemocowej. Wprowadza ona zapis o tym, że policja będzie mogła wydać sprawcy przemocy domowej nakaz natychmiastowego opuszczenia mieszkania i zakaz zbliżania się do niego. Z kolei sąd na decyzję w tej sprawie będzie miał 48 godzin. Gdyby takie przepisy obowiązywały wcześniej, być może matka z Wierzbicy nie musiałaby walczyć o pozostanie dzieci w domu, bo dla sądu najważniejsze było odseparowanie dzieci od ojca.

Choć już dziś w prawie mamy zapis o tym by sprawcy przemocy domowej nakazywać opuszczenie wspólnego domu, to w praktyce to nie działa. Decyzję podejmuje sąd, a ze względu na ciągnące się procedury, na które zwracał już uwagę Rzecznik Praw Obywatelskich, mijają miesiące, zanim do tego dojdzie.

– W strachu przed umieszczeniem w pieczy zastępczej dzieci, które są narażone na przemoc w domu lub są jej świadkami, to ofiara decyduje się na wyprowadzenie z mieszkania. I tu zaczynają się schody. Zajmowaliśmy się przypadkiem kobiety, która wyprowadziła się z dziećmi. Dostała mieszkanie socjalne. Z domu zabrała tylko najpotrzebniejsze rzeczy, w mieszkaniu brakowało łóżek, biurek dla dzieci. Pracownik OPS, który przyszedł na kontrolę, uznał, że to powód, by umieścić dzieci w pieczy zastępczej. Udało się tego uniknąć dzięki pomocy Fundacji i ludziom dobrej woli, którzy pomogli wyremontować i wyposażyć mieszkanie – mówi Marzena Kąkała, dodając, że choć mamy ustawowy zapis o tym, że ubóstwo nie jest powodem do umieszczenia dziecka w pieczy zastępczej, to do takich sytuacji też wciąż dochodzi. Sądy znajdują inne uzasadnienie. – W takich sytuacjach wpisują jako powód niezaradność życiową rodziców, niewydolność wychowawczą.

Bez decyzji sądu matka z Wierzbicy nie chce wysyłać swoich dzieci do szkoły. Obawia się, że mogłyby tam zostać zabrane do opieki zastępczej. Po zainteresowaniu mediów sprawą rodziny i po rozmowie z ministrem w panią Magdalenę wstąpiła nadzieja, że uda się zatrzymać dzieci w domu. – Mam nadzieję, że zostaną przy mnie – mówiła dziennikarzom. – Wychowywałam je i chcę mieć je przy sobie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Dzieci nienawiści, dzieci

Piotr Gociek

Tam, gdzie film „Sala samobójców. Hejter" jest dobry – okazuje się bardzo dobry. Tam, gdzie chybia – chybia mocno

Tak jak w »Bożym Ciele« nie chcieliśmy dołączać do tych, którzy w filmach szydzą z »Polski B« (choć ja nie lubię i nie używam tego słowa), tak w »Hejterze« chcieliśmy wytrącić z zadowolenia »Polskę A«" – mówił mi scenarzysta nowego filmu Jana Komasy, Mateusz Pacewicz. Po chwili dodał: „Jak jeden krytyk powiedział: »Polskę Ą«".

Rzeczywiście „Sala samobójców. Hejter" może zirytować warszawkę, bo to kpina, jeśli nie szyderstwo, już nawet nie z „Polski Ą", ale „Polski ĄĘ". Już ponoć po mieście niesie się fala oburzenia: „Jak on mógł to zrobić?". On, znaczy Komasa, laureat licznych nagród salonu, „nasz chłopak w Hollywood", który przywiózł nad Wisłę nominację do Oscara, a niewiele brakowało, żeby przyjechał ze statuetką, jak Paweł Pawlikowski. Pocieszeniem dla oburzonych może być to, że także po stronie „Polski M" rozlegnie się wycie. M jak Marsz Niepodległości. Świadczy to o tym, że powstał film, o który warto się spierać. Pospierajmy się zatem.

ZEMSTA WYKLUCZONEGO

„Hejter" ma trzy warstwy, z których jedna jest znakomita, druga bardzo dobra, a trzecia kontrowersyjna. Tam, gdzie nowy film Komasy jest dobry, okazuje się bardzo dobry. Tam, gdzie Komasa z Pacewiczem chybiają, chybiają mocno. Oto warstwa pierwsza: zemsta wykluczonego.

Główny bohater, Tomasz Giemza (fenomenalna rola Macieja Musiałowskiego), to chłopak ze wsi, który ruszył na podbój Warszawy. Jak wielu mało zasobnych przybyszów pracuje jak wół, żeby utrzymać się w stolicy. Jednocześnie studiuje prawo i idzie mu nieźle, do chwili, kiedy wylatuje ze studiów za plagiat. „Studiując prawo, złamał pan prawo" – orzeka bezlitośnie wykładowca. Czy Tomek rzeczywiście zawinił, czy po prostu, jak sam mówi, ze zmęczenia nie wstawił w odpowiednich miejscach cudzysłowów – pozostaje kwestią otwartą. Tak czy inaczej, jego świat wali się w gruzy. W świecie, który nie toleruje porażek, będzie musiał tę prawdę ukrywać – także przed swymi dobroczyńcami, rodziną Krasuckich, którzy z własnej kieszeni wykładali pieniądze na jego stypendium. Z Krasuckimi (świetne role Danuty Stenki i Jacka Komana) łączy go długa historia. Kiedyś przyjeżdżali na wieś, na wakacje, do rodziców Tomasza. Mały Tomek bawił się z ich córkami, a do pięknej Gabi (Vanessa Aleksander) wzdycha do dziś.

Szybko dowiadujemy się (także sam Tomasz, dzięki sztuczce z podsłuchaniem rozmowy na swój temat), że dla Krasuckich jest raczej czymś w rodzaju oswojonego zwierzątka z prowincji, małpą ubraną w surdut. Za jego plecami kpią z niego niemiłosiernie. Bo kiepsko ubrany, bo oblany kiepskimi perfumami, bo wieśniak. Tomasz śnił o tym, że dzięki ciężkiej pracy, wykształceniu i dawnej zażyłości obu rodzin może stać się jednym z nich. Otóż nie może, bo bogaci i wykształceni Krasuccy bezbrzeżnie gardzą wiejskim przybyszem. Żyją w zupełnie innym świecie, w którym dla takich jak Tomek miejsca nie ma. W świecie tym dzieci wysyła się na studia do Oksfordu, domowe konfitury „ze wsi" od Tomka mogą trafić najwyżej do ukraińskiej gosposi, urodziny uświetniają kwartety smycz-

eprasa.pl 5a2134d4e1

pogardy

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI

kowe, a jaśnie państwo realizują swe światowe ambicje, importując do Polski wymyślne wystawy sztuki współczesnej. Jak mówił niedawno w wywiadzie dla „Newsweeka" Jan Komasa, „Hejter" to film o „nakładaniu maski bycia lepszym" i pogardzie dla tych, którzy nie uczestniczą w „naszym lepszym życiu". Tyle że przytłaczająca większość Polaków żyje życiem zupełnie innym, życiem, o którym, jak diagnozuje Komasa w imieniu salonów, elity nie wiedzą zupełnie nic.

„Hejter" jest historią zemsty Tomka, który wykaże się uporem, pomysłowością i całkowitym brakiem skrupułów, osaczając tych, z którymi łączyć go zaczyna przedziwna love-hate relationship. Na punkcie Gabi ma prawdziwą miłosną obsesję, wobec jej rodziców zacznie hodować w sobie zimną nienawiść. Pamiętacie rodzinę Kimów z filmu „Parasite", którzy jak pijawki przysysają się do bogatej familii w filmie Bonga Joon-ho? Otóż Tomek Giemza jest pasożytem dużo bardziej niebezpiecznym. Kimowie chcieli tylko pieniędzy, Tomek chce być kochanym. I będzie dążył do tego za wszelką cenę. Ta historia obsesji jest w „Hejterze" niemal perfekcyjna, jej psychologiczna przenikliwość, bezlitosność, przypomina filmy Michaela Hanekego albo wczesnego Polańskiego, tego z czasów „Matni" czy „Lokatora". Nie da się nikogo zmusić do miłości, odpowiecie. Racja. Da się jednak wmanipulować.

Tu dochodzimy do drugiej warstwy „Hejtera", który jest opowieścią o manipulacji na kilku poziomach. Giemza manipuluje uczuciami Krasuckich, ale i na życie zarabia jako spec od wykręcania kota ogonem. Żeby utrzymać się na powierzchni (i zwrócić Krasuckim pieniądze ze stypendium), wkręca się do agencji Best Buzz. Firma niby jest zwykłą agencją PR, a tak naprawdę zajmuje się profesjonalnym hejtem w Internecie. Jej właścicielką jest Beata Santorska (Agata Kulesza) i jest to pierwsze, lecz nieostatnie nawiązanie do poprzedniej „Sali samobójców" (2011), pełnometrażowego debiutu Komasy. Santorska, przypomnijmy, to matka Dominika (Jakub Gierszał), głównego bohatera tamtego filmu.

Best Buzz robi w gnoju. To firma od mokrej roboty. Chociaż w oficjalnych briefach zleceń pojawiają się tak neutralne sformułowania jak „redukcja wizerunku", tak naprawdę chodzi o znalezienie brudów na zlecenie klientów, którzy chcą pogrążyć konkurencję. Kiedy trafi się obiekt trudny do zaatakowania, bo punktów zaczepienia brak, wtedy spece z Best Buzz po prostu kłamią – wrzucają do sieci zarzuty kompletnie wyssane z palca, które potem nagłaśniają za pomocą lewych kont w mediach społecznościowych, kupowanych („od Hindusów") lajków, łapek w górę i łapek w dół, komentarzy pisanych przez pracowników agencji. Trolling profesjonalny, trolling morderczy, bo jak udowodnić, że nie jest się wielbłądem?

BRUDNY PRZEMYSŁ DLA LUDZI BEZ SKRUPUŁÓW

Tomek czuje się w Best Buzz jak ryba w wodzie. O ile na początku filmu mogliśmy mieć jeszcze złudzenia, że to tak naprawdę dobry człowiek, który padł ofiarą niesprzyjającego zbiegu okoliczności, o tyle po kilku jego wyczynach zawodowych złudzenia szybko nas opuszczają. Młody, zdolny, wykształcony – wylicza w jednej z rozmów jego szefowa Beata Santorska – mógłbyś przecież robić karierę gdzie indziej. „Co masz na swoje usprawiedliwienie?" – dopytuje Santorska. „Mógłbym – odpowiada Tomek. – Ale po co?". Nowe możliwości kręcą go niesłychanie. Otrzymał niemal boską możliwość kreacji. Inna sprawa, że z przełożonymi w agencji także łączy go relacja dwoista, z jednej strony z dumą pokazuje im „jak to się robi", bo ma talent do brudnej roboty, z drugiej wciąż musi pokazywać, że jest narzędziem użytecznym, bo Best Buzz to także miniatura korpo, w której podwładni są jedynie numerkami w wielkich arkuszach kalkulacyjnych, a o ich losie decydują „cele sprzedażowe" i na każde miejsce pracy (można stracić je z najbardziej błahego powodu) czeka dziesięciu innych, wygłodniałych, ambitnych, żądnych awansu.

„Hejter" jako film o manipulacji sprawdza się równie dobrze jak opowieść o zemście pogardzanego Tomka. Owszem, zjawiska, które ukazuje, nie są nowością – wszak i w PRL-owskiej Służbie Bezpieczeństwa byli spece od produkowania plotek, a rozwijanie własnego biznesu kosztem obsmarowanych konkurentów jest tak stare jak sam biznes, jednak w erze Internetu i mediów społecznościowych łatwość i skuteczność takich działań jest przerażająca. Ten brudny przemysł przyciąga ludzi bezwzględnych, ewentualnie bardzo szybko ludzi ze skrupułami zamienia w ludzi bez skrupułów. To też widzimy u Komasy. Manipulacja tak

eprasa.pl 5a2134d4e1

łatwa w wirtualu, jest też sposobem na osiągnięcie sukcesu w realu. Przełożeni umiejętnie manipulują Tomkiem, przyjdzie moment, kiedy i on będzie nimi manipulował. To, czego nauczy się w Best Buzz, okaże się bezcenne w operacji przeciw rodzinie Krasuckich. Drogi Tomka-mściciela i Tomka-zawodowego hejtera pięknie się tu zbiegają.

OBLANY TEST

Best Buzz zajmuje się jednak nie tylko zleceniami komercyjnymi. Agencja przyjmuje też zlecenia polityczne. I tu dochodzimy do trzeciej, kontrowersyjnej i słabszej od dwóch poprzednich warstwy „Hejtera". Niektóre spostrzeżenia są celne, inne są mocno chybione. Ludzie Santorskiej (nie wszyscy, tylko wybrana elita, do której szybko zostaje dopuszczony Tomek) dostali zlecenie na niejakiego Pawła Rudnickiego, kandydata na prezydenta Warszawy (Maciej Stuhr). Reprezentant Unii dla Przyszłości to kinowe skrzyżowanie Rafała Trzaskowskiego z Pawłem Rabiejem i są z nim w tej historii dwa problemy. Po pierwsze, przedstawiony został niemal jak żywy święty, który rację ma we wszystkim, co głosi (a powtarza głównie zgrabne slogany o tym, że największymi zagrożeniami są dziś nacjonalizm, trybalizm, autorytaryzm). Po drugie, brak w scenariuszu jakiejkolwiek rozsądnej kontry do jego wypowiedzi, bo jego główny przeciwnik z partii Godni i Solidarni nie dostał tyle ekranowego czasu, by wyłuszczyć swój punkt widzenia – jedyne momenty, w których go widzimy, służą temu, by nakreślić go jako czarny charakter.

Ta nierównowaga jest jeszcze bardziej widoczna, gdy zejdziemy o piętro niżej – z poziomu walki o prezydenturę stolicy na poziom ulicznych demonstracji, które wyglądają mniej więcej tak, jak TVN24 zwykł pokazywać Marsz Niepodległości: zamaskowane, przeżarte nienawiścią dzikusy straszą biedną Gabi siedzącą w samochodzie, wyzywają od pedałów postępowego Rudnickiego, wolne chwile spędzają zaś na strzelnicy. Otyłe, obleśne typy, których argumentów nie poznajemy, ich punkt widzenia prezentowany jest jedynie w karykaturalnych wypowiedziach Krasuckiego: „pojeby i faszyści". Twórcy „Hejtera" nie zauważają, że żyjemy w świecie, w którym nie tylko zamordowano liberalnego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, lecz także w którym śmiercią z rąk politycznego przeciwnika zapłacił działacz PiS Marek Rosiak. Pytałem w telewizyjnym wywiadzie scenarzystę Mateusza Pacewicza, czy czytał artykuły o tym, jak działacze lewackiej Antify chwalą się na zamkniętych forach internetowych, ilu to osobników pobili tylko za to, że „wyglądali jak narodowcy". „Nienawiść jest po obu stronach" – odrzekł Pacewicz, podkreślając jednocześnie, że nie o tym jest to film. Otóż, niestety, o tym jest także, tyle że jednostronnie.

Łatwo byłoby napisać bardzo zjadliwą recenzję nowego filmu Komasy, tytułując ją: „Biedny liberał patrzy na zoo". Bo szydząc z elit, twórcy zachowują się momentami właśnie w taki sposób. Dostrzegają, że wróg to też człowiek, kiedy pokazują jednego z narodowców jako sympatycznego, zmanipulowanego gościa, który też ma swoje życie, kocha chorą babcię i zrobi wszystko, by nie brakło jej pieniędzy na lekarstwa. Cóż, może to bestia miła i kochająca, ale jednak bestia, jak to w zoo. Skoro „Hejter" miał być opowieścią o wirusie nienawiści (taki tytuł dał na okładce „Newsweek", anonsując wywiad z Komasą), to wypadałoby pokazać obie strony medalu.

Myślę, że powody, dla których tak się nie stało, są dwa. Po pierwsze, podejrzewam, że Komasie i Pacewiczowi zdecydowanie bliżej do pokazywanego w filmie Rudnickiego, po drugie, nawet jeśli tak nie jest, to nie podjęli ryzyka symetryzmu, bo uznali, że swą ostrą krytykę zamknięcia i pogardy elit muszą zrównoważyć przez odpowiednio mroczny obraz „prawicowych radykałów" – po to, by krytykowane elity całkiem ich nie wyklęły. A tak urażony obywatel warszawki, fan paszportów „Polityki", komentarzy Pawła Wrońskiego i widz TVN24 będzie mógł się uspokajać słowami: „No, ale chociaż TAMTYM dowalili, że hej!". I tak oto gębę nienawiści muszą nosić po raz kolejny tradycyjne „czarne ludy", czyli ci, o których słyszymy z ekranu, że potrafią tylko bełkotać „Europa biała albo bezludna". Nie, oj nie, linia podziału nie przebiega według tak wygodnie nakreślonego frontu. Prawdziwy pisarz czy reżyser, twórca wielki, bezlitosny jest dla wszystkich, ale i jednako współczujący. Tego testu „Hejter" nie przechodzi. Raz jeszcze odwołajmy się do „Parasite" – i biedni, i bogaci, i mądrzy, i głupi dostają w tym filmie za swoje. Komasa zatrzymuje się w pół kroku. No i przypomnijmy rzecz oczywistą dla skrzywdzonych i poniżonych III RP, a niezauważaną przez salon – i chyba też Komasę z Pacewiczem: bogaci i biedni we współczesnej Polsce nie wzięli się z kosmosu, o ich losie nie zdecydował swym werdyktem Pan Bóg Wszechmogący. W tym kasynie, którym była III RP u progu transformacji, wszystkie gry były ustawione, i wygrywało tylko kasyno. Ci, którzy byli zblatowani z elitami PRL, ci, którzy zostali doproszeni na zasadzie „centralizmu towarzyskiego" do stołu, zaludniają dziś – wraz ze swoimi dziećmi – mieszkania i salony Krasuckich.

PIELĘGNOWANIE MITU

A jednak nie można przejść obok tego filmu obojętnie. Przede wszystkim w warstwie pierwszej, czyli opowieści o pogardzie bogatych, o odrazie samozwańczych elit III RP, które nie rozumieją kraju, w którym żyją. Ta pogarda i odraza zrodzić mogą jedynie nienawiść i przemoc – sugeruje „Hejter". Historia Tomka-mściciela, manipulatora, który w imię miłości jest w stanie sięgnąć po najohydniejsze środki, jest wstrząsająca. Poruszający jest obraz manipulacji, obraz świata, w którym dokonano, jak to określam, „outsourcingu moralności i odpowiedzialności", zlecając brudną robotę fachowcom od hejtu i odwracając oczy. Tak jest łatwiej, tak można pielęgnować mit o własnej nieskalaności, o czystych rękach, sercach i duszach. Tak przez dekady III RP odwracała oczy od tych, których w imię lepszej przyszłości skreślono, bo byli za biedni, za głupi, za bardzo odmienni od tego, co chcą widzieć wokół siebie Krasuccy tego świata. Trzeba było życia całego pokolenia, by polskie kino zaczęło to zauważać – o tym przypominał „Proceder" braci Węgrzynów, o tym przypomina nowy film Komasy, mimo że trudno uznać go za dzieło w pełni udane.

Mógł być to film wielki, tymczasem jedynie ociera się o wielkość. Tak jak III RP, nieprawdaż?

★★★★☆☆

REŻ. JAN KOMASA
„SALA SAMOBÓJCÓW. HEJTER"
POLSKA 2020

wyst. Maciej Musiałowski, Agata Kulesza, Danuta Stenka, Vanessa Aleksander

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

HONOROWY PATRONAT

Ministerstwo Zdrowia

AGENCJA BADAŃ MEDYCZNYCH

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

WIZJONERZY
ZDROWIA 2020

24 marca 2020 r. Warszawa

KONFERENCJA
„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2020–2023"

GALA WRĘCZENIA NAGRÓD
„WIZJONERZY ZDROWIA 2020"

Laureatami nagrody są wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, ludzie, którzy zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

ORGANIZATOR

DO RZECZY

PARTNERZY MERYTORYCZNI

Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

FUNDACJA OnkoCafe RAZEM LEPIEJ

Polska Koalicja Pacjentów Onkologicznych

FUNDACJA CARITA

POLSKIE STOWARZYSZENIE DIABETYKÓW

ALIVIA

Federacja Pacjentów Polskich

eprasa.pl 5a2134d4e1

Janina Smolińska
Halina Dunin-Łabędzka
Ina Benita

Z Markiem Telerem, publicystą, autorem książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Tropami wyblakłych gwiazd

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Druga wojna światowa zamknęła oko kamery przed bohaterami pańskiej książki.

MAREK TELER: Rzeczywiście, większość opisanych przeze mnie gwiazd w 1945 r. zaczęła nowe życie – z dala od Melpomeny. Najdobitniej widać to chyba w przypadku Włodzimierza Łozińskiego. Znany z filmów „Znachor", „Profesor Wilczur" i „Gehenna", pracował w latach 50. w cegielni pod Irkuckiem. To chyba najbardziej doświadczony przez los bohater „Zapomnianych artystów II Rzeczypospolitej". W styczniu 1943 r. trafił za działalność konspiracyjną do Auschwitz, skąd został zwolniony dzięki pomocy jednego z obozowych medyków, który rozpoznał w nim aktora. Wobec groźby powrotu do obozu Łoziński (Łemko z pochodzenia) wstąpił w szeregi SS-Galizien, gdzie został buńczucznym (chorążym). Po klęsce oddziału w bitwie pod Brodami trafił, jako jeniec, do łagrów, m.in. w Stalinogorsku, Szybotowie i Irkucku. Odbywszy karę, zamieszkał w Kałuszu i tam go pochowano. W czasie wojny zginęli brat i wuj Łozińskiego, aktor stracił kontakt z żoną Olgą, a pobyt za drutami przypłacił utratą zdrowia. Na domiar złego komunistyczne władze nie pozwoliły mu w latach 50. na powrót do Polski.

Ślady Iny Benity wytropił pan dzięki Internetowi?

Przez wiele lat uważano, że zginęła w powstaniu warszawskim podczas przeprawy kanałami ze Starówki do Śródmieścia. W jej śmierć nie wierzyli jednak przedstawiciele środowiska artystycznego. Mówili o jej wyjeździe do Austrii, lecz nie było na to żadnych dowodów. Nagle w lutym 2018 r. pod artykułem o aktorce na portalu Ilustrowany Tygodnik Polski pojawił się komentarz mężczyzny, który twierdził, że Benita była jego babcią i zmarła w USA.

Relacji wnuka aktorki nikt oprócz mnie nie dawał wiary, lecz w październiku 2018 r. na tej samej stronie pojawił się kolejny komentarz, tym razem słoweńskiego polityka Ingo Pascha. Napisał on, że Inna Florow-Bułhak (prawdziwe imię i nazwisko Benity) była drugą żoną jego ojca, Hansa Pascha – uczestnika antyhitlerowskiego podziemia, ukrywającego w swoim berlińskim mieszkaniu żydowską rodzinę – z którym w 1945 r. mieszkała w Rhumspringe. Nawiązałem z panem Paschem kontakt i otrzymałem od niego powojenne zdjęcie aktorki i dokumenty potwierdzające jej pobyt w Dolnej Saksonii. Następnie Ingo Pasch skontaktował się z wnukiem Iny, Gregiem Scudderem (autorem pierwszego komentarza), i jego ojcem Thaddeusem, oni zaś opowiedzieli mi, co dalej działo się z gwiazdą. Po śmierci

eprasa.pl 5a2134d4e1

Hansa Pascha Ina znalazła się we Francji, następnie w Algierii i Maroku, aż wreszcie w 1960 r. zamieszkała w USA, gdzie zmarła 24 lata później. Oprócz syna Tadeusza Michała miała z Paschem córkę Ritę Annę (prawdopodobnie zmarłą w niemowlęctwie), a z kolejnym mężem, Amerykaninem Lloydem Scudderem, syna Johna. Wojenne losy platynowej seksbomby polskiego kina wymagają jednak dalszych wnikliwych badań.

Czemu Hollywood okazał się dla Janiny Smolińskiej jedynie epizodem?

Smolińska jest dziś zupełnie zapomniana, a tymczasem stała na czele wielkiej grupy tanecznej w hollywoodzkim przeboju pt. „Płomienna piosenka". O makijaż filmowy artystki dbał słynny Max Factor (notabene polski Żyd, Maksymilian Faktorowicz, urodzony w Zduńskiej Woli), grała u Alana Croslanda, a na planach zdjęciowych spotkała m.in. Gilberta Rolanda. Światowe życie aktorki przerwał jednak skandal obyczajowy związany z jej małżeństwem z polonijnym przedsiębiorcą Wacławem Walterem Grabowskim. Amerykańska prasa rozpisywała się na temat ich burzliwej sprawy rozwodowej, co bardzo zaszkodziło artystce wizerunkowo. Po powrocie do ojczyzny też nie miała lekko, w 1933 r. bowiem o kradzież i pobicie oskarżył ją publicysta Stanisław Brochwicz-Kozłowski, którego osiem lat później zlikwidowano – wyrokiem Polski podziemnej – za współpracę z Niemcami. Ostatecznie Smolińska znalazła swoje miejsce na ziemi w Paryżu, gdzie otworzyła szkołę taneczną.

Monika Carlo na plan filmowy trafiła dzięki swojemu pióru?

Bardzo ekspansywnie promowano ją w gazetach, szczególnie na łamach czasopisma filmowego „Kino". Ta rekomendacja przybierała wręcz kuriozalny charakter. Kiedy w „Czarnej perle" aktorka zagrała epizod kobiety przy barze, recenzentka „Kina" rozpisywała się na temat jej niewykorzystanego jakoby talentu. Zdecydowanie ciekawsza od działalności aktorskiej panny Carlo była jej kariera pisarska. Znaczona publikacją prasową pamiętnika zatytułowanego „W pogoni za filmem", drukowanego w odcinkach, niczym powieść wagonowa, gdzie zrelacjonowała swą podróż po Europie z nadzieją na zrobienie kariery ekranowej. Na łamach „Kina" zamieszczała również przemyślenia na temat X muzy. Ostatecznie ta uboga dziewczyna ze Spławia pod Koninem nie zagrała ani jednej głównej roli, lecz otarła się o świat przedwojennych gwiazd.

Karierę Haliny Dunin-Łabędzkiej wspierał jej wpływowy małżonek?

Była jedną z najpiękniejszych twarzy naszego kina niemego. Zagrała w dwóch polskich filmach „Wampiry Warszawy: Tajemnica taksówki nr 1051" i „Bunt krwi i żelaza" oraz dwóch dziełach francuskich: „Naples au baiser de feu" i „La tournée Farigoule". Po ślubie z Feliksem Rzewuskim mąż kategorycznie zabronił jej uprawiać aktorstwo. Co prawda po kilku latach para się rozwiodła, ale Łabędzka nie wróciła już – mimo kilku intratnych ofert – na plan filmowy. Drugim jej małżonkiem został radykalny piłsudczyk Wojciech Stpiczyński, a po jego przedwczesnym zgonie w 1936 r. została 31-letnią wdową z maleńką córeczką. „Jej fenomenalna uroda nie przyniosła jej w życiu szczęścia" – napisał o niej radiowiec Roman Jasiński. Schyłek życia spędziła w Skierniewicach.

Posądzenia o kolaborację rzucają cień na sylwetki Luli Kryńskiej i Bożeny Alesso...

To dwie artystki, które w czasie wojny poślubiły obywateli III Rzeszy, narażając się na podejrzenia o kolaborację ze strony Polski podziemnej i ostracyzm ze strony świata artystycznego. Pierwsza została żoną adwokata Gerharda Schmidta, druga niemieckiego aktora z Theater der Stadt Warschau. Żadnej z nich nigdy nie udowodniono zdrady narodu polskiego. Trudno zresztą potępiać kogoś za miłość... Staram się zatem nie oceniać ich życiowych wyborów. Samo pojęcie „kolaboracja" jest zaś moim zdaniem nadużywane. Mianem „kolaborantów" nazywa się zarówno aktorów, którzy grali w kontrolowanych przez Niemców teatrach jawnych, jak i ludzi, którzy wydawali rodaków na śmierć. Nie mówiąc o tym, że dla wielu domniemanych „kolaborantów" praca w teatrach koncesjonowanych przez okupanta była przykrywką dla działalności w ZWZ-AK, choćby dla Romana Niewiarowicza, oficera wywiadu ofensywnego WW-72, czy jego podwładnego Andrzeja Szalawskiego. Kryńska swych dni dożyła w Wenezueli, pracując w bibliotece, Alesso zaś kontynuowała karierę taneczną w USA i Kanadzie.

MAREK TELER „ZAPOMNIANI ARTYŚCI II RZECZYPOSPOLITEJ" WYDAWNICTWO MICHAŁ ŚWIGOŃ PROMOHISTORIA 2019

Lunię Nester uratował paszport zagraniczny?

Nazywano ją tancerką trzech kontynentów, gdyż święciła triumfy na scenach Europy, Azji i Ameryki. W 1930 r. otrzymała amerykańskie obywatelstwo. Rok później wyszła za mąż za dr. Mariana Śmietańskiego i zamieszkała na stałe w Polsce. W 1940 r. amerykański paszport umożliwił jej wyjazd z okupowanej Warszawy, mąż zginął w powstaniu warszawskim. W USA pracowała z powodzeniem w balecie, lecz PRL-owskie media to ignorowały. Dopiero w 1957 r. przypomniał o niej „Przekrój". W artykule o przebywających na emigracji w USA artystach poczytny w międzywojniu pisarz Antoni Marczyński wytknął Luni słabość do lekarzy (jej drugim mężem był dr Jan Jachimowicz) i brak sukcesów w pracy artystycznej. Cały tekst miał zresztą dość propagandowy wydźwięk, krytykował bowiem większość przedwojennych gwiazd, które wybrały życie na „zgniłym Zachodzie".

Filmowe marzenia Stefana Rogulskiego ziściła dopiero jego progenitura.

Będąc nastolatkiem, wystąpił m.in. w filmach „Janko muzykant" i „Legion ulicy", a polska kinematografia wiązała z nim duże nadzieje. Artystyczne marzenia przerwał Wrzesień '39. A po wojnie Stefan nie chciał firmować socrealistycznego kina – twierdził, że wróci do aktorstwa, jak gen. Władysław Anders przybędzie do Polski... Karierę filmową wybrali synowie Rogulskiego. Krzysztof jest cenionym reżyserem filmów dokumentalnych i fabularnych („Wielka majówka"), a Jerzy – aktorem, wcielił się m.in. w postać prof. Ulé we francuskim filmie „Planetarium", u boku Natalie Portman i Lily-Rose Depp.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marek Teler – publicysta periodyków historycznych, bloger, badacz genealogii oraz pionierskich dziejów kinematografii polskiej, autor książek: „Kobiety króla Kazimierza III Wielkiego" i „Zapomniani artyści II Rzeczypospolitej".

eprasa.pl 5a2134d4e1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Woda kontra wódka

★★★☆☆☆

REŻ. ROBERT GLIŃSKI
„ZIEJA"
POLSKA 2020

wyst. Andrzej Seweryn, Zbigniew Zamachowski, Mateusz Więcławek

Pierwsza dobra wiadomość: Robert Gliński dał sobie spokój (przynajmniej na razie) z tematyką młodzieżową. Druga dobra wiadomość: klątwa Zanussiego i Kawalerowicza przestała działać.

O co chodzi z tą klątwą? Polskie produkcje, którym urządzano premiery w Rzymie, delikatnie mówiąc – udane nie były. Rzadko zdarzało mi się widzieć tylu walczących z sennością widzów co na watykańskim pokazie „Quo vadis". Film o ks. Ziei epidemii ziewania nie wywoła, choć zadebiutował w kinie na Campo de' Fiori, tym samym, na którym spalono apostatę Giordana Bruna.

Kapelana „Szarych Szeregów" i współzałożyciela KOR trudno nazwać heretykiem, chociaż lubił płynąć pod prąd. Taki miał charakter. Z filmu Glińskiego dowiadujemy się, że pochował samobójczynię w poświęconej ziemi, będąc kapelanem wojskowym, przypominał zaś żołnierzom, że zabijanie to grzech, którego nawet obrona ojczyzny przed bolszewikami nie usprawiedliwia. Podczas następnej wojny jako więzień oflagu intonuje „Boże, coś Polskę", by tego samego dnia spowiadać Niemców – katolików. Jak na wzorowego chrześcijanina przystało, powtarzał, że zło można pokonać tylko dobrem. Namawiał do miłowania wrogów i wybaczania krzywd.

Człowiek z taką biografią i takimi poglądami musiał przykuć uwagę funkcjonariuszy SB, szukających kwitów na „tak zwaną opozycję". Major Grosicki, mający poważny problem nie tylko z alkoholem, umyślił sobie, że oderwanego od rzeczywistości ascetę łatwo przerobi na współpracownika. Swój optymizm musiał zweryfikować już podczas pierwszego przesłuchania, gdy Zieja wyznał, że do sprzeciwiania się Polsce Ludowej namówił go Jezus.

Psychologiczny pojedynek z esbekiem jest fabularną klamrą. Gliński nie powtórzył błędu Agnieszki Holland (w jej filmie „Zabić księdza" ofiara znalazła się w cieniu kata), lecz „Zieja" bardziej spodoba się czytelnikom krakowskiego „Tygodnika Powszechnego" niż częstochowskiej „Niedzieli". Jacek Kuroń został tu wystylizowany na świeckiego świętego. Przyjaciel w sutannie umacnia go w niedowiarstwie, zapewniając, że „kto ma Boga w sercu, nie potrzebuje religii".

Bohater uznający, że Kościół źle traktuje kobiety, upokarzający na Jasnej Górze biskupów, którzy nie chcą stanąć w prawdzie, to figura zbyt anachroniczna, by mogła być prawdziwa. Aż dziw, że scenarzysta nie tknął wątku żydowskiego (podczas okupacji ks. Jan współpracował z „Żegotą"). Dobre aktorstwo i sprawna reżyseria ratują film, ale jego autorzy, wystawiając niepokornemu kapłanowi pomnik, zapomnieli, że najbardziej lubimy świętych ze skazą. Ekranowy Zieja to monolit. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ZDRAJCA"

Życie i czasy Tommasa Buscetty, jednej z ważnych postaci sycylijskiej mafii. Jednak do historii przeszedł on dlatego, że był pierwszym wielkim bossem, który złamał omertę, przysięgę milczenia. W ostatnich kilkunastu latach życia kilkakrotnie zeznawał przed sądem przeciw dawnym kompanom. „Zdrajca" Marco Bellochio pokazywany był na ostatnim festiwalu w Cannes. To bez wątpienia jeden z najciekawszych filmów, które powstały w Europie w roku 2019. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Zdrajca" („Il traditore"), reż. Marco Bellocchio, wyst. Pierfrancesco Favino, Luigi Lo Cascio, Fausto Russo Alesi, Włochy 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Guns Akimbo", reż. Jason Lei Howden, Wielka Brytania 2019***
- ***„Jezioro dzikich gęsi", reż. Yi'nan Diao, Chiny 2019***
- ***„W lesie dziś nie zaśnie nikt", reż. Bartosz M. Kowalski, Polska 2020***
- ***„Towar" („Carga"), reż. Bruno Gascon, Portugalia 2018***

eprasa.pl 5a2134d4e1

Krytyczna terapia

Kino nie przestaje się pastwić nad pisarzami. Przypomina to kopanie leżącego, gdyż literatura zdradza wyraźne objawy wyczerpania, szczyty list bestsellerów okupują zaś powieści warte mniej od papieru, na którym je wydrukowano.

„Nigdy wydawanie książek nie było mniej uzasadnione" – mówi kolega Sybilli, lecz ona wierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę. Jak to terapeutka. Pacjenci, których porzuca, by mieć więcej czasu na pisanie, są wściekli. Święty Rafał Archanioł zsyła kobiecie natchnienie w osobie rozhisteryzowanej młodej aktorki, która wdała się w romans z gwiazdorem. Przekonana, że kochanek Margot jest cynicznym manipulantem, a może nawet psychopatą, postanawia osobiście wkroczyć do akcji (marzy się to każdemu twórcy, lecz większość na szczęście się powstrzymuje). Sygnałów, że powstająca powieść będzie autobiograficzna, jest znacznie więcej. Szczerze mówiąc – aż za dużo. Najwyraźniej nikt nie uświadomił pani Triet, że można powiedzieć tyle samo, mówiąc mniej. Burzliwa przeszłość Sybilli rodzi podejrzenie, że niektóre wydarzenia są produktem jej zwichrowanej wyobraźni, część postaci zaś to duchy. Kolejne zwroty akcji ogląda się z rosnącą obojętnością. Najlepiej wypadł wulkan Stromboli – jest tak samo piękny jak w czasach Ingrid Bergman. ©℗

Wiesław Chełminiak

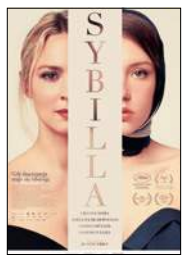

★★☆☆☆☆

REŻ. JUSTINE TRIET
„SYBILLA" („SYBIL")
FRANCJA/BELGIA 2019

wyst. Virginie Efira, Adele Exarchopoulos, Gaspard Ulliel

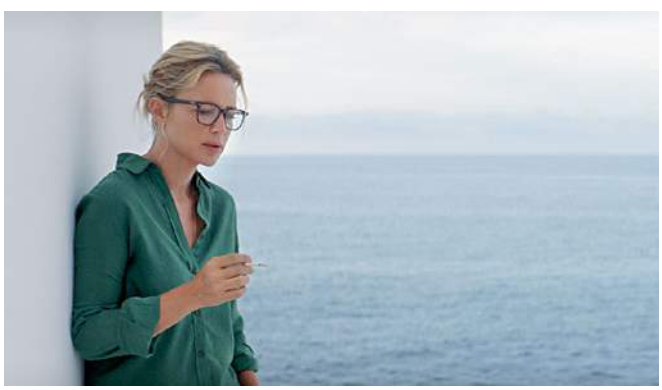

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KŁOPOTY Z NIEŚMIERTELNOŚCIĄ

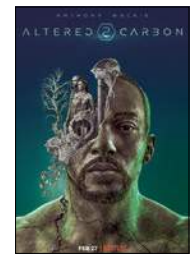

★★★★☆☆

SEZON 2
„MODYFIKOWANY WĘGIEL" („ALTERED CARBON")
USA 2020

wyst. Anthony Mackie, Will Yun Lee, Lela Loren, Renée Elise Goldsberry

Drugi sezon serialu „Modyfikowany węgiel" to powrót do świata cyberpunkowej powieści Richarda K. Morgana. W odległej przyszłości podróżująca między gwiazdami ludzkość potrafi zapisywać umysły na dyskach, które zapakować można do dowolnego ciała. Bohater serii Takeshi Kovacs (w nowym ciele, więc Joela Kinnamona zastąpił Anthony Mackie) wraca na planetę, na której kiedyś zwerbowała go w szeregi rewolucjonistów jego późniejsza miłość, Quellcrist Falconer. Stawką w fabule rozgrywającej się 30 lat po sezonie pierwszym jest nie tylko kontrola nad planetą, lecz także przyszłość ludzkości – buntownicy chcą zniszczyć technologię nieśmiertelności. Dowiadujemy się też trochę o tajemniczej obcej rasie, po której relikty pozostały na Świecie Harlana. Pierwszy sezon był bardzo dobry, drugi jest przyzwoity. Krótsza o dwa odcinki intryga robi wrażenie rozbudowanego epilogu do poprzedniej serii. Zachwycający jest za to poziom produkcyjny serii, scenografia i efekty są imponujące. ©℗

SKRĘTY DRUGIEJ ŚWIEŻOŚCI

★★★☆☆☆

REŻ. KEVIN SMITH
„JAY I CICHY BOB POWRACAJĄ" („JAY AND SILENT BOB REBOOT")
USA 2019

dystr. Filmostrada, wyst. Jason Mewes, Kevin Smith, Ben Affleck, Jason Lee

Powtórka z rozrywki, czyli bohaterowie filmów Kevina Smitha powracają w fabule stanowiącej kopię „Jay i Cichy Bob kontratakują". Tu i tam grepsem napędzającym akcję jest podróż do Hollywood, by powstrzymać produkcję filmu, którego bohaterami są komiksowi herosi wzorowani na Jayu i Bobie. Nowością jest wątek niespodziewanego ojcostwa i dorastania jednego z bohaterów, reszta bez zmian. Zaledwie kilka gagów jest naprawdę zabawnych (ładna scena sądowa na początku plus „motyw rosyjski" w finale), reszta to komentarze do poprzednich komentarzy do poprzednich filmów. Smith zadowolił najbardziej oddanych fanów, nawiązując do „Sprzedawców", „Szczurów z supermarketu" czy „W pogoni za Amy", reszta będzie się bawić średnio. Mnie rozbawiło jedno cameo: idiotyczny monolog Matta Damona objaśniający, co się stało z jego postacią z „Dogmy". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „DRAUGEN"

★★★★★☆

Malownicze fiordy, zapomniana przez cywilizację norweska wioska, rok 1923 i zagadka zaginięcia siostry, którą główny bohater – podróżnik Edward Charles Harden – wyrusza odnaleźć. W tym zadaniu towarzyszy mu ciekawska i wchodząca w dialog z otoczeniem wychowanka Lissie. Tak w telegraficznym skrócie wygląda fabuła „Draugen" – ambitnej przygodówki z elementami thrillera psychologicznego. Niewątpliwą zaletą produkcji jest nie tylko fabuła, z czasem odkrywająca tajemnice lokalnej społeczności, lecz także piękna grafika i ścieżka dźwiękowa płynnie dostosowująca się do rozwoju wydarzeń i psychiki Hardena. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Przygodowa/FPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Red Thread Games*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 5a2134d4e1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Proza najwyższych lotów

Nieco ponad 40 stron, poczynając od strony 90 wydanej właśnie „Góry Tabor" Wiesława Helaka, to proza absolutnie arcydzielna. Tę relację o zamachu majowym Piłsudskiego można by wyjąć z powieści i stanowiłaby perłę w prozie polskiej, którą – poza Sienkiewiczem – mógłbym porównywać może z Rembekiem, może z Rylskim. I nie chodzi tu tylko o podobieństwa batalistyczne. Główny bohater (znany czytelnikom Helaka z jego poprzedniej książki „Nad Zbruczem", choć trudno tu mówić o linearnej kontynuacji) otrzymuje rozkaz zamknięcia przez Oficerską Szkołę Piechoty, w której służy i prowadzi wykłady dla podchorążych, mostu Poniatowskiego, rozdania ostrej amunicji i nieprzepuszczania nikogo z Pragi „do miasta". Nikogo, a więc i jakże bliskiego sercu Jania jego legionowego Komendanta. Nie będę streszczał wydarzeń – i tych, które autor przypomina, i tych, które wykreował na użytek powieści, zacytuję jedynie prof. Macieja Urbanowskiego, który stwierdził, że: „»Góra Tabor« jest powieścią wybitną, świetnie napisaną, zachwycającą opisami pejzaży i sztuki, a niektóre jej partie, na przykład opis zamachu majowego w Warszawie roku 1926, dosłownie zapierają dech w piersiach".

I tak jest, co nie znaczy, że wszystko w „Górze Tabor" jest na tym samym, najwyższym poziomie. Na przykład gdy Janio ze swoją Marion, Maruszką przez niego zwaną, uczestniczy we mszy świętej w królewskim kościele w Wilanowie, to „w promieniach słońca, wpadającego przez witraż do świątyni" błyszczy „dumnie na piersi młodego porucznika Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari. Obok męża zaś klęczała pokornie ukochana żona". Piękny to obraz,

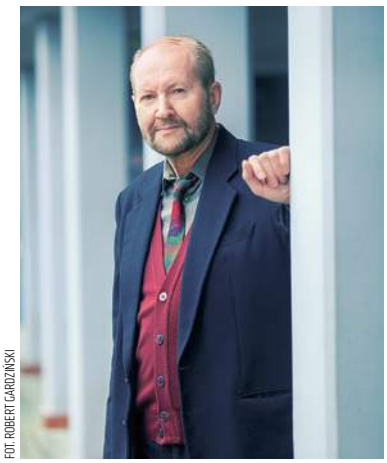

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

powiedziałbym nawet za piękny. W końcu to nie malowidło Wojciecha Kossaka.

No tak, ale cała ta „Góra Tabor" jest z ducha Chełmońskiego i Michałowskiego, Brandta i Kossaka właśnie. I co począć – niektóre fragmenty tej powieści łatwo obśmiać. Ale po co, skoro możemy pochylić się nad nimi, usiłując w swojej genetycznej pamięci znaleźć ślady tego, o czym – i jak! – pisze Helak? A wtedy i śluby czystości uczynione w noc okupacyjną przez Jania i Marion nie będą li tylko dziwactwem. I gdy komunizujący brat Jania, Bunio, rzuci mu w twarz, że jego żona to dewotka, pomyślimy to tylko, że nie ma nic bardziej obrzydliwego od wojującego ateizmu.

W 1939 r. nastąpi koniec II Rzeczypospolitej. Jeszcze zdąży Janio, żołnierz swojego Komendanta, legionista, pojechać w styczniu znad swojego Seretu do Warszawy na pogrzeb – kogo? Zaprzysięgłego ponoć wroga Marszałka, idola – jak byśmy dziś powiedzieli – ojca Jania, zatwardziałego endeka, zapatrzonego w „Pana Romana" jak w bóstwo. Ojca, z którym Janio nie zgadzał się w żadnej z zasadniczych kwestii, a o tym, jak bardzo go kochał, przekonał się dopiero po jego śmierci. A wówczas, w Warszawie, był świadkiem, jak „z katedry trumnę wynoszą… chłopi w sukmanach białych, górnicy w czapkach czarnych, pióropusze nad nimi powiewają i ludzi prostych tysiące, a nikt ich tu nie zwoływał – sami zewsząd, z najdalszych Rzeczypospolitej kątów tu przybyli. I wszędzie sztandary, sztandary, sztandary, aby mu się pokłonić. – Czyżby bardziej go ludzie kochali niż Komendanta? A tamci nie chcieli o nim pamiętać – nikt z tych, którzy w ławach rządowych siedzieli, nie przyszedł go pożegnać, bali się go nawet po śmierci, nienawidzili? Naród go tylko żegnał, musiał głęboko zapaść w ludzkie serca".

Dla czytelników Wiesława Helaka nie będzie zaskoczeniem świetny wątek, powiedziałbym, koński. O tych zwierzętach, tak związanych z polską historią i tradycją, potrafi ten autor pisać jak nikt. Wplątana w powieść historia klaczy Adelajdy jest prawdziwą ozdobą „Góry Tabor". Podobnie jak finałowe, jakże smutne sceny książki.

Na szczęście też nie trzymał się ściśle autor kalendarium wydarzeń II RP. Czytając „Lwowską noc", odnosiło się bowiem wrażenie, że postaci powieści musiały być obecne przy wszystkim, co ważnego stało się w czasie okupacji w grodzie nad Pełtwią. Tutaj też można powydziwiać nad zbiegiem okoliczności, który sprawił, że Janio po zamachu majowym za karę – jako rzekomy stronnik Wojciechowskiego – zostanie „zesłany" akurat do Druskiennik, gdzie – jak wiadomo – przyjeżdżał często Piłsudski. Ale ponieważ mam wrażenie, że zaczynam uprawiać czepialstwo, kończąc tekst, jak najmocniej zachęcam do lektury „Góry Tabor". Satysfakcja murowana! ©℗

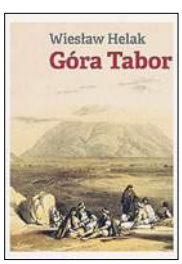

★★★★★★
WIESŁAW HELAK „GÓRA TABOR" ARCANA, KRAKÓW 2020

eprasa.pl 5a2134d4e1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Romantyczność

Zasygnalizowałem niedawno państwu w krótkiej notce, że debiutancka książka Hansa Christiana Andersena (czekała na polskie wydanie, bagatela, 191 lat) to rzecz o podróży, nie wyjaśniłem jednak, jak bardzo fantastyczna jest to podróż. Tymczasem zawierzyć nudnemu i długiemu tytułowi („Piesza podróż z kanału Holmen na wschodni cypel wyspy Amager w latach 1828 i 1829") to tak, jakby powiedzieć, że „Król Olch" Goethego jest opowieścią o konnej przejażdżce.

Andersen w chwili wydania książki (wcześniej wydał jeden zbiorek, ale krytycy „Podróż..." uznają za debiut właściwy) to młodzian 24-letni, który zabiera nas na wyprawę, owszem, lecz jest to głównie wyprawa przez własną wyobraźnię, fantazję, przez literaturę (nie tylko współczesną Andersenowi, nawiązania do tradycji i klasyki są niezliczone), podróż postmodernistyczna, można by powiedzieć. I mocno współczesna, bo jeśli chodzi o chwyty formalne, o pomieszanie gatunków, to wcale taka opowieść nie zdziwiłaby nas, gdyby wyszła spod pióra jakiegoś rozmiłowanego w surrealizmie rówieśnika Apollinaire'a, jakiegoś adepta XX-wiecznej nouveau roman czy współczesnego amerykańskiego postmodernisty.

W pierwszym rozdziale autor wyznaje, że zły duch go opętał, musiał więc zostać pisarzem i wyruszyć w podróż, w rozdziale ostatnim nie ma nam nic do powiedzenia, bo napisał go tylko po to, by całość nie zamykała się w rozdziałach trzynastu, a trzynaście, jak wiadomo, to liczba pechowa. To, co kryje się pomiędzy, jest niezwykłą odyseją, w trakcie której przypadkowo napotkani ludzie recytują Horacego, Ahaswer, Żyd Wieczny Tułacz, opowiada swą historię, rozmawiają ze sobą zwierzęta, a nasz bohater odczytuje nawet list z przyszłości, z roku 2128 (w którym Andersen snuje zresztą zupełnie nietrafione prognozy przyszłości).

„Książka skrywa ogromny potencjał sił i uczuć alter ego autora – zarazem jest wołaniem o pomoc, o zrozumienie" – pisze w posłowiu Johan de Mylius. Bez wątpienia znajdziecie w niej mnóstwo motywów, które potem Andersen rozwinął w baśniach, przede wszystkim jest jednak romantyczną balladą prozą o potędze i przekleństwie literatury, a dla autora publicznym poszukiwaniem (któż z pisarzy nie jest ekshibicjonistą?) własnej tożsamości i tego tonu w pisarstwie, który zarezonuje w jego uchu (i uszach współczesnych) najmocniej.

Nie jest to łatwa lektura, bo książka pełna jest odniesień także do dzieł dawno zapomnianych, ale jest to lektura cudowna. ©℗

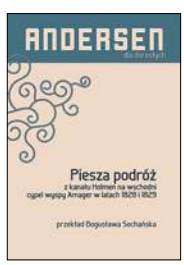

★★★★★☆
HANS CHRISTIAN ANDERSEN „PIESZA PODRÓŻ..." WYDAWNICTWO DRIADA 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Mordowali ich, prześladowali i osadzali w obozach zarówno Niemcy, jak i Sowieci. Całościowe podejście do tematu jest więc jak najbardziej słuszne. Rzecz przede wszystkim o aktorach, także tych dziś zapomnianych.

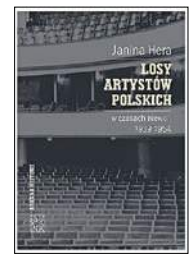

JANINA HERA „LOSY ARTYSTÓW POLSKICH W CZASACH NIEWOLI 1939–1954" ARCANA

Powieść, która zainspirowała film „Jojo Rabbit", jednak od filmu ciekawsza i mądrzejsza. To, co na ekranie było okazją do barwnej farsy, na kartach książki jest mocnym studium psychologicznym w nieco innych realiach.

CHRISTINE LEUNENS „NIEBO NA UWIĘZI" ZYSK I S-KA

„Niebiańskie przeznaczenie błyskotliwego towarzysza Kim Dzong Una", czyli ładnie napisana, przerażająca i zabawna (choć to śmiech przez łzy) biografia wodza Korei Północnej Kim Dzong Una. A tak naprawdę studium propagandy.

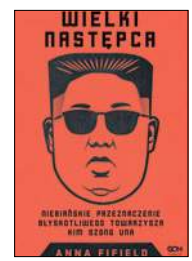

ANNA FIFIELD „WIELKI NASTĘPCA" SINE QUA NON

Po ośmiu tomach całej sagi o Hellboyu Egmont dokłada do kompletu zbiór krótszych komiksów, które wypełniają luki w chronologii. Akcja większości rozgrywa się w Meksyku. Świetny melanż horroru i humoru. ©℗

poleca Piotr Gociek

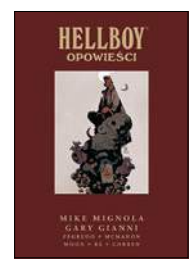

MIKE MIGNOLA, GARY GIANNI „HELLBOY. OPOWIEŚCI" EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Lee Child „Zgodnie z planem" (Albatros) – 24. powieść o Jacku Reacherze. Autor żegna się z pisaniem, pałeczkę ma przejąć jego brat.***
2. ***Heather Morris „Podróż Cilki" (Marginesy) – kontynuacja „Tatuażysty z Auschwitz". Cilka po niemieckim piekle trafia do sowieckiego łagru.***
3. ***Harlan Coben „O krok za daleko" (Albatros) – nowa powieść mistrza thrillera. Biały kołnierzyk z Wall Street ratuje uzależnioną od narkotyków córkę.***
4. ***Kristin Hannah „Nocna droga" (Świat Książki) – nowa powieść autorki „Słowika" i „Wielkiej samotności", powieść obyczajowa z dodatkiem suspensu.***
5. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***

(Najchętniej kupowane książki zagraniczne w Polsce od 16 do 22 lutego 2020 r. według Nielsen BookScan Polska)

eprasa.pl 5a2134d4e1

Kaśka z lat 90.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„A ja tęsknię..." – powtarza w refrenie swego najpopularniejszego singla Kaśka Sochacka. Nie trzeba sięgać po wywiady z nią, by obstawić bez pudła, w którą stronę spogląda sentymentalnym wzrokiem. – Bardzo tęsknię za dzieciństwem i tamtymi czasami. Były totalnie piękne, kolorowe, barwne i obfitowały w moje pierwsze muzyczne zakochania – mówiła jakiś czas temu w Polskim Radiu. „Tamte czasy" to lata 90. Kaśka to rocznik 1990, pierwsze muzyczne zakochania, inspiracje to twórczość Edyty Bartosiewicz, Kasi Kowalskiej, Kasi Nosowskiej, Perfectu, Lady Pank...

Pochodzi z wioski Pradła w powiecie zawierciańskim (dziś to województwo śląskie, wcześniej częstochowskie). Pierwsze sceniczne doświadczenia zdobywała w Zespole Pieśni i Tańca Ziemia Kroczycka. Występowała tam razem ze swoim rodzeństwem, opiekunką zespołu była jej mama. Ojciec grał na gitarze.

Jako 20-latka zaczęła szukać swego szczęścia w telewizyjnych talent show. W 2010 r. wzięła udział w „Mam talent!" i dotarła aż do finału. Cztery lata później próbowała swoich sił w „Must Be the Music. Tylko muzyka", gdzie dotarła do półfinału. W międzyczasie pokazała światu pierwsze autorskie piosenki „Drzazga" i „Czasu części pierwsze". Później były kolejne piosenki: „Trochę tu pusto" i „Zachody". Ale płyty wciąż się nie doczekaliśmy...

Pod koniec ubiegłego roku wyszła jej epka „Wiśnia". Późny to debiut w czasach, gdy na gwiazdy pierwszej wielkości próbuje się kreować coraz młodsze dzieci. I pozostawiający niedosyt, jeśli chodzi o dawkę muzyki. Tracklista epki to cztery pozycje, z czego pierwsza i ostatnia to różne wersje tego samego tytułowego singla. Chciałoby się więcej. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Światowe, a nasze!

Marcin Cichy i Igor Pudło byli pierwszymi polskimi wykonawcami muzyki elektronicznej, których album był promowany na świecie. W tym roku duet Skalpel wraz z wydaniem czwartej płyty o dumnym tytule „Atrakcja" świętuje jubileusz 20-lecia działalności.

Debiutancki album grupy, „Skalpel", wydała brytyjska Ninja Tune, czołowa wytwórnia nowej elektroniki. Wrocławianie zaintrygowali świat komputerowych brzmień dzięki wykorzystaniu w nagraniach sampli z muzyką polskich zespołów jazzowych z lat 60. i 70. Na trzecim krążku, „Transit", panowie odeszli od preparowania muzyki ze starych płyt i stworzyli autorski album zagrany na wirtualnych instrumentach.

Płyta „Highlight" przynosi muzykę mogącą zarówno zainteresować koneserów, jak i sprawić przyjemność przypadkowym słuchaczom. Ci pierwsi odnajdą na niej echa muzyki fusion spod znaku Milesa Davisa czy Herbiego Hancocka. Wyszukają brzmienia i rytmy dominujące w klubowej elektronice w latach 90., a w singlowym „Escape" zauważą rozwiązania charakteryzujące współczesny ambitny pop choćby kanadyjskiego Caribou. Drudzy, dzięki eklektyczności nagrań i ich powolnemu tempu dostaną atrakcyjną, relaksującą muzykę idealną do kontemplacji.

Tym razem dystrybutorem najnowszej płyty Skalpela na świecie jest renomowana oficyna !K7 Records. ©℗

★★★★☆☆
SKALPEL
„HIGHLIGHT"
NOPAPER

★★★★☆☆
AGNES OBEL
„MYOPIA"
DEUTSCHE GRAMMOPHON

Czwarty album Dunki tworzącej frapujący elektroakustyczny, gotycki noir. Kameralne piosenki, hymny lodowatej samotności obracają się wokół tematów zaufania i zwątpienia. Dla miłośników dawnych klimatów wytwórni 4AD i twórczości Kate Bush.

★★★★★★
HENRYK KUŹNIAK/ JULIUSZ LORANC
„DZIĘCIOŁ"
GAD

Ścieżka dźwiękowa do debiutu Jerzego Gruzy z 1970 r. Instrumentale Lorenca doskonale współgrają z eksperymentami Kuźniaka. Dzisiaj wielkie wrażenie robią kompozycje tego drugiego – mroczny jazz, muzyka konkretna, dźwięki otoczenia, psychodelia. Odkrywcze. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Czerwona dintojra

Jest taka stara anegdota:

– Jakie było najbezpieczniejsze miejsce dla polskiego komunisty w 1937 r.?

– Polskie więzienie.

Wywołuje ona dziś uśmiech, ale jest to szczera prawda. W latach 1937–1938 tajna policja ZSRS przeprowadziła krwawą czystkę, której ofiarą padli działacze Komunistycznej Partii Polski i polscy działacze Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików).

Dlaczego tak się stało? Na to pytanie odpowiada prof. Iwanow w artykule opublikowanym w tomie IPN „W drodze do władzy". Według znakomitego historyka pierwszą przyczyną jatki w KPP był specyficzny klimat panujący w jej szeregach. Otóż było to towarzystwo niesforne i wewnętrznie skłócone. Daleko mu było do jednomyślności i żelaznej dyscypliny, którą powinni się charakteryzować wzorowi bolszewicy.

KPP była podzielona na „większościowców" i „mniejszościowców", którzy skakali sobie do oczu i wciągali do swoich frakcyjnych awantur towarzyszy sowieckich. Bajzel ten irytował Stalina, który kazał rozstrzygnąć wewnętrzny spór czekistom. „Został on »rozwiązany« – pisze prof. Iwanow – przez fizyczne wyniszczenie całego kierownictwa partyjnego bez względu na przynależność do pierwszej lub drugiej grupy. W katowni NKWD wszyscy okazali się równi, wszystkich spotkał ten sam tragiczny los".

Stalin, który w Moskwie uchodził za eksperta ds. polskiej komuny, już w połowie lat 20. ogłosił, że wśród polskich aparatczyków roi się od groźnych „trockistów, oportunistów i opozycjonistów". Polscy komuniści zamiast się ukorzyć i złożyć samokrytykę, odpowiedzieli Stalinowi w ostry sposób. I to publicznie, na Kongresie Międzynarodówki! Przyszły dyktator nigdy im nie zapomniał tego afrontu.

Stalin potępił KPP za poparcie zamachu majowego Piłsudskiego, nie podobała mu się również nadreprezentacja Żydów w tej formacji. Podejrzewał, że KPP została zinfiltrowana przez polską policję. Efektem była czerwona dintojra, która przetrzebiła szeregi polskiej komuny. Ludzi tych – na szczęście – zabrakło po 1945 r., gdy rozpoczęła się sowietyzacja Polski. ©℗

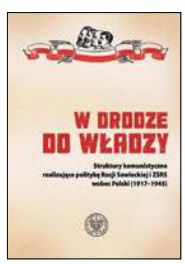

★★★★★★

POD REDAKCJĄ ELŻBIETY KOWALCZYK I KONRADA ROKICKIEGO „W DRODZE DO WŁADZY" IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wolne miasto

Podczas wojen napoleońskich Gdańsk po raz pierwszy uzyskał status wolnego miasta, podobny pomysł pojawił się też po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Politycy zwycięskiej koalicji wiedzieli bowiem doskonale, że pozostawienie portu w rękach Niemiec zniszczy gospodarkę odradzającej się Polski, nie wchodziło jednak w rachubę przyłączenie miasta do Rzeczypospolitej. Gdańsk, zamieszkany niemal wyłącznie przez Niemców, w granicach Polski stałby się natychmiast przyczyną nowej wojny, czego za wszelką cenę starano się uniknąć. Dlatego też 18 marca 1919 r., na konferencji paryskiej, uzgodniono, że Gdańsk wraz z okolicą ponowne stanie się „wolnym miastem". Wybrano w ten sposób rozwiązanie kompromisowe, które właściwie nie zadowoliło nikogo i od początku przysparzało poważnych problemów.

Według niemieckiego spisu narodowego z 1910 r. na terenie przyszłego Wolnego Miasta Polacy stanowili niewiele ponad 3 proc. ludności. W Sopocie odsetek Polaków był wprawdzie znacznie większy (10 proc.), ale w innych miejscach liczba naszych rodaków nie przekraczała nawet procenta. W samym Gdańsku Polaków było niewiele ponad 3 tys., co stanowiło 2 proc. ogółu. Liczebnie dorównywała ludności wyznania mojżeszowego, ale po zakończeniu pierwszej wojny światowej do miasta napłynęło nieco naszych rodaków. Jednak ustalenia niektórych historyków mówiących o 15-procentowej polskiej mniejszości można uznać za poważne przeinaczanie faktów.

W skład Wolnego Miasta Gdańska weszły powiat gdański oraz niewielkie fragmenty ościennych powiatów (w tym Sopot). Państwo zajmowało powierzchnię 1893 km kw., jego mieszkańcy mieli obywatelstwo gdańskie. Konstytucję zatwierdziła Liga Narodów, podobnie jak hymn, a od polskiego terytorium oddzielała go granica obsadzona przez służby celne. Od obcokrajowców nie wymagano jednak wiz. Pomimo że miasto w całości znajdowało się w obrębie polskich granic, nie obowiązywały w nim przepisy podatkowe II RP. W praktyce powstała tam strefa wolnocłowa, tym bardziej że umowa polsko-gdańska była mniej restrykcyjna niż przepisy obowiązujące na innych granicach Rzeczypospolitej. To znacznie podnosiło konkurencyjność handlu gdańskiego.

Miasto miało własną walutę (gulden gdański), a na arenie międzynarodowej interesy Gdańska reprezentowała Rzeczpospolita. Państwo polskie miało zagwarantowaną wymianę handlową przez port gdański oraz prawo do swobodnej żeglugi na Wiśle. W rzeczywistości różnie z tym bywało i nic dziwnego, że szybko uznano, iż konieczna jest budowa własnego portu morskiego w Gdyni. Ale to już zupełnie inna historia… ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

Progresiści pewni rychłego zwycięstwa

Paweł Chmielewski

Czy spór o przyszłość kapłaństwa został zamknięty publikacją posynodalnej adhortacji apostolskiej „Querida Amazonia" papieża Franciszka? Liczne i wpływowe grono postępowych hierarchów kościelnych i działaczy przekonuje, że wielka bitwa o żonatych księży i nowe urzędy dla kobiet tak naprawdę dopiero się zaczyna, a papież ustąpił jedynie ze względów taktycznych

Opublikowana 12 lutego 2020 r. posynodalna adhortacja apostolska papieża Franciszka „Querida Amazonia" została przyjęta na świecie z niemałą ulgą. Powszechnie można spotkać się z następującą oceną: Ojciec Święty odciął się od postulatów środowisk modernistycznych, bo nie wspomniał w swoim tekście ani słowem o święceniach kapłańskich dla żonatych mężczyzn (viri probati), ani o diakonacie kobiet. W takim duchu tekst ocenił m.in. przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, abp Stanisław Gądecki, uznając go za „próbę połączenia dawnych mądrości z techniczną wiedzą współczesną".

Publicyści czołowych polskich tygodników kościelnych ogłosili, że „sensacji nie ma" i wszystko zostaje po staremu. Rozczarowania nie kryją polscy liberałowie. „Wyborcza" stwierdziła, jakoby adhortacja stanowiła nieledwie kres nadziei progresistów na rzeczywistą „zmianę" w Kościele. Także za granicą siły rewolucyjne krytykują dokument Franciszka. Rozczarowany jest sam bp

eprasa.pl 5a2134d4e1

Kardynał Reinhard Marx (z lewej), motor „drogi synodalnej" i skrajnego kursu Kościoła w Niemczech, dokładnie dzień przed publikacją adhortacji „Querida Amazonia" ogłosił, że nie będzie ubiegał się o drugą kadencję w roli przewodniczącego Episkopatu Niemiec

FOT. HANDOUT/VATICAN MEDIA/AFP/EAST NEWS

Erwin Kräutler, wiceszef Panamazońskiej Sieci Eklezjalnej (REPAM), która przygotowywała synod amazoński. Wyznał mediom, że nie wie, co ma teraz powiedzieć ludom w Amazonii czekającym na żonatych księży i kapłaństwo kobiet. Znany niemiecki historyk Kościoła i zajadły wróg celibatu, prof. Hubert Wolf, uznał adhortację za zakończenie reformatorskiej ery pontyfikatu Jorge Bergoglia. Oburzone są też wpływowe środowiska niemieckich feministek katolickich, których zdaniem papieski dokument jest policzkiem wymierzonym kobietom.

WYMOWNE MILCZENIE

Jako cios w skrzydło modernistyczne adhortację przyjęło też wielu konserwatystów. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Gerhard Müller, w obszernym artykule opublikowanym w kilku językach przekonuje, że „Querida Amazonia" stanie się początkiem pojednania między konserwatywnym a progresywnym skrzydłem Kościoła; według Müllera papież postawił zdecydowane weto radykalnym wołaniom o rewolucję w rozumieniu kapłaństwa.

Podobnie ocenił rzecz jeden z najzagorzalszych krytyków Franciszka, kazachski biskup Athanasius Schneider. W swojej ogłoszonej w sieci analizie adhortacji przyznał, że dokument zawiera wiele wątpliwych czy wręcz nieprawdziwych tez z obszaru kosmologii oraz inkulturacji, ale gdy chodzi o celibat i rolę kobiet, prezentuje rzekomo zdrową naukę. Biskup porównał nawet „Querida Amazonia" do encykliki św. Pawła VI „Humanae vitae" z 1968 r., w której papież, wbrew oczekiwaniom progresistów, stanowczo odrzucił dopuszczalność stosowania przez katolików środków antykoncepcyjnych. Problem w tym, że wszystkie te reakcje, strony zarówno progresywnej, jak i konserwatywnej, całkowicie pomijają podstawowe fakty.

Istotę problemu pokazuje dobrze krótkie rozwinięcie analogii użytej przez bp. Schneidera. W latach 60. dopuszczenia antykoncepcji oczekiwali nie tylko świeccy rewolucjoniści zainspirowani marksistowskimi ideami popularnymi wówczas na całym Zachodzie, lecz także biskupi przekonani o konieczności „uwspółcześnienia" stanowiska Kościoła. W 1963 r. specjalną komisję ds. namysłu nad sprawą antykoncepcji zwołał św. Jan XXIII; jego następca, Paweł VI, bardzo mocno rozbudował jej skład. Złożona z duchownych i świeckich komisja w roku 1966 przytłaczającą większością głosów zarekomendowała Ojcu Świętemu wydanie zgody na stosowanie antykoncepcji. W swojej encyklice papież podjął jednak inną decyzję. Powiedział progresistom zdecydowane „nie" i antykoncepcji wyraźnie zakazał.

To zupełnie inna sytuacja niż w przypadku „Querida Amazonia". Franciszek skonfrontowany z wołaniem synodu amazońskiego o viri probati i „ponowne przemyślenie" diakonatu kobiet niczego nie zakazał, ale po prostu nie zajął stanowiska. Co więcej – o czym pisał szeroko w „Do Rzeczy" nr 8/2020 Krystian Kratiuk – zachęcił cały Kościół katolicki do lektury dokumentu finalnego synodu amazońskiego, gdzie zawarte są rewolucyjne postulaty. „Querida Amazonia" to nie „Humanae vitae" i wielu wpływowych progresistów deklaruje z pełnym przekonaniem, że sprawy już wkrótce pójdą naprzód.

„JESTEM PEWIEN: BĘDĄ ŻONACI KSIĘŻA"

W prezentacji „Querida Amazonia" 12 lutego 2020 r. udział wzięli m.in. sekretarz generalny synodu amazońskiego kard. Lorenzo Baldisseri oraz sekretarz specjalny tegoż zgromadzenia, kard. Michael Czerny. Na konferencji prasowej powiedzieli, że „Querida Amazonia" nie jest zamknięciem dyskusji nad celibatem, ale jedynie rozwinięciem debaty, którą otworzył synod

eprasa.pl 5a2134d4e1

amazoński. Pierwszy podkreślił, że cała sprawa „jest w toku", drugi – że o zagadnieniach poruszonych na rzymskim zgromadzeniu „trzeba dalej dyskutować". W podobnym tonie wypowiedział się wpływowy brazylijski kardynał Cláudio Hummes, szef REPAM. Chociaż nie został zaproszony na prezentację adhortacji, to w prasowym komentarzu po jej ogłoszeniu stwierdził, że sprawa celibatu „nie została odłożona na półkę" i będzie „wracać aż do rozwiązania".

Jeszcze dobitniej wyraził się sekretarz generalny REPAM, Meksykanin Mauricio Lopez. Jego zdaniem to, że Ojciec Święty polecił katolikom lekturę dokumentu finalnego synodu amazońskiego, oznacza, że wszystko, co postanowili ojcowie synodalni, jest dalej na stole. „Nie mam najmniejszej wątpliwości, że do tego dojdzie" – powiedział pytany przez media o viri probati. Podobne stanowisko zajął bliski Ojcu Świętemu jezuita, o. Antonio Spadaro, redaktor naczelny magazynu „La Civiltà Cattolica". Według niego papież Franciszek celowo nie rozstrzygnął w „Querida Amazonia" kwestii viri probati i diakonatu kobiet, bo chce, by tematy te „dojrzały" i mogły zostać rozwiązane na innym szczeblu, w atmosferze większego spokoju.

Niemcy dążą do wprowadzenia zmian w kapłaństwie, moralności seksualnej i sposobach zarządzania Kościołem. Na całym świecie budzi to duże zaniepokojenie

W tym samym duchu wypowiedział się kard. Oswald Gracias, jeden z członków Rady Kardynałów doradzającej papieżowi w reformie Kurii Rzymskiej. Według Graciasa Ojciec Święty wykazał się dużą przemyślnością, próbując pogodzić zwaśnione strony: wprawdzie nie odniósł się wprost do sprawy viri probati, ale przecież wyraźnie poparł dokument finalny synodu. Zdaniem indyjskiego purpurata Kościół nie może iść naprzód „tak szybko, jakbyśmy tego chcieli", bo papież musi baczyć także na siły opozycji. Kardynał uznał, że dyskusja o celibacie jest wciąż otwarta, a biskupi amazońscy... mogą wprowadzić viri probati, prosząc Stolicę Apostolską o dyspensę od ogólnej praktyki. Wystarczy powołać się na dokument finalny synodu.

Z Graciasem zgadza się w pełni konserwatywny ksiądz Raymond J. de Souza. Na łamach „National Catholic Register" napisał, że Franciszek pójdzie w sprawie kapłaństwa drogą wyznaczoną przez „Amoris laetitia" i problem rozwodników w nowych związkach. W tamtej adhortacji papież nie dopuścił przecież takich osób do komunii, ale rzecz załatwiono zgodnie z intencjami modernistów w późniejszej batalii interpretacyjnej. Według ks. de Souzy tylko czekać, aż biskupi z Amazonii poproszą Kongregację Nauki Wiary o wyjątek od ogólnie obowiązującej reguły.

Na to samo mają chyba nadzieję czołowi przedstawiciele Kościoła niemieckojęzycznego. Przewodniczący episkopatów Niemiec i Austrii, kardynałowie Reinhard Marx i Christoph Schönborn, zgodnie przyjęli „Querida Amazonia" jako jeden z etapów na długiej drodze do przyszłości kapłaństwa.

PRZECIWWAGA DLA DROGI SYNODALNEJ

Dlaczego jednak papież nie zajął jaśniejszego stanowiska? Czy chodzi tylko o troskę o zachowanie pozorów albo o efekt wywołany publikacją książki kard. Roberta Saraha i Benedykta XVI?

Ciekawą interpretację wydarzeń przedstawił na łamach „La Repubblica" znany włoski watykanista Sandro Magister. Jego zdaniem klucz do zrozumienia wstrzemięźliwości papieża w poparciu planu modernistów leży w Niemczech. Papież miałby porzucić swoje pierwotne plany liberalizacji celibatu – o których mówił przecież publicznie na jednej z konferencji prasowych w 2019 r. – ze względu na radykalizm „drogi synodalnej", którą niemieccy biskupi i świeccy rozpoczęli w grudniu 2019 r.

Niemcy dążą do wprowadzenia zmian w kapłaństwie, moralności seksualnej i sposobach zarządzania Kościołem. Na całym świecie budzi to duże zaniepokojenie; nie brakuje oskarżeń o herezję i schizmę, a w samych Niemczech kilku biskupów otwarcie buntuje się przeciwko woli progresywnej większości. Niemcy chcieli, aby synod amazoński i posynodalna papieska adhortacja stały się swoistą trampoliną dla ich zamiarów. Pisał o tym niedawno kard. Walter Kasper, człowiek, który odpowiada za nadanie pożądanego przez liberałów kształtu adhortacji „Amoris laetitia". Na łamach dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Kasper stwierdził, że „Querida Amazonia" jest tak naprawdę blokadą dla niemieckich reform, bo, jak zasugerował, progresiści zza Odry po prostu… przeszarżowali.

Tę interpretację zdają się potwierdzać fakty. Kardynał Reinhard Marx, motor „drogi synodalnej" i skrajnego kursu Kościoła za Odrą, dokładnie dzień przed publikacją adhortacji ogłosił, że nie będzie ubiegał się o drugą kadencję w roli przewodniczącego Episkopatu Niemiec. Dwa tygodnie później swoją rezygnację ogłosił też wieloletni liberalny sekretarz tegoż episkopatu, ks. Hans Langendörfer SJ. Wszystko wskazuje więc na to, że Magister i Kasper mają rację: papież postanowił poskromić Niemców, coraz bardziej wymykających się spod kontroli.

REWOLUCJA ODŁOŻONA W CZASIE

Jednak absolutnie nic nie świadczy o tym, by Ojciec Święty zrobił to z przekonania. Chodzi raczej o taktykę i próbę uspokojenia konserwatystów, którzy boją się schizmy. Publikacja książki kard. Roberta Saraha i Benedykta XVI oraz rosnący opór wobec zmian w Niemczech pokazały, że najnowsza rewolucja budzi jeszcze zbyt duży opór. Warto ponadto zauważyć, że „Querida Amazonia" bynajmniej nie pozostawia skrzydła reformatorskiego z niczym. Dokument zawiera liczne passusy wspierające ideę radykalnej „deklerykalizacji" Kościoła w postaci przekazywania władzy w parafiach i diecezjach w ręce świeckich, w tym kobiet. Tymczasem właśnie ten problem stanowi samą istotę „drogi synodalnej" i nie ma żadnych wątpliwości, że adhortacja zostanie w Niemczech bezwzględnie wykorzystana do likwidacji naturalnych różnic między katolicką hierarchią a świeckimi.

Gdy dołożymy do tego rodzące się już spory o interpretację wagi papieskiego uznania dla dokumentu finalnego synodu, to stracimy wszelkie powody do optymizmu. Kryzys nie został zażegnany, a rewolucję odłożono jedynie w czasie. Zapowiedzi Baldisseriego, Czernego, Lopeza, Hummesa, Spadaro czy Graciasa trzeba potraktować poważnie.

Rozczarowanie części liberałów wynika jedynie z tego, że trudno jest im pogodzić się z dalszym istnieniem w Kościele silnej grupy konserwatywnej. Teraz zrobią wszystko, by tę przeszkodę pokonać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Widmo Polsko-Ukrainy

Andrzej Talaga

Czy Polska przerodzi się w państwo wielonarodowe?

W Polsce przebywa od 1 mln do 2 mln Ukraińców, wielu z nich chce się u nas osiedlić na stałe. Biorąc pod uwagę fatalną sytuację demograficzną naszego kraju, to korzystny trend, szczególnie dla dalszego wzrostu gospodarczego. Może jednak być niebezpieczny cywilizacyjnie i przy złym obrocie spraw doprowadzić do przerodzenia się Polski w państwo wielonarodowe, czyli twór, jakiego nie znamy co najmniej od ośmiu dekad.

Witając przybyszy z otwartymi ramionami, mamy wciąż czas, by uczyć się na błędach innych państw i tak pokierować migracją ukraińską oraz wszelką inną, aby zablokować zagrożenie, zanim na dobre się narodzi. Warto ją dobrze wykorzystać i wypracować system wchłaniania imigrantów nie tylko przez polskie państwo, lecz także polski naród /polskie społeczeństwo.

PAŃSTWO NARODU POLSKIEGO

Nie istnieją na świecie rozwinięte państwa, które obywają się bez przybyszów. Generalnie dominują dwa modele ich inkulturacji. W pierwszym są oni wykorzystywani jedynie jako długoterminowa siła robocza i nie stają się obywatelami. W wersji skrajnej model ten funkcjonuje w krajach naftowych Zatoki Perskiej, gdzie obcy bez praw publicznych stanowią nawet od 35 do 70 proc. całej populacji (odpowiednio – Dubaj i Kuwejt). System ten ociera się niemal o niewolnictwo, mamy tam do czynienia niejako z odtworzeniem struktury helleńskiej Sparty, gdzie garstka obywateli bezwzględnie eksploatowała rzesze helotów.

Łagodniejsze podejście ma demokratyczna Japonia, która długo próbowała obyć się bez obcych, by zachować spójność etnosu i kultury. Obecnie, z powodu zapaści demograficznej i stagnacji gospodarczej, poluzowała zasady. Litera prawa pozwala obcym na stały pobyt, a nawet otrzymanie obywatelstwa, ale nie jest to proste, a w życiu społecznym przybysze są nagminnie izolowani. Mają szanse włączenia się w życie kraju dopiero po pełnej „nipponizacji". I to nie w pierwszym pokoleniu.

Drugi model funkcjonuje w demokratycznych krajach cywilizacji zachodniej. Napływ obcych prędzej czy później kończy się ich osiedleniem na stałe oraz zdobyciem obywatelstwa, a zatem pełni praw oraz swobód. W tym także prawa do kultywowania stylu życia oraz obyczajów obcych kulturze gospodarzy. Przy takim podejściu migracje doprowadziły do tego, że Francja czy Niemcy stały się państwami wielonarodowymi, wielokulturowymi z rosnącą rolą islamu, w tym wojowniczego.

Żadna poprawność polityczna czy wzgląd na rasistowską i ludobójczą przeszłość Niemiec nie mogą przesłonić oczywistego faktu, że taki stan rzeczy jest dla tych krajów niekorzystny, wręcz niebezpieczny. Trudno oprzeć się wrażeniu, że postawa Japończyków więcej ma wspólnego z racjonalnym podejściem do przyszłości kraju niż postawa naszych europejskich braci.

Wielonarodowość, czy w naszym konkretnym przypadku dwunarodowość, państwa nie musi być z definicji złem, istnieje wszak wiele takich tworów, by wspomnieć tylko o Belgii. Specyfika Polski po 1945 r. polegała jednak na tym, że w komunistycznej formie była ona jednocześnie realizacją treści rodem z ideologii ONR. Stalin bynajmniej nie był polskim nacjonalistą, ale rysując ołówkiem na mapie granice Polski na Odrze i Nysie oraz przyłączając do niej większość Prus Wschodnich, chcąc czy nie, spełnił geopolityczne sny obozu narodowego. Dodatkowo wysiedlił z Polski Ukraińców, a ziemie zachodnie zasiedlił Polakami ze wschodu.

Mniejszości zostały wymiecione przez eksterminacje i deportacje, a różnice regionalne zminimalizowane do roli ciekawostek folklorystycznych. W efekcie współczesne pokolenia Polaków przez dziesięciolecia dorastały i nadal dorastają w kraju spójnym kulturowo i etnicznie. Jesteśmy par excellence polskim państwem narodowym czy – definiując bardziej precyzyjnie – państwem narodu polskiego rozumianego jako wspólnota etniczna, a nie tylko polityczna. Dobrze to czy źle? Pierwsza Rzeczpospolita wszak kipiała wręcz nacjami i językami, a jest źródłem naszej dumy niezależnie od poglądów politycznych. Spójność etniczna znajdzie swoich zajadłych krytyków, jednak taki stan rzeczy jest faktem niezależnym od jego oceny. Powrót do wieloetniczności czy choćby wielokulturowości, znaczącej statystycznie, a zatem z mniejszościami na poziomie co najmniej 10–15 proc. populacji, byłby rewolucją o trudnych do oszacowania konsekwencjach. Nie możemy zatem pozwolić sobie na francusko-niemiecką nonszalancję w tej materii.

MAŁO NAS

Czy tego chcemy, czy nie, imigranci są nam niezbędni. Po 1989 r. z Polski wyjechało ok. 2 mln obywateli, głównie w wieku produkcyjnym, wykształconych. Dodatkowo możemy się „pochwalić" drugim od końca w UE współ-

eprasa.pl 5a2134d4e1

czynnikiem dzietności na poziomie 1,32 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym. Jest nas za mało, jako naród starzejemy się, co stawia pod znakiem zapytania dalszy rozwój gospodarczy Polski i zapowiada długoterminową stagnację, o destrukcji obecnego systemu emerytalnego nie wspominając.

Pomimo programu „500+" nie widać poprawy dzietności w skali, która pozwoliłaby spojrzeć w przyszłość z optymizmem. Nie udała się akcja namawiania do powrotu Polaków, którzy wyjechali po 1989 r., nie nastąpił też masowy powrót naszych rodaków ze wschodu po uruchomieniu Karty Polaka. Inicjatywy te owocują napływem kropelkowym, nie zaś masowym, a właśnie taki jest nam potrzebny. Według prognoz Głównego Urzędu Statystycznego do 2050 r. liczba Polaków zmaleje do 34 mln, będzie to społeczeństwo statystycznie znacznie starsze niż obecnie; aż 12 proc. populacji będzie wówczas miało więcej niż 65 lat. Nie ma silnych podstaw do twierdzenia, że zmiany technologiczne – robotyzacja, automatyzacja, sztuczna inteligencja, Internet rzeczy – pozwolą na tyle zredukować liczbę pracowników, by garstka osób w wieku produkcyjnym mogła zapewnić nie tylko utrzymanie całej reszcie, lecz także rozwój gospodarczy.

Ambitna polityka pronatalna, którą zapowiadały kolejne rządy, choć żaden jej na poważnie nie prowadził, jest koniecznością, ale nawet ona nie poprawi znacząco sytuacji. Według raportu Związku Przedsiębiorców i Pracodawców oraz Warsaw Enterprise Institute „Strategia konkurencji prawno-instytucjonalnej Polski" luka demograficzna, która powstała wskutek emigracji i niedostatecznej rozrodczości, jest tak wielka, że nawet znaczny wzrost narodzin jej nie zapełni, potrzebujemy zatem w ciągu najbliższych dekad około 5 mln imigrantów. Gdyby odnieść tę liczbę do obecnej populacji Polski (37 mln), dodając ją, mielibyśmy docelowo ok. 12 proc. populacji obcego pochodzenia, jesteśmy zatem na progu powstania społeczeństwa, a w konsekwencji państwa wielonarodowego.

DAJĄ NAM TAK WIELE

Najpoważniejszym potencjalnym kandydatem do zasiedlenia wyludniającej się Polski stali się Ukraińcy, jak można wnioskować z obecnej struktury migracji. To nawet dobra wiadomość, bo są nam bliscy kulturowo, mówią podobnym językiem, dzielą z nami wspólną historię. Dużo łatwiej będzie ich zatem zasymilować niż np. przybyszów z Azji. Pod warunkiem jednak, że już teraz się do tego solidnie zabierzemy. I zamiast biernie przyglądać się powstaniu Polsko-Ukrainy, zaczniemy tworzyć warunki do pokojowej i dobrowolnej asymilacji Ukraińców w Polsce, by zasilili nasz naród, a nie budowali u nas demograficzny, kulturowy i w konsekwencji polityczny przyczółek swojej nacji. Witajmy ich ochoczo, ale jako przyszłych Polaków, a nie jako forpocztę państwa dwóch narodów.

Taka polityka, podobnie jak sam trend osiedlania się u nas Ukraińców, jest niewątpliwie drenażem Ukrainy i osłabianiem jej państwowości. To jednak proces naturalny i nie sposób będzie oskarżać Polski o „okradanie" sąsiada z populacji. Sami zresztą byliśmy tak „okradani" przez dziesięciolecia i nadal jesteśmy przez naszych unijnych oraz NATO-wskich sojuszników oferujących Polakom wyższy poziom życia niż u nas.

Wyniki badania nad migracją ukraińską do Polski dowodzą, że perspektywa powstania Polsko-Ukrainy jest dość mglista, a na pewno odległa, pokazują one jednak trendy obecne, milczą na temat trendów przyszłych. Nie biorą pod uwagę choćby takich czynników jak możliwy dalszy znaczący wzrost PKB Polski, który wywinduje nas z poziomu państwa aspirującego do poziomu państwa bogatego – magnesu dla imigracji. Nie biorą też pod uwagę możliwego załamania państwowości ukraińskiej, dużej wojny Ukrainy z Rosją, które to czynniki spowodowałyby lawinowy zalew naszego kraju przez Ukraińców. To wszystko wprawdzie może, ale nie musi się wydarzyć, mądry jednak przygotowuje się zawczasu na wypadki, których prawdopodobieństwo nie jest wysokie w momencie, gdy czyni starania, ale może być bardzo wysokie za kilka lub kilkanaście lat.

Rola Ukraińców w polskiej gospodarce jest nie do przecenienia. Potrzebujemy ludzi do pracy, a tych brakuje. Badacze ze Szkoły Głównej Handlowej i Narodowego Banku Polskiego w pracy „The contribution of immigration from Ukraine to economic growth in Poland" pokazują, że w ciągu pięciu ostatnich lat polska gospodarka wzrosła o 22 proc., Ukraińcy są odpowiedzialni za 2,5 proc., Polacy za 19,5 proc. wzrostu. Inaczej rzecz ujmując, Ukraińcy dali nam swoją pracą aż 11 proc. wzrostu gospodarczego.

Zdaniem badaczy oficjalne dane o zatrudnieniu Ukraińców nie oddają prawdy, są znacznie zaniżone. Wzrost PKB nie pozostaje w relacji do liczby oficjalnie zatrudnionych pracowników – Polaków i Ukraińców, pracuje nas dużo więcej, niż pokazują statystyki.

FOT. ADOBE STOCK

Nielegalnie oczywiście.

Organizacje przedsiębiorców od miesięcy biją na alarm, formalne procedury zatrudniania Ukraińców są przewlekłe, co bardzo utrudnia legalizację ich pobytu, pracują więc na czarno. Według danych Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej w województwie dolnośląskim na legalizację pracy Ukrainiec czeka statystycznie aż 346 dni, choć na Podlasiu, w Lubelskiem i na Podkarpaciu już tylko 60–70 dni.

Istotne dla przyszłości jest pytanie, ilu z obecnie pracujących u nas Ukraińców chce pozostać tu na stałe? Pomocny będzie tu „Barometr Imigracji Zarobkowej – II półrocze 2019" przygotowany przez firmę Personnel

eprasa.pl 5a2134d4e1

Service pośredniczącą w zatrudnianiu Ukraińców w Polsce. Według dokumentu tylko 8 proc. obywateli Ukrainy pracujących kiedykolwiek w Polsce myśli o tym, by zamieszkać u nas na stałe, w poprzedniej edycji badania było to 10 proc., potencjał osadniczy to zatem nie milion czy dwa, ale ledwie 100–200 tys., a zatem bardzo daleko od owych progowych 10–12 proc. populacji Polski. Pozostali Ukraińcy wydają się bardziej zainteresowani zarabianiem u nas pieniędzy i powrotem do domu. Ich zasadniczą motywacją nie jest zasiedlanie Polski, lecz dobre zarobki, które mogą transferować do swoich rodzin na Ukrainie.

Z UKRAIŃCA – POLAK

Powyższe dane nie pozwalają postawić tezy o zagrożeniu przepoczwarzenia się Polski w państwo dwunarodowe, na razie nie ma ku temu potencjału. Sytuacja może jednak ewoluować w ciągu ledwie kilku lat wraz ze zmianą czynników kształtujących imigrację, by przypomnieć wspomniane już wyżej: możliwą wojnę Rosji z Ukrainą, zapaść ukraińskiego państwa, boom ekonomiczny w Polsce czy inne okoliczności, np. potencjalne restrykcje dla pracowników ukraińskich w Rosji – drugim największym kierunku migracji zarobkowej obywateli ukraińskich. Tych kilka lat to dany nam przez los czas na wypracowanie, przetestowanie i wprowadzenie mechanizmów wchłaniania Ukraińców.

Dzięki doświadczeniom krajów zachodniej Europy z dużą imigracją wiemy, czego należy unikać. Przede wszystkim wielokulturowości. Państwo polskie jest i powinno pozostać krajem kultury polskiej i asymilować do niej przybyszów ze wschodu. Warto przeciwdziałać koncentrowaniu się imigrantów w konkretnych dzielnicach, kwartałach miast, trzeba ich koniecznie rozpraszać, by nie stworzyli swoich kulturowych gett. Dobrze byłoby ograniczać im możliwość kształcenia dzieci w ich języku ojczystym. Powinny uczyć się po polsku, zdawać egzaminy po polsku. Jeśli chodzi o strukturę wiekową i płciową migracji, to korzystniejszy od napływu rodzin czy osób w wieku średnim byłby napływ młodych kobiet, które w naturalny sposób będą zakładały rodziny z polskimi mężczyznami.

Pod żadnym względem nie należy pozwalać przybyszom na kultywowanie tradycji historycznych sprzecznych z polską racją stanu, np. kultu Stepana Bandery i Ukraińskiej Powstańczej Armii. Pomniki, tablice pamiątkowe UPA, odczyty, prelekcje, wykłady przedstawiające ukraiński ruch nacjonalistyczny w pozytywnym świetle są nie do zaakceptowania. UPA i OUN były organizacjami ludobójczymi i muszą być traktowane przez prawo oraz obyczaj polityczny tak jak naziści i komuniści, mimo niepodważalnych zasług UPA w walce ze Związkiem Sowieckim.

Rodzi się pytanie, czy demokratyczne państwo może nakładać na swoich mieszkańców, nawet jeśli nie są jego obywatelami, takie ograniczenia? Czy nie byłyby one sprzeczne z osobistymi wolnościami człowieka w wolnym kraju? Nie, ponieważ wolność nie może mieć charakteru destrukcyjnego, a państwo musi kierować się racją stanu. W demokratycznych krajach Zachodu istnieją regulacje nakładające na imigrantów opisane wyżej ograniczenia, wskazujące nawet, jacy przybysze są pożądani, a jacy nie, by wspomnieć tylko amerykańskie czy australijskie prawo imigracyjne. Polska także ma nie tylko prawo, lecz także obowiązek restrykcyjnie regulować obecność gości na naszym terytorium i wspierać aktami prawnymi ich asymilację. Taka polityka w niczym nie stoi w sprzeczności z demokracją i poszanowaniem praw człowieka. Należy zatem bez skrupułów ją uprawiać już teraz, by uniknąć problemów w przyszłości.

Celem tych działań byłaby pełna asymilacja, jeśli nie pierwszego, to drugiego pokolenia imigrantów, tak by stali się integralną, obdarzoną pełnią praw, ale i obowiązków częścią polskiego narodu. Ukraina/Ruś dała nam w przeszłości potężny zastrzyk ze swojej najlepszej krwi, by wspomnieć kwiat arystokracji Rzeczypospolitej. Kresowi kniaziowie stali się śmietanką polskiego państwa, nie inaczej rzecz powinna mieć się ze współczesnymi imigrantami.

Potrzebujemy ich i serdecznie zapraszamy do... bycia Polakami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest członkiem Warsaw Enterprise Institute.
Tekst oddaje prywatne poglądy autora.

eprasa.pl 5a2134d4e1

To będą wyrównane wybory

Profesor Jarosław Flis: – Zastanawiam się, czy Kosiniak-Kamysz może powtórzyć manewr, który zastosował w ubiegłym roku z Kukizem, czyli wziąć Szymona Hołownię pod swoje skrzydła, skłaniając go do rezygnacji i podpisania się pod jego kandydaturą FOT. BARTEK WÓJTOWICZ/REPORTER

Z prof. Jarosławem Flisem, socjologiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego
rozmawia
Marcin Makowski

Marcin Makowski: Czy Andrzej Duda ma dzisiaj zwycięstwo w kieszeni?

JAROSŁAW FLIS: Jeśli tak myśli, to znaczy, że zwycięstwo mu z kieszeni właśnie wypada. Sądzę, że wyniki będą bardzo wyrównane, ale coraz więcej wskazuje na to, iż obecny prezydent może przegrać. Jest kilka przyczyn takiego stanu rzeczy.

Jakich? Jeszcze niedawno kierownictwo PiS twierdziło, że Andrzej Duda może wygrać w pierwszej turze.

Tak samo twierdziło otoczenie Bronisława Komorowskiego w podobnym momencie kampanii. Również dzisiaj mamy władzę, która zaczynała od wysokiego poziomu pewności siebie i świetnych sondaży, stopniowo przymykając oko na własne błędy. Księga Syracha mówi, że na chorobę pyszałka nie ma lekarstwa i od ponad 2 tys. lat medycyna nie zrobiła w tej dziedzinie postępu. Na pewno niepokojącym sygnałem dla Zjednoczonej Prawicy w kontekście wyborów prezydenckich był wyścig do Senatu, gdzie w 40 okręgach obserwowaliśmy pojedynek 1 na 1 – władza kontra reszta świata. Jeśli uznamy je za reprezentatywną próbę układu sił w drugiej turze wyborów prezydenckich, to okazuje się, że PiS przegrał procentowo 47,5 do 52,5. To przecież lepszy wynik niż ogólnopolski 43,59 proc. do Sejmu, więc teza, że PiS przegrał ten odcinek, bo kandydaci do Senatu się nie starali, nie jest prawdziwa. W maju będziemy mieć podobny plebiscyt.

Jednak jest różnica między głosowaniem na senatora a na prezydenta. Ten drugi wybór jest bardziej spersonalizowany.

Niespecjalnie widzę dowody na tę tezę. Jeżeli zejdziemy na szczebel powiatów i porównamy układ sił między Bronisławem Komorowskim a Andrzejem Dudą w drugiej turze w 2015 r. oraz Donaldem Tuskiem a Lechem Kaczyńskim w 2005 r., to poziom korelacji wynosi 97 proc. Demografia jest nieubłagana – po 10 latach jedna szósta wyborców, którzy wtedy głosowali, już nie żyła. I nawet mimo upływu czasu i istotnych różnic między kandydatami wzory zachowań elektoratu są niezwykle zbliżone. Złudzenie personalizacji polega na tym, że gdy jest daleko do wyborów, wydaje się, że prezydent pełni rolę „dobrego wujka narodu", który nie wikła się w bieżącą politykę. W 2014 r. na jednej z uroczystości państwowych Donald Tusk miał powiedzieć do Bronisława Komorowskiego: „Spadły nam wyniki w sondażach", na co on odparł: „No tak, spadły wam". Co było później, nie ma sensu przypominać. Tak samo głosuje się bardziej na bloki i formacje ideowe niż na konkretnych ludzi. Tak robią zwłaszcza „wyborcy alfa" – najbardziej zainteresowani polityką. Dla nich to kolejny z cyklu plebiscytów pt. „Zostawić czy odstawić sprawujących władzę".

W którym to, co się wydarzy na wiosnę, będzie kropką nad i?

To ostatnia runda wielkiej serii wyborów o niezwykłej mobilizacji. Pytanie z perspektywy obecnej głowy państwa brzmi: Skąd wziąć nowy elektorat? Przecież nawet zakładając, że o 5 punktów procentowych poprawi on wynik macierzystej partii – najlepszy w historii wyborów parlamentarnych – nadal będzie na poziomie Bronisława Komorowskiego sprzed pięciu lat. A jego historia zapamiętała jako wielkiego przegranego, a nie kogoś, kto oddał prezydenturę o włos.

Czy Jarosław Kaczyński zapewniający, że nawet w przypadku przegranej Dudy nie będzie przyspieszonych wyborów, oswaja z ewentualną porażką, czy może poprzez sygnalizowanie zagrożenia mobilizuje elektorat?

Nie wiem, jaką strategię przyjął prezes Kaczyński, ale wydaje mi się, że ten komunikat to błąd. Przypomina trenera, który przed ważnym meczem wchodzi do szatni i mówi: „Chłopaki, nawet jak przegramy, nic się nie stanie, bo z ligi nas nikt nie wyrzuci". Być może w ten sposób chce uspokoić najbardziej zaangażowany elektorat, ale równocześnie zakładam, że to może być element swobodnej ekspresji. Politykom zdarza się czasami powiedzieć to, co myślą, bez większego kalkulowania.

A może to sygnał dla opozycji? Wytrącenie z ręki argumentu, że od prezydentury będzie zależał los całego rządu?

Zawsze da się dodać jakieś epicykle do tej wypowiedzi, ale ja nadal nie widzę w niej racjonalności. Wyborcy nie kalkulują tak uważnie, gdy przychodzi do dnia głosowania. W 2015 r., gdy wbrew sondażom wygrał ich kandydat, wyborcy PiS też sprężali się szczególnie po to, żeby wywalczyć miesiąc miodowy dla swojej partii, który ostatecznie wyniesie ją do władzy.

Mamy w takim razie lidera, który musi ostro walczyć o swoją pozycję, oraz grupę pościgową. Kto w tej chwili jest największym zagrożeniem dla Andrzeja Dudy. Małgorzata Kidawa-Błońska?

eprasa.pl 5a2134d4e1

Na pewno jest najbardziej prawdopodobnym kandydatem do drugiej tury, ponieważ Koalicja Obywatelska lideruje opozycji, a jak już wcześniej mówiłem i co wykazały badania prowadzone w samorządach m.in. przez Ireneusza Sadowskiego – oceny i stopień zaufania do kandydata są powiązane z sympatiami partyjnymi. W tym sensie Kidawa-Błońska ma największe szanse, aby wyprzedzić resztę konkurencji. Niemniej stopień poparcia opozycji w drugiej turze dla każdego, poza Krzysztofem Bosakiem i w jakiejś mierze Robertem Biedroniem, jest zbliżony. Na niekorzyść pani marszałek działa to, że trójka – Kidawa-Błońska, Kosiniak-Kamysz, Hołownia – wielu wyborcom zlewa się w całość, którą charakteryzują dwie cechy: są do zaakceptowania przez centrum i nie są Andrzejem Dudą.

To znaczy, że gdyby Koalicja Obywatelska wybrała kogoś innego, i tak miałaby podobne poparcie?

Na to wygląda, chyba żeby postawiono na osobę ze skomplikowaną przeszłością, która mocno rozdrażniłaby drugą stronę, np. Donalda Tuska. Wtedy trudno byłoby przewidzieć efekt, ale w przypadku wyrazistych kandydatów jedno jest pewne – w wyborach, w których startują, większą rolę od sympatii odgrywają antypatie partyjne. Część wyborców naturalnie definiuje się wtedy nie tyle za jakąś formacją, ile przeciw niej. Raz jeszcze wracam do Senatu, gdzie w 40 okręgach 1 na 1 stanęło przeciw sobie 80 kandydatów. Pomimo istotnych różnic jakościowych i kompetencyjnych między nimi żadnemu w swoim okręgu nie udało się przełamać prawidłowości – ich wynik zależał od tego, czy PiS miał przewagę nad opozycją, czy nie. Nie było zatem aż tak ważne, czyją twarz postawiono pod szyldem partyjnym. Oczywiście są sytuacje takie jak Wałęsa „podający nogę" Kwaśniewskiemu, które sprawiają, że osobowość kandydata może pogrzebać jego szanse, ale to nie one są najważniejsze.

Jak pan interpretuje scenariusz z sondażu dla RMF i DGP, w którym w hipotetycznej drugiej turze Władysław Kosiniak-Kamysz osiąga lepszy wynik od Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, pokonując urzędującego prezydenta?

To pewna stała cecha części elektoratu związanego z ludowcami – mając do wyboru PO i PiS, wybiera PiS, ale gdy trzeba zdecydować między Prawem i Sprawiedliwością a Polskim Stronnictwem Ludowym, wybiera to drugie. Wyborcy Platformy nie mają zaś takiego rozdwojenia. Masowo głosują na kandydata PSL, gdy alternatywą jest PiS, ale – jak widać – bez wzajemności. Sytuacja przypomina unię szkocko-angielską, która jest asymetryczna. Można sobie wyobrazić, że Szkot będzie premierem Wielkiej Brytanii, ale jest niemal niemożliwe, aby Anglik został premierem Szkocji.

Czy Władysław Kosiniak-Kamysz, jeśli z dobrym wynikiem zajmie trzecie miejsce, może być Pawłem Kukizem tych wyborów i przez przekazanie poparcia Kidawie-Błońskiej zwiększyć jej szanse? Czy jest w stanie skłonić swój elektorat do podobnego transferu?

To chyba nie jest aż tak potrzebne. Wydaje mi się, że elektoraty są już podzielone, a ci, którzy mieli odpłynąć z PSL do PiS, odpłynęli. Oczywiście jeśli wynik będzie naprawdę bliski, to styl i skala poparcia Kosiniaka-Kamysza mogą przechylić szalę, ale nie w taki sposób i w takiej skali jak w 2015 r. Zastanawiam się natomiast, czy Kosiniak-Kamysz może powtórzyć manewr, który zastosował w ubiegłym roku z Kukizem, czyli wziąć Szymona Hołownię pod swoje skrzydła, skłaniając go do rezygnacji i podpisania się pod jego kandydaturą.

Myśli pan, że to jest w ogóle realne?

Gdyby ktoś panu powiedział 12 miesięcy temu, że ujrzymy sojusz antysystemowego Kukiza z systemowym PSL, zapewne postukałby się pan w głowę. A to jednak był kluczowy gambit dla wyniku wyborów sejmowych. Oczywiście można też sobie wyobrazić, że to Kosiniak-Kamysz ustępuje pola i Hołownia zajmuje jego miejsce. Wtedy druga tura dla kandydatki Koalicji Obywatelskiej znacznie się komplikuje.

À propos, uważa pan, że Szymon Hołownia naprawdę chce wygrać te wybory czy – jak twierdzą jego krytycy – został „wydelegowany" na ten odcinek, aby odciągać umiarkowanych wyborców od Andrzeja Dudy i ostatecznie przekazać ich Kidawie-Błońskiej?

Nic nie wskazuje, że jego marzenia o prezydenturze nie są prawdziwe. Znamy podobne historie, np. na Słowacji, w Austrii i na Ukrainie, gdzie kandydat z zewnątrz został prezydentem. Pytanie, w jakich warunkach rodził się ten projekt, bo przecież Platforma ze schyłkowym Grzegorzem Schetyną zwiastowała wielką smutę i przestrzeń na kandydata społecznego, a dzisiaj pod kierownictwem Borysa Budki już tak źle nie jest. Największym problemem Hołowni jest jednak nie kondycja PO, ale to, że zrobiło się za ciasno na scenie prezydenckiej i głosy opozycji się rozpraszają. Dodatkowo ta scena jest już w dużej mierze poukładana. Polacy nie przepadają w końcu za rewolucjami i w naszych wyborach pewien element nieprzewidywalności jest przewidywalny. Można powiedzieć, że oscyluje on wokół 10 proc., nie przekraczając 20 proc. – granicę wyznacza zsumowany wynik Kukiza i Petru w poprzednich wyborach parlamentarnych. Z takim poparciem nie obala się urzędującego prezydenta.

A co z Robertem Biedroniem i Krzysztofem Bosakiem – dwoma krańcami politycznego spektrum. Czy ich wyborcy oraz ich decyzje w drugiej turze mogą zmienić rezultat wyborów?

W przypadku Roberta Biedronia zasadne jest pytanie: Czy jego stosunkowo niskie poparcie to efekt sytuacji całego obozu politycznego, który reprezentuje, czy braku zaufania i osobistych wpadek? Skoro już w pierwszej turze lepszy wynik może otrzymać świeżo upieczony polityk bez partii, to znak jakiegoś problemu. Lewica wystawia kandydata, bo powinna, lecz do zwycięstwa potrzebuje cudu. Nie sądzę, aby elektorat Roberta Biedronia, który jest zawiedzioną nadzieją lewicy, miał odpuścić wybory, a i tak nie ma alternatywy, przecież nie zagłosuje na Andrzeja Dudę. Z różnych badań wiemy, że jest on najsilniej niechętny PiS. Natomiast jeśli chodzi o Krzysztofa Bosaka... To kandydat wybrany w realnych prawyborach wewnątrz swojej formacji, ale nadal najsłabszej partii w całej grze. Nie przeszacowywałbym skali przepływu jego elektoratu na Andrzeja Dudę. Już teraz, porównując średnie sondaży, widać, że kandydat PiS przejmuje co trzeciego wyborcę Konfederacji – dla tej części elektoratu, który PiS stracił przez sprawę Banasia itp., nie musi być jasne, w czym Bosak jest lepszy od Dudy. Jeśli na partię głosowali np. ze względu na Korwin-Mikkego, to PiS liczyć chyba na nich nie może. Bez względu na to, jak się te wszystkie parametry układają, będą szalenie ciekawe wybory, których stawką będzie kształt polskiej polityki przez następne trzy lata, a może nawet dłużej. Tak jak trzy ostatnie wybory – samorządowe, europejskie i parlamentarne – będą bardzo wyrównane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jarosław Flis *– socjolog zajmujący się komunikowaniem politycznym oraz badaniami samorządów i analizami wyborczymi, publicysta, komentator polityczny, doktor habilitowany nauk społecznych.*

eprasa.pl 5a2134d4e1

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zróbmy sobie panoramę

Projekty pomnika poświęconego Bitwie Warszawskiej – nawet te zwycięskie – nie spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem. Wszyscy oczekiwali chyba czego innego – albo bardziej spektakularnego, albo bardziej realistycznego.

Nie zamierzam przyłączać się do krytyki rzeźbiarskich wizji. Nie dlatego, żeby projekty mi się podobały, bo raczej się nie podobają. Pomniki dostały już wiele razów, kolejne ciosy nikomu do niczego się nie przydadzą. Ja natomiast chciałbym zaproponować inną formę upamiętnienia Bitwy Warszawskiej. Jasne, w tym roku już nic nie da się zrobić. Ale ponieważ nie o pomnik chodzi, można to zrobić i za pięć lat. A co zrobić? Przenieśmy się na chwilę do Stambułu.

Kilka lat temu wzniesiono tam coś, co na mapach Google nazywa się Panorama 1453. Pochodzący z 2009 r. kompleks położony jest nieopodal murów dawnego Konstantynopola, a więc dość daleko od historycznego centrum. W modernizowanym właśnie budynku znajduje się kolista malarska panorama szturmu na miasto. Zespół malarzy uchwycił moment decydującego natarcia. Oto w murach miasta pojawiły się wyłomy, w które – mimo rozpaczliwej walki obrońców – wdzierają się janczarzy. Za nimi szarżę rozpoczyna turecka jazda, a rodzącemu się zwycięstwu przygląda się podniecony Mehmed, który już wie, że będzie się go nazywać Zdobywcą. Konstantynopol właśnie pada. Imperium osmańskie właśnie zdobywa swą stolicę.

Czy to jest wysokiej jakości malarstwo? Nie mam pojęcia, pewnie nie. Jest hiperrealistyczne, monumentalne i efektowne. Efekty są wzmocnione dźwiękowymi odgłosami bitwy i umiejętnie rozstawionymi rekwizytami. Zwiedzający to przede wszystkim Turcy, którzy też ostatnio wstają z kolan po dekadach upokorzeń i zapóźnienia. To do nich skierowana jest ekspozycja, o czym świadczy brak angielskich opisów map i rycin dokumentujących oblężenie oraz rozsądne ceny w muzealnym sklepie. Miejscowi – głównie rodziny z dziećmi – byli wyraźnie pod wrażeniem Panoramy. Zresztą niemiejscowi, czyli my, także.

Może to dziwne, że zachwycam się turecką panoramą, skoro we Wrocławiu mamy własną. Ale szczerze mówiąc, „Panorama Racławicka" nie ma tej siły wyrazu, nie z powodów artystycznych, lecz historycznych. Wszak opowiada o bitwie, która była tylko preludium do ostatecznego upadku. Dla każdego, kto choć odrobinę zna historię, musi być przygnębiająca. Zdobycie Konstantynopola z tureckiego punktu widzenia to zaś historyczne, przełomowe zwycięstwo, dające widzom ogromny zastrzyk narodowej dumy.

Z Bitwą Warszawską jest podobnie. Zróbmy sobie jej panoramę. Każdy będzie ją chciał zobaczyć, a więc jeszcze będzie można na tym zarobić. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Globalnie rzecz ujmując

Może nie tym razem, może jeszcze się nam upiekło, może bilans ofiar pandemii tego (jak raczyła go nazwać kandydatka Kidawa-Błońska) „wirusa korony" zamknie się w tysiącach, nie milionach. Jak jednak mówi porzekadło ludowe, „Co się odwlecze, to nie uciecze". Za jakiś czas, prędzej czy później (lepiej później), z tajnego laboratorium ucieknie jakiś zmutowany wirus, groźniejszy, skuteczniejszy. Na przykład z 70-procentową śmiertelnością. Jak pałeczka „czarnej śmierci".

Ziemskie społeczeństwo to nie ludzie z czasów wielkiej wojny. Nikt nie chce się poświęcać, ryzykować

Być może medycyna z tym sobie poradzi. Ale czy ludzkość? W zglobalizowanym świecie nawet katastrofa staje się globalna. Nietrudno sobie wyobrazić (nawet nie będąc autorem fantastyki), jakie konsekwencje miałaby dziś „hiszpanka bis" czy „dżuma plus". Ziemskie społeczeństwo to nie ludzie z czasów wielkiej wojny. Nikt nie chce się poświęcać, ryzykować. Jaką mamy pewność, że w obliczu prawdziwego kataklizmu lekarze nie uciekną, a pielęgniarki zastrajkują?

Kwarantanny, skądinąd niezbyt skuteczne, w którymś momencie po zahamowaniu przepływu ludzi wstrzymają przepływ towarów. Jeszcze całkiem niedawno w podobnej sytuacji można było sobie radzić na własną rękę, coś zasadzić, coś wyhodować, coś udziergać.

Teraz w wysoko rozwiniętych krajach kopalnie zamknięto, fabryki rzeczy najpotrzebniejszych oddały pole Chinom, produkcja żywności opiera się na wielkich producentach (nie lokalnych gospodarstwach rodzinnych)…

Jeśli padnie energetyka i zabraknie paliw, to nie ma koni, by ratować komunikację. Nie ma krów, by wyżywić sąsiadów. O kurki też może być ciężko. W powieści, która ciągle leżakuje w szufladzie (tytuł „Motyl na łańcuch"), opisuję taką sytuację, tylko gorszą. Świat przyszłości składa się z ludzi, którzy niczego już nie umieją, nie potrafią nawet czytać, nie mówiąc o pracy fizycznej. I pewnego dnia gaśnie światło. Robi się chłodno i głodno. Przeżywają pandemie, pogrążamy się w mrokach, spadając do poziomu kamienia łupanego, a biorąc pod uwagę nieprzystosowanie do życia w warunkach pierwotnych – jeszcze niżej.

Na razie jednak bawmy się. Świat może przetrwa więcej niż trzy tygodnie! ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!
Sensacyjny wywiad z żołnierzem wyklętym, bohaterem walki z komuną

Witold Bagieński – **Wojna szpiegów PRL**
Patryk Pleskot – **Intryga czerwonego sobowtóra**
Sławomir Koper – **Wpadka francuskiego agenta**
John Mearsheimer – **Ameryka potrafi być bezwzględna**
Mikołaj Iwanow – **Czy Stalin planował drugi Holokaust?**
Tomasz Stańczyk – **Król gangsterów II RP**
Arkadiusz Karbowiak – **Dziwna okupacja Danii**
Grzegorz Janiszewski – **Pierwsi polscy komandosi**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 5a2134d4e1

Paweł Kukiz na rozstajach

Łukasz Warzecha

Jestem postacią na wskroś tragiczną,
Najtrudniejszegom dokonał wyboru:
Między obozem dla nieprawomyślnych
A honorami i łaską dworu.

Tak śpiewał Jacek Kaczmarski w roku 1982 w „Marszu intelektualistów", odwołując się do postaci Jerzego Urbana, Wiesława Górnickiego, a przede wszystkim Daniela Passenta, z którego poeta zapożyczył sobie niektóre frazy. Czasy się zmieniły, ale historia, jak wiadomo, zawsze jakoś się powtarza, nawet jeśli nigdy co do joty.

Paweł Kukiz też jest postacią na wskroś tragiczną, która przed ostatnimi wyborami dokonała najtrudniejszego wyboru. Nie jest to może wybór między obozem dla nieprawomyślnych a honorami i łaską dworu, ale na pewno wybór między twardym antysystemowym kursem a głównym nurtem polityki. Przy tym nie ma powodów, żeby wątpić w osobistą uczciwość muzyka. Nawet wśród osób najbardziej sceptycznych wobec jego poczynań nie ma takich, które podawałyby ją w wątpliwość, twierdząc, że wszedł w przymierze z Polskim Stronnictwem Ludowym, żeby przez kolejną kadencję paść się na nie tak zresztą dużym poselskim wikcie. Nie zmienia to faktu, że czym innym jest brak posądzeń o osobistą nieuczciwość, a czymś całkiem innym osobista wiarygodność. I tę Paweł Kukiz roztrwonił, choć chyba sam nie do końca to rozumie.

Można postawić tezę, że ogłoszenie przez niego zamiaru powołania partii politycznej zamiast dotychczasowej formy ruchu przypieczętowało ten proces. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Kukiz zaanonsował w jednym z wywiadów ten plan, swoją działalność w mediach społecznościowych zintensyfikował Mariusz Max Kolonko, odgrywający dzisiaj (zdalnie, z USA) na scenie publicznej rolę Jasia Fasoli. Kolonko, który brzmi tak, jakby miał zamiar kandydować na prezydenta, ogłosił m.in. zamiar powołania stanowiska szeryfa praw narodu. Komentarze obserwujących do pociesznych tweetów Kolonki były utrzymane w identycznym tonie co te do oświadczenia Kukiza. I to jest dla tego ostatniego prawdziwa tragedia, bo poziom i wiarygodność tych dwóch osób to jednak dwa różne światy.

Skąd się wziął Kukizowi pomysł powołania partii? Otóż muzyk po niewczasie zorientował się, że wejście w alians z partią Władysława Kosiniaka-Kamysza zostało przez wielu potraktowane jako ostateczna

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 5a2134d4e1

zdrada ideałów, które w 2015 r. zapewniły Kukizowi ponad 20 proc. głosów w pierwszej turze. Od tamtego czasu Kukiz i jego formacja przeszli długą drogę – od najrozsądniejszej partii opozycji poprzez nieustające hamletyzowanie co do dalszej drogi, porażkę w wyborach samorządowych i klęskę w tych do Parlamentu Europejskiego aż do sojuszu z ludowcami i właściwie zniknięcie ze sceny.

Styczniowy sondaż zaufania do polityków wciąż umieszcza Kukiza dość wysoko, bo na siódmym miejscu pod względem deklarujących zaufanie: jest ich 38 proc. Kukiz wyprzedza m.in. Małgorzatę Kidawę-Błońską (37 proc.), Jarosława Gowina (34 proc.) i Roberta Biedronia (33 proc.). Nie ufa mu 27 proc., ale najbardziej uderzające jest to, że ponad jedna czwarta – aż 26 proc. – deklaruje wobec Kukiza obojętność. To najwięcej w całym zestawieniu, obejmującym 24 osoby. Następny pod tym względem jest Jarosław Gowin, przez wielu uznawany za uosobienie nijakości, z 23 proc. obojętnych. Dla polityka, który zbudował swoją pozycję kilka lat temu na ostrym, antysystemowym kursie, taki poziom obojętności to dramat.

Rozmiar roztrwonionego zasobu staje się jeszcze widoczniejszy, gdy porównać sondaż ze stycznia do sondażu sporządzonego – również przez CBOS – w czerwcu, po wyborach prezydenckich 2015 r. Wówczas pod względem zaufania Kukiz był na drugim miejscu ex aequo z Bronisławem Komorowskim z 52 proc., a pierwszy – Andrzej Duda – wyprzedzał go tylko o pięć punktów. Nieufnych było jedynie 17 proc., a obojętność deklarowało 20 proc. Aż siedmiu polityków miało wtedy poziom obojętności wyższy niż lider Kukiz'15.

Teraz zatem Kukiz postanowił w najprostszy sposób przeciwdziałać opinii o tym, że z antysystemowca stał się sprzymierzeńcem partii kojarzonej wciąż przez wielu z modelowym konformizmem III RP: poprzez założenie własnego ugrupowania. Nie przewidział najwyraźniej, że to kolejny strzał w stopę.

Po pierwsze – jeśli ktoś jeszcze w ogóle zwraca uwagę na to, co robi Kukiz, to uzna ten projekt za następną woltę muzyka. A przecież to właśnie brak konsekwencji, jasnej linii, wyraźnego przesłania zabił Kukiz'15.

Po drugie – sens tego zabiegu w tym momencie, gdy pięciu posłów od Kukiza jest już w Sejmie i są członkami Klubu Koalicji Polskiej, jest żaden. Wygląda to jak wyjątkowo wydłużony refleks szachisty.

Kukiz startował ze swoim ruchem do parlamentu w 2015 r., deklarując, że nigdy nie zamieni go w partię polityczną. Konsekwencją było niekorzystanie z subwencji, bo te przysługują jedynie organizacjom działającym na podstawie ustawy o partiach politycznych. Zresztą już wtedy przypominano dawny cytat z Kukiza, który mówił: „Jeśli zostanę politykiem, naplujcie mi w ryj i mówcie do mnie »szmato«".

Podczas kadencji 2015–2019 sprawa utworzenia z ruchu Kukiz'15 partii powracała wielokrotnie – i wtedy miałoby to sens, jakkolwiek zachwiałoby nieco wizerunkiem antysystemowego kontestatora. Gdyby jednak Kukiz zdecydował się na taki zabieg, dajmy na to w połowie ubiegłej kadencji, miałby czas, żeby swój wizerunek podreperować, uzasadnić to posunięcie przed kolejną elekcją i odbudować zaufanie do siebie. Partia jest wszak bardziej sformalizowaną strukturą, z definicji sterowniejszą, o przejrzystszych zasadach działania – no i może pobierać subwencje. Decyzja o tym, by po nie nie sięgać, była heroiczna i na pewno nabiła Kukizowi nieco punktów, ale skazywała jego ruch na upośledzoną pozycję wobec partii i choćby w ten sposób przyczyniła się do porażki w maju 2019 r.

Po trzecie – paradoksalnie dopiero powołując teraz partię, Kukiz zacząłby mieć problemy z finansami. Gdy ogłaszał w 2019 r. przymierze z PSL, powstało pytanie, jak rozliczana byłaby subwencja. Politycy Kukiz'15 startowali z list PSL. Formalnie nie była to koalicja – bo ruch muzyka nie był partią – więc zgodnie z prawem subwencja wpływa jedynie na konto stronnictwa i inaczej być nie może. Przed wyborami obaj liderzy tłumaczyli, że zawarli umowę, w ramach której z subwencyjnych pieniędzy mają być finansowane przedsięwzięcia ważne dla Kukiza, a więc m.in. dotyczące zmian w ordynacji wyborczej albo kwestii referendów. Dziennikarze szybko wskazali, że zawarcie w tej sprawie jakiejkolwiek umowy cywilnoprawnej byłoby nielegalne. Zainteresowani wyjaśnili wówczas, że niczego nie podpisują i że umówili się na słowo honoru.

W listopadzie ubiegłego roku pojawiły się informacje, że działacze Kukiza nie są zadowoleni z tego, jak PSL wywiązuje się z tego zobowiązania. Jednak trzeba przyznać, że aby przekazać na coś pieniądze, trzeba mieć na co. Musiałby istnieć projekt jakiegoś przedsięwzięcia. Gdyby jednak Paweł Kukiz faktycznie powołał partię, z jakimikolwiek pieniędzmi musiałby się ostatecznie pożegnać, ponieważ jedna partia nie może zasilać innej ze swoich subwencji.

Kukiz deklaruje, że powołanie partii – która pozostanie w aliansie z PSL, a jej członkowie w dotychczasowym klubie – ma wyciszyć głosy oburzenia, wywołane zawarciem przymierza, i pokazać, że nie zaprzedał się Kosiniakowi-Kamyszowi. To złudna nadzieja. Emocje zawiedzionych Kukizem biorą się z przekonania – być może w jakiejś mierze słusznego – że uwiarygadniając PSL, były – ich zdaniem – antysystemowiec zapewnił tej partii wejście do parlamentu w zeszłym roku. Dla ideowych antysystemowców zaś PSL to kwintesencja zła.

Kukizowi grozi i to, że tracąc resztki wiarygodności poprzez kolejne wolty (nawet jeśli w istocie woltami nie są, tak właśnie są widziane z zewnątrz), stanie się z czasem mało użyteczny dla swojego większego i lepiej zorganizowanego sojusznika. Władysław Kosiniak-Kamysz, który konsekwentnie stara się zmienić partię chłopską w nowoczesne centrowo-konserwatywne ugrupowanie, przemawiające do klasy średniej także w miastach, potrzebował Kukiza z powodu przyjętego przez siebie kursu. Lecz w każdym takim aliansie istnieje rachunek zysków i strat. Umiejętnie ten czynnik wykorzystał na przykład Zbigniew Ziobro, który przez kilka lat tak bardzo podniósł koszt ewentualnego rozstania się z nim Jarosława Kaczyńskiego, że stał się praktycznie nieusuwalny – mimo ogromnych kosztów, które generuje jego obecność w Zjednoczonej Prawicy. Kukiz o takiej pozycji w sojuszu z PSL może jedynie marzyć, niewykluczone zatem, że nastanie moment, w którym muzyk okaże się dla stronnictwa większym obciążeniem niż atutem.

Jest wreszcie niebezpieczeństwo, że Pawła Kukiza otoczyli ludzie, którzy w stworzeniu partii widzą własny, bardzo prywatny interes. Gdyby takie ugrupowanie powstało i utrzymało w Sejmie swoich przedstawicieli pod własnym szyldem do końca kadencji (która może się przecież skończyć przed czasem), to potem mogłoby starać się wejść do parlamentu ponownie jako oddzielna partia. Z minimalnymi szansami na przekroczenie progu, ale za to sporymi na przeskoczenie progu subwencyjnego na poziomie 3 proc. Dla niektórych to wymarzona sytuacja: zero sejmowych obowiązków, zero odpowiedzialności, a pieniądze zapewnione na całą kadencję. Bardzo smutny to byłby koniec dla człowieka, który rozruszał polską scenę polityczną pięć lat temu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

SPRAWIEDLIWOŚĆ

Sebastian Fabian Klonowic („O przyczynach waszego złego", druga połowa XVI wieku):

„Tak bez sprawiedliwości nie może być prawo;
Nie idzie prosto, jeno krzywo a szpotawo".

Ludwik Kondratowicz alias Wł. Syrokomla („Trędzlowe", druga poł. XIX w.):

„Ej, do czarta taki sąd!
Tysiąc błędów idzie stąd".

eprasa.pl 5a2134d4e1

Waldemar Łysiak

Irlandzki medyk króla Jana III Sobieskiego, Bernard O'Connor, napisał (wiek XVII): *„In Polonia lex est rex"* — *„W Polsce królem jest prawo"*. W dzisiejszej Polsce głosimy to samo, ale bez entuzjazmu, raczej z przekąsem, zważywszy nieomal dywersyjne poczynania *„kasty sędziowskiej"*, którą jedni zwą *„salonową"* (czyli opozycyjną), a inni wprost *„postpeerelowską"* czy nawet *„postesbecką"* (nigdy nie zweryfikowaną lustracyjnie), i którą PiS rozpaczliwie próbuje dyscyplinować. Głównym problemem nie są nawet sprawy formalne/instytucjonalne, o które toczą się wściekłe boje wewnątrz obu izb parlamentu, lecz — tak ja uważam — kwestia widocznej rażąco w codziennych praktykach trybunałów priwiślińskich antynomii między *„ius"* a *„lex"*, gdyż sprawiedliwość (*„ius"*, *„iustitia"*) jest tam coraz rzadsza i ten brak sprawiedliwości coraz częściej urąga prawu (*„lex"*).

NIESPRAWIEDLIWOŚĆ VS PRAWO

Od roku 1990 powtarzałem niby katarynka (książki publicystyczne tudzież teksty prasowe), że *„w Polsce istnieje prawo, lecz nie istnieje sprawiedliwość"*. Mija 30 lat i sytuacja w III RP jest ciągle ta sama, a rozmaici prawicowi *„ludzie pióra"* werbalizują ten haniebny stan po swojemu, exemplum Piotr Skórzyński: *„«Państwo prawa» okazało się wyzute ze sprawiedliwości"* (2008). Czyli z *„cnoty kardynalnej"*, bo chrześcijaństwo mianowało kardynalnymi tzw. *„cztery cnoty Platona"* (roztropność, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość, dzielność). Według niektórych właśnie sprawiedliwość jest główną *„cnotą kardynalną"*, ponieważ Chrystus w Kazaniu na Górze dwukrotnie błogosławił tych, co *„łakną sprawiedliwości"*, a św. Paweł w Liście do Koryntian pytał: *„Czyż nie wiecie, że niesprawiedliwi nie posiądą Królestwa Bożego?"*. Trudno się tedy dziwić irytacji, którą Paweł Lisicki wyraża na łamach swego tygodnika (32/2016): *„Jak to się stało, że z kazań papieskich całkowicie zniknęło słowo «sprawiedliwość»? (...) W jaki sposób Bóg może być sędzią bez niej?"*. Wszelako dzisiaj obywateli bardziej od spraw biblijnych zajmują bieżące kwestie wymiaru (nie)sprawiedliwości III RP, pełnego takich przypadków jak wzmiankowany (też przez **„Do Rzeczy"**, 4/2020) piórem Wojciecha Wybranowskiego: *„Sędzia Aleksandra Kassyk trzy lata trzymała w więzieniu Maćka Dobrowolskiego na podstawie wartych funta kłaków zeznań «skruszonego» dilera narkotyków"*. Nim wszakże zajmę się tego rodzaju casusami, jeszcze kilka słów o generaliach, ergo: o wspomnianej antynomii między *„lex"* i *„ius"*.

„Niesprawiedliwość"
(drzeworyt w dziele Cesare Ripy „Ikonologia", 1603)

Zdaniem ludzi mądrych *„Iustitia est fundamentum regnorum"* vel *„Iustitia civitatis fundamentum"*, co oznacza, że bez sprawiedliwości państwo nie może funkcjonować prawidłowo i być uznawane za twór cywilizowany, a społeczeństwo pozbawione sprawiedliwości gnije i niedomaga. Były Rzecznik Praw Obywatelskich, dr Janusz Kochanowski, pisał: *„Między sprawiedliwością a prawem istnieje zawsze większe lub mniejsze napięcie. Jeśli jednak rezygnujemy z tej pierwszej, rychło się okazuje, że oddalamy się również od prawa (...) Za główną z cnót społecznych pozwalam sobie uznać właśnie sprawiedliwość. Sprawiedliwość, która jest ostatecznym celem i wartością prawa. I jako taka jest podobnie jak piękno, dobro i prawda wartością absolutną, której nie trzeba wyprowadzać z żadnej wyższej wartości. Sprawiedliwość, której pragnienie wypływa z fundamentalnego poczucia godności ludzkiej. Bliskie mi jest twierdzenie Kanta, że jeśli przepada sprawiedliwość, to życie ludzkie na Ziemi nie ma żadnej wartości"* (2008). Dzisiaj w III RP coraz silniej panuje ugruntowujące się od lat przekonanie społeczeństwa, że za sprawą licznych werdyktów sędziowskich dzieje się właśnie to: *„przepada sprawiedliwość"*. Tego samego roku (2008), w którym Rzecznik Praw Obywatelskich użył takiego sformułowania, znany publicysta Bronisław Wildstein pisał bez ogródek: *„Jesteśmy świadkami niekończącej się serii skandali, których bohaterami są przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości bronieni przez swoją korporację (...) Prawniczka wykładająca na uniwersytecie powiedziała mi, że nie rozumie dlaczego sędziowie robią sobie kpiny z prawa"*. Otóż to — kłania się grzech śmiertelny sędziów: niesprawiedliwość vs prawo. A przecież, jak słusznie mówi senator Lidia Staroń: *„ — Na pierwszym miejscu winien być człowiek i sprawiedliwość, nie zaś walka o władzę pod pozorem walki o wolne sądy"* (2020).

MECHANIZMY I KRETYNIZMY

Nie twierdzę, że Polska to jedyny kraj, w którym obrażające elementarną sprawiedliwość werdykty sędziowskie stanowią problem, bo są zbyt częste po prostu. Gdyby tak było — gdybyśmy byli jedyną enklawą niesprawiedliwości sędziowskiej — to w wielu państwach nie robiłby furory żart: *„Szwajcaria ma*

eprasa.pl 5a2134d4e1

Ministerstwo Marynarki Wojennej, a nasz kraj ma Ministerstwo Sprawiedliwości…". Zdrowe systemy ustrojowe i sądownicze wyznają starą zasadę, którą Oscar Wilde tak sformułował w XIX wieku: *„Jedyną rzeczą gorszą od niesprawiedliwości jest bezorężna sprawiedliwość"*. Inna prawda mówi, że te systemy nie powinny się różnić sprawnością oraz skutecznością, natomiast mogą się różnić rodzajem mechanizmów. Dla Polaka czymś egzotycznym jest wspominek prof. Zbigniewa Żylicza, speca od medycyny i opieki paliatywnej, który praktykował m.in. w Holandii (gdzie go za to udekorowała Królowa Niderlandów, Beatrix): *„ — Dziecko po ciężkim wypadku drogowym potrzebowało transfuzji krwi, ale rodzice, świadkowie Jehowy, z przyczyn religijnych nie zgodzili się na to. Dziecko umierało mi na rękach! Zadzwoniłem więc do sędziego dyżurnego, bo w Holandii zawsze ktoś taki siedzi na dyżurze — jeden na cały kraj. Od ręki pozbawił rodziców praw rodzicielskich, więc zdążyliśmy przeprowadzić operację i przetoczyć krew"* (2018).

Różnorodność (lokalna odmienność) mechanizmów sądowniczych nikomu nie przeszkadza jeśli tylko są skuteczne w działaniu (wedle reguły: *„Kot może być biały, czarny lub rudy, byle myszy łapał"*), natomiast jak świat długi i szeroki za dżumę uważa się skorumpowanie sądownictwa (Jan Kochanowski roku 1564: *„Kędy sprawiedliwość przedajna, tam przeklęctwo wielkie"*; Juliusz Słowacki roku 1843: *„Najgorsza wada — przedajne sądy"*), a za ciężką grypę jego upolitycznienie. Całkowitego zerwania sądownictwa z polityką uniknąć o tyle nie sposób, że w ogromnej liczbie krajów partie, które wygrywają demokratyczne wybory, mają wpływ obsadowy na sądownicze instytucje. KontrPiSowskie jazgotanie opozycji à propos tego zagadnienia jest więc żenująco głupie, bo wynika z realnej lub udawanej ignorancji wobec systemów funkcjonujących wokół Lechistanu. Tomasz Pietryga: *„W takich krajach jak m.in. Niemcy, Dania, Szwecja czy Hiszpania, a nawet Litwa czy Łotwa, władza polityczna ma znacznie większy niż w Polsce wpływ na obsadę kadrową w sądach lub instytucjach władzy sądowniczej. Na przykład w Niemczech sędziów na poziomie landów samodzielnie powołuje minister sprawiedliwości, również na wybór sędziów federalnych znaczący wpływ mają politycy. W Danii skład odpowiednika polskiej Krajowej Rady Sądownictwa również zależy od ministra i nie wywołuje to zarzutów, że trójpodział władzy jest naruszany"* (2017).

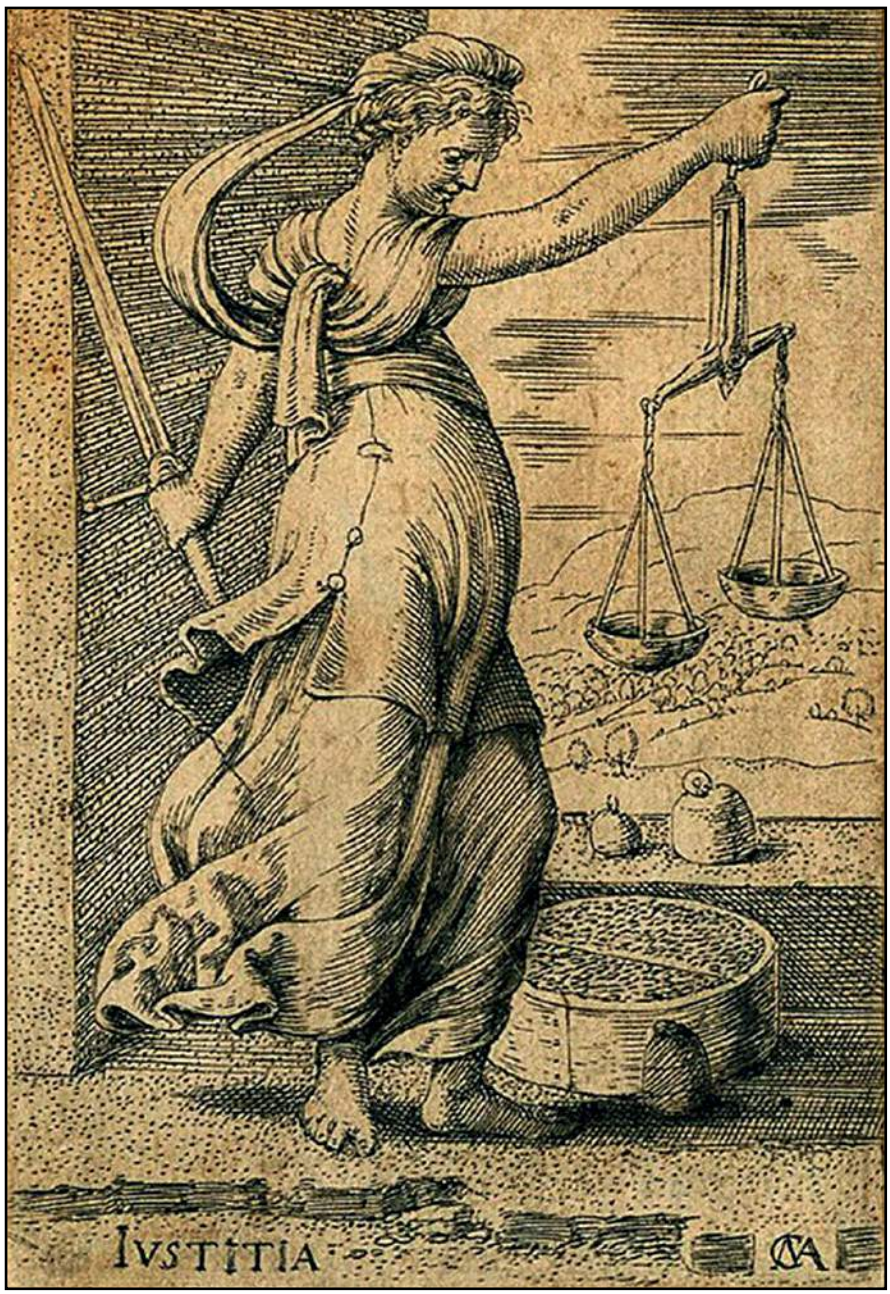

Salonowa *„totalna opozycja"* ma cały arsenał kontrPiSowskich zarzutów tyczących sfery jurysdykcyjnej, lecz wszystkie one są *„siarą"*, czyli emanowaniem tej samej argumentacyjnej głupawki. Exemplum zarzut, że promowany przez PiS sędzia Stanisław Piotrowicz to były członek PZPR, pracujący (jako prokurator)

eprasa.pl 5a2134d4e1

również w dobie *„stanu wojennego"*, czyli w erze *„Jaruzela"*. Salonowym krytykom Piotrowicza (który nikogo nie skrzywdził, żadnego opozycjonisty) nic a nic nie przeszkadzało, że nawet Sąd Najwyższy salonowej III RP całymi dekadami pełen był sędziów peerelowskich (członków PZPR), którzy sekowali niegdyś wrogów reżimu komunistycznego. Jak choćby Bogdan Rychlicki, który podczas PRL–u ferował surowe wyroki (od półtora roku, do kilku lat) za prywatne rozmowy (w pociągu lub w barze) o niedomaganiach czerwonego państwa, np. o kiepskiej kondycji górnictwa i przemysłu stoczniowego. Bądź sędziowie Leopold Nowak, Tomasz Artymiuk, Waldemar Płóciennik, Janusz Godyń (przewodniczący Izby Wojskowej SN), czy Lech Gardocki (ten był nawet prezesem SN), którzy nim zostali członkami Sądu Najwyższego III RP — mieli za sobą długie staże w PZPR i ciężkie wyroki (do 6 lat *„odsiadki"*!) wymierzane antykomunistom. IPN chciał rozliczyć Nowaka, lecz postpeerelowski Sąd Najwyższy uniemożliwił to (2012), kierowany solidarnością *„kasty"* vel sitwy.

SĘDZIOKRACJA

Głośny swego czasu oligarcha polski, Aleksander Gudzowaty, nieopatrznie *„puścił farbę"* pewnego razu, mówiąc o priwiślińskim postesbeckim *„deep state"*, czyli o zakulisowej strukturze manipulacyjnej trzymającej wszystkie linki kukiełkowego teatrzyku noszącego nazwę III RP: *„ — Nazwałem to kiedyś «Lożą minus pięć». Wzięło się to stąd, że o włoskiej mafii mówiło się: Loża P–2. Stąd skojarzenie. A «minus pięć», bo to — umownie — piąty poziom piekła. Jest to struktura ponadpartyjna i ponadczasowa, stowarzyszenie ludzi, którzy mają wspólny interes, przymykają oczy na szwindle, na przykład dotyczące prywatyzacji, od lat są nietykalni i wzajemnie sobie pomagają. Są «inżynierami» trzeciego podziału dochodu narodowego"* (2007). Po czym napomknął, że swoistym parasolem i ubezpieczeniem tego *„układu"* jest *„życzliwość środowiska sędziowskiego, które uniknęło rozliczenia"*.

Ten problem braku rozliczeń to problem braku weryfikacji i lustracji sędziów. Red. Rafał Łatka, rozmawiając niedawno ze znanym historykiem, prof. Antonim Dudkiem, o *„największych zaniedbaniach rządu Tadeusza Mazowieckiego"* (pierwszego rządu III RP), sugerował, iż najgorszą rzeczą był *„brak jakichkolwiek poważniejszych zmian w sądownictwie, w całości niemal przejętym po PRL"*, a uczony się z tym zgodził: *„ — Podzielam pogląd, że największym błędem rządu Mazowieckiego było wprowadzenie reformy sądownictwa dającej mu olbrzymią niezależność, bez wcześniejszego usunięcia z tej korporacji najbardziej skompromitowanych sędziów. Późniejsze rządy miały już w tej sprawie ograniczone pole manewru, bo ustrojowe drzwi do zmiany zostały zatrzaśnięte"* (2020).

Padło wyżej neutralne określenie *„korporacja"*, jednak dużo częściej pada dzisiaj epitet *„kasta"* (*„nadzwyczajna kasta sędziowska"*, *„anarchiczna kasta sędziowska"*, i podobne pejoratywne określenia), z wyraźną sugestią uzurpowania sobie nadwładzy przez środowisko sędziowskie. Już roku 2007 tygodnik **„Wprost"** zwał to środowisko mocarną sitwą (*„grupą interesów wpływającą na władzę, decydującą o kształcie polityki"*), a rok później (2008) tygodnik **„Angora"** uznał swoistym symbolem panoszącej się nad Wisłą kastowości *„zawód sędziego, stanowiący wręcz rodzinny biznes"*. O rodzimej oligarchii sędziowskiej zawłaszczającej i dewastującej system demokratyczny (co zwane jest przez wielu komentatorów *„sędziokracją"* lub *„sądokracją"*) tak mówił kilka miesięcy temu prof. Andrzej Bryk (historyk ustroju i politolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego): *„ — Wzrastająca rola*

eprasa.pl 5a2134d4e1

sądów i trybunałów charakteryzuje ten nowy postdemokratyczny ustrój, nazywany już w literaturze naukowej jurystokracją. Coraz więcej decyzji w społeczeństwach jest wynikiem sporów o prawa rozstrzyganych przez sądy. To oznacza wyłączenie coraz liczniejszych dziedzin życia z decyzji czysto politycznych i włączenie ich do sfery praw określanych przez sędziów. Jednocześnie sędziowie stają się mniej lojalni wobec porządków konstytucyjnych (...) Elity sądowe tworzą rodzaj nowej klasy rządzącej (...) Elity te uznają formalnie wyniki wyborów, a następnie odmawiają dyskusji o problemach, blokując je procedurami czy orzeczeniami sądów. W ten sposób demokracja zanika, a równowaga harmonizująca interesy elit i społeczeństwa się rozsypuje" (2019).

Trzeba tu, rzecz prosta, dodać koniecznie, że owa *„jurystokracja"* byłaby dużo mniej dolegliwa dla państwa i społeczeństwa (a często wręcz przydatna), gdyby była neutralna politycznie, ergo: bezpartyjna. Tak wszelako u nas nie jest — środowisko sędziowskie z natury rzeczy (postesbeckość) uległo salonowemu deprawowaniu, stając się formacją bojową *„opozycji totalnej"*, speckomandem tejże, mającym mocne *„plecy"* typu kominternowskiego na brukselskich estradach. Dlatego niektóre prawicowe media (vide **„Najwyższy Czas!"**) sięgają po terminologię ekstremalną: *„W sędziowskiej sitewnej Targowicy czynni są nie tylko młodzi fanatycy «brukselskich standardów» prawnych, ale i stare sędziowskie komuchy, agenciaki obrosłe w sądowe funkcje"* (2019).

WYMIAR NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Zaniechanie trzy dekady temu weryfikacji/lustracji sędziów, owocujące dzisiaj anarchiczną prosalonową *„sędziokracją"*, to nie tylko kwestia ogólnoustrojowa (usędziowienie systemu), lecz i codzienne kwestie werdyktowe (wyroki trybunałów), często dolegliwe dla osób niewinnych lub lekceważące sprawiedliwość w sposób bulwersujący/złoszczący opinię publiczną (dlatego mnożą się stowarzyszenia osób poszkodowanych przez sądy i walczących o sprawiedliwość). Marian Miszalski: *„Wiele wskazuje na to, że batalia o reformę sądownictwa przybiera dzisiaj postać ofensywy niezlustrowanych agentów, agenturalnych kadr sądowych, m.in. celem terroryzowania i kneblowania opinii publicznej. Nie przypadkiem podobne działania podejmowane są w też niezlustrowanym i agenturalnym środowisku wyższych uczelni (...) Dwie dekady temu na jednym z procesów spytałem czy świeżo zaprzysiężony świadek był tajnym współpracownikiem PRL–owskich służb. Zdecydowanie zaprzeczył. Wtedy poinformowałem «niezawisły sąd», że widziałem akta IPN, w tym podpisane imieniem i nazwiskiem zobowiązanie świadka do współpracy z SB, jego raporty i pokwitowania pobrania pieniędzy. «Niezawisły sąd» puścił to mimo uszu. Od tamtego procesu minęło 20 lat. Przewodniczącą «składu orzekającego» była młoda kobieta. Co z niej wyrosło przez te 20 lat? Aż strach pomyśleć. Dzisiaj, jutro, pojutrze — może «sądzić» każdego z nas"* (2019).

Odpowiedź jest prosta: z tej sędziny (a nie *„sędzi"*, jak paplają gnojący polszczyznę) wyrosła twarda, rutynowana już harcowniczka antyPiSowskiej *„kasty sędziów"*. I być może *„toga"* ferująca wyroki, które *„rozwierają nóż w kieszeni"* Bogobojnym obywatelom, jak choćby

eprasa.pl 5a2134d4e1

wyrok z roku 2013 uniewinniający Beatę Sawicką, posłankę przyłapaną podczas brania dużej łapówki. O takich sędziach pisze Dominik Zdort: *„Agresywni, upolitycznieni, a więc potencjalnie najbardziej stronniczy. Jeśli teraz byli gotowi złamać zasady sędziowskiej apolityczności, to i na sali sądowej okiem nie mrugną, gdy będą uniewinniać antyrządowego celebrytę, który jadąc samochodem bez ważnych dokumentów, potrącił na pasach staruszkę, a równocześnie będą skłonni skazać na wysoki wyrok dziennikarza z konserwatywnego tygodnika"* (2020). Istotnie — nic lepiej nie symbolizuje zgangrenowania polskiego sądownictwa, czyli znikczemnienia polskich sądowych trybunałów, jak kilkakrotne w ostatnich paru latach uniewinnienie salonowych celebrytów, którym uliczne *„zebry"* (przejścia dla pieszych) niespodziewanie i arogancko wtargnęły (razem ze staruszkami) na jezdnię, pod samochód wyzbyty technicznych badań i prowadzony bez prawa jazdy (zarekwirowanego) oraz innych koniecznych papierów. Spośród wszystkich tych przypadków (Cimoszewicz *„e tutti quanti"*) najgłośniejszym echem odbił się casus znanego *„antypisiora"* Piotra Najsztuba, będącego medialną gwiazdą Salonu:

5 października 2017 roku Najsztub potrącił w Konstancinie–Jeziornie samochodem przechodzącą przez pasy 77–letnią kobietę, która z obrażeniami trafiła do szpitala. Jechał bez prawa jazdy (zostało mu odebrane roku 2009, za przekroczenie limitu punktów karnych), wozem niemającym badań technicznych i obowiązkowego ubezpieczenia. Groziły mu 3 lata odsiadki (wedle art. 177 Kodeksu Karnego), lecz groziły mu jeno teoretycznie, zważywszy przychylność sędziów. Sąd Rejonowy w Piasecznie uznał co prawda Najsztuba (trybem zaocznym, podsądny nie musiał się nawet fatygować do sądu) za winnego, ale wlepił mu tylko 6 tys. zł grzywny, 10 tys. zł nawiązki dla poszkodowanej, plus 5942 zł kosztów postępowania. Co wywołało ogólnospołeczną wściekłość, pomstowało również Ministerstwo Sprawiedliwości. Piaseczyński sąd drugiej instancji pokazał opinii publicznej jeszcze bardziej zgięty łokieć, werdyktem szokującym do kwadratu: uniewinnił Najsztuba, ergo zawyrokował, że salonowy celebryta nie jest ani trochę winny zdarzeniu na konstancińskiej *„zebrze"*. Trudno się tedy zdumiewać, że Najsztub bierze teraz udział w ulicznych demonstracjach *„tóg"* przeciwko faszystowskiemu rządowi — ma ku temu już dwa impulsy: nie tylko swą salonowość, lecz i wdzięczność.

Priwiślińskie sądy pieszczą salonowych (opozycyjnych) celebrytów nie tylko wyrokami uniewinniającymi, lecz i nagradzającymi, przyznając im premie–bonusy–dofinansowania *„brane z sufitu"*, czyli z sympatii dla *„swoich"* (wrogów partii *„Kaczora"*). Takich jak choćby Dorota Wellman, o której pisarz Jacek Piekara palnął w *„Sieci"* następująco: *„Do aborcji potrzebne jest zapłodnienie. Do zapłodnienia potrzebny jest seks. Dobrze jest wiedzieć, że Dorocie Wellman aborcja nie grozi"*. Za ten żarcik (mniej lub bardziej smaczny — *„de gustibus non est disputandum"*), będący co najwyżej zwykłą publicystyczną złośliwostką o pamfletowym charakterze, sąd skazał pana Piekarę na 5 (słownie: pięć) milionów złotych grzywny (zaocznie, nawet go nie wezwano przed trybunał!) i komornik zapukał do drzwi pisarza. Horrendum!

eprasa.pl 5a2134d4e1

ETYKA ZAWODOWA? WOLNE ŻARTY!

Salonowe polskie sądy, makabrycznie wysoko karające za niegroźne żarciki — umieją też ostro przysolić za chwalebną działalność społeczną, jeżeli tylko wymierzona jest w proceder salonowy, choćby najbardziej karygodny. Exemplum kryminalne *„reprywatyzacje"*, które całymi latami uprawiał warszawski ratusz rządzony przez PO. Zwalczający tę koszmarną grandę aktywista stołeczny Jan Śpiewak dostał za to — za *„pomówienie"* — 15 tys. zł kary jesienią ubiegłego roku. Prawie równocześnie niejaki Łukasz W. dostał od Sądu Okręgowego w Siedlcach (woj. Mazowieckie) również piętnastkę — 15 lat więzienia, bo zatłukł na śmierć przechodnia, by odebrać mu kartę bankomatową. 15 lat, czyli po paru latach wyjdzie na wolność (*„dobre sprawowanie"* itp.) — tyle w Polsce kosztuje bestialskie zakatowanie niewinnego 36–letniego człowieka, który miał całe życie przed sobą. Taniocha. Często się też zdarza supertaniocha — kilkanaście dni później inny trybunał wlepił 4 i 5 lat więzienia dwóm osiłkom, którzy trzonkiem od siekiery posłali do grobu 38–letniego

mężczyznę (katowali go na oczach jego żony i dziecka), bo niechcący ochlapał ich błotem spod kół. W lutym sąd apelacyjny zmniejszył o całe 10 lat karę zbirowi, który zgwałcił i zakatował na śmierć 3–letniego chłopca.

Co powoduje sędziami, którzy ferują wyroki tak skandaliczne, tak bardzo urągające sprawiedliwości? Miłosierdzie Boże? Nie — raczej IQ. Znany publicysta Piotr Zaremba w artykule pt. **„Destrukcyjna rewolta sędziów..."** pisał m.in. o *„koncertowej głupocie samych sędziów, produkcie ich uprzedzeń i nieformalnych więzi"*, nadmieniając: *„racje przeciwników sędziowskiej hegemonii brzmią dla mnie przekonująco"*, i uzasadniając tę opinię faktem, że *„to, co robią dziś w Polsce zbuntowani sędziowie, jest podważeniem wielu niewzruszonych norm"* (2019). Miesiąc później (był to miesiąc ciężkich bojów między PiS a *„kastą"*) Zaremba wyraził to samo zdanie: *„Wielu sędziów to ludzie niemądrzy albo uwikłani. Spotykamy się z przypadkami ich politycznej stronniczości"* (2020). O głupocie swego środowiska wzmiankują też sami juryści. Prawniczka Beata Siemieniako, działaczka m.in. Komitetu Obrony Praw Lokatorskich, wysunęła i mocno udokumentowała tezę o tym, że głupota polskich sędziów to systemowy czynnik III RP.

eprasa.pl 5a2134d4e1

System jest więc chory, nie tylko przez rytualny „nepotyzm" *„kasty sędziowskiej"*, zwany *„rozbuchaną korporacyjnością"*, lecz zwłaszcza tam, gdzie środowisko sędziowskie wtyka swoje postesbeckie paluchy. Wskazać można mnóstwo nikczemnych przypadków, ale wobec konieczności streszczania się starczą dwa bardzo znamienne, mające cechy syndromów: casus Kluski i casus Piotrowskiego. Jeden z najwybitniejszych biznesmenów III RP, katolicki przedsiębiorca Roman Kluska (szef firmy „Optimus"), został zniszczony sądownie pod całkowicie fałszywymi zarzutami właśnie dlatego, że był uczciwy i w żaden sposób nie chciał kolaborować z *„Lożą minus pięć"*. Po latach pewien oficer UOP–u konfidencjonalnie mu wyznał:

— Panie prezesie, myśmy metodami operacyjnymi obserwowali jak niszczono pana i pańską firmę.

Postesbeckie *„metody operacyjne"* typowe dla *„sędziokracji"* Lechistanu zapewniły *„dolce vita"* jednemu z najstraszliwszych potworów pracujących na rzecz satrapii komuszej — mordercy błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki, kapitanowi SB Grzegorzowi Piotrowskiemu. Wyrok odbywał (ze schyłkiem PRL–u i podczas III RP) w komfortowych warunkach, częściej na przepustkach niż za kratą, a czas odsiadki zaliczono mu jako staż niezbędny do wyliczenia emerytalnych świadczeń. Tak on, jak i jego pomagierzy (współmordercy), zachowali pełne przywileje emerytalne, bo — uwaga! — *„ustawa dezubekizacyjna"* nie objęła ich. Opłacało się mordować *„klechów"*.

Tym bardziej łaskawe jest środowisko sędziowskie dla siebie samego. Priwiślińscy sędziowie, podobnie jak przedstawiciele wszystkich innych branż, popełniają przestępstwa. Ale w przeciwieństwie do innych kryminalistów są chronieni immunitetem oraz sitwowością *„kasty sędziowskiej"* (która, chroniąc swych kolegów, nie uwzględnia wniosków prokuratorskich o zniesienie przestępcy w todze immunitetu), dlatego cieszą się bezkarnością. Łukasz Warzecha: *„Kolegium sądu, w którym sędzia Juszczyszyn orzeka, w 2015 r. stwierdziło, że sprawa przekroczenia przezeń prędkości o 51 km/h na obszarze zabudowanym nie będzie mieć dalszego ciągu — choć zwykły obywatel utraciłby za to prawo jazdy na trzy miesiące"* (2020). Jako symbol tego sitwowego procederu wskazywany jest przypadek warszawskiego sędziego Wojciecha Łączewskiego, któremu biegli udowodnili, że kłamie gdy przysięga, iż wykorzystując jego komputer jakiś włamywacz (haker) próbował kontaktować się z szefem **„Newsweeka"** Tomaszem Lisem dla prowadzenia antyrządowej (antyPiSowskiej) kampanii. Dowody prokuratorskie były ewidentne — obciążały Łączewskiego — ale sędziowie nie dali kolegi tknąć. Ta stadna solidarność cuchnie.

Brak zawodowej etyki wytknięto nawet *„Pasionarii"* środowiska sędziowskiego, Małgorzacie Gersdorf, I prezes Sądu Najwyższego. 25 kwietnia 2012 roku ferowała ona wyrok w sprawie Polskiego Towarzystwa Emerytalnego (PTE) „Skarbiec", a nie powinna była w tej sprawie orzekać, ponieważ wcześniej była członkiem Rady Nadzorczej PTE „Skarbiec". Lech Szymowski & Katarzyna Budzyńska: *„Wydała wyrok zatajając przed stronami swój związek z jedną z nich. W kraju o wysokim stopniu praworządności po ujawnieniu takiego faktu sędzia Gersdorf zostałaby wyrzucona z zawodu i pozbawiona immunitetu"* (2017). Do tego samego kręgu żenujących nieprawidłowości należy też toczący się obecnie proces między polskim ubezpieczeniowym gigantem a małą firmą ubezpieczeniową, gdzie sędzina prowadząca rozprawę i adwokat reprezentujący giganta są… małżeństwem (sic!), chociaż noszą różne nazwiska, więc rzecz jest utajona.

* * * * *

Komentując 22 grudnia 2019 roku ustawę mającą dyscyplinować *„nadzwyczajną kastę"* prezydent Andrzej Duda publicznie mówił (przed kamerami TVP) o *„nieodpowiedzialności środowiska sędziowskiego"* i o skandalicznych zachowaniach/wypowiedziach takich sędziów jak Małgorzata Gersdorf, tłumacząc: *„ — Ludzie nie mają zaufania do wymiaru sprawiedliwości, gdy widzą bezkarność sędziów"*. Opozycja bezzwłocznie nazwała ustawę *„kagańcową"* i opluła hejtem. Dla przykładu cytuję wynurzenia salonowej divy medialnej, Elizy Michalik: *„Ustawa kagańcowa skończy się tym, że Polska będzie krajem totalitarnym i w sferze wpływów Rosji. Ona nie tylko pozbawi obywateli prawa do bezstronnych, uczciwych i sprawiedliwych procesów, ale także otworzy szeroko drzwi do podobnych prześladowań innych grup niewygodnych dla władzy"*. Wygląda na to, że z tej czarnej otchłani pisowskiego zamordyzmu może nas wydobyć jedynie zbrojna rewolta polskich *„niezawisłych"* (od sprawiedliwości i elementarnej przyzwoitości) sądów. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

Piotr Zychowicz

Studnicki

Władysław Studnicki oskarżany jest o krwiożerczy, nazistowski antysemityzm. Zarzuty te są nieprawdziwe i krzywdzące

Przez wiele lat postać Władysława Studnickiego była marginalizowana i spychana w otchłań zapomnienia. Jego olbrzymie zasługi dla sprawy polskiej były pomniejszane, a koncepcje polityczne przemilczane lub wyśmiewane. Taka była cena za nonkonformizm i konsekwentne podążanie pod prąd opinii większości.

Na szczęście ta sytuacja się zmienia. Studnicki w ostatnich latach wywołuje coraz większe zainteresowanie, szczególnie wśród młodego pokolenia polskich konserwatystów. Imponuje nam swoim bezinteresownym, żarliwym patriotyzmem, trafnością politycznych prognoz i odwagą. Tym, że jako jedyny ostrzegał, iż karkołomna polityka Józefa Becka zakończy się potworną klęską.

Renesans zainteresowania Studnickim wywołuje frustrację apologetów Becka czy szerzej – brązowników naszej historii. To, co Studnicki pisał w przededniu wojny, jest bowiem dowodem na to, że wszystkie nieszczęścia, które na nas spadły, dało się przewidzieć. Już wiosną 1939 r. przewidział klęskę wojska polskiego w starciu z Wehrmachtem, sowiecki cios w plecy, a nawet zdradę Wielkiej Brytanii i sprzedanie Polski Stalinowi przez aliantów.

Aby zdyskredytować Studnickiego, brązownicy historii postanowili więc znaleźć na niego „haki". I znaleźli. Chodzi o jego poglądy w sprawach żydowskich. Doszło do tego, że profetyczna książka Studnickiego „Wobec nadchodzącej drugiej wojny światowej" została wyrzucona z konkursu Książka Historyczna Roku pod pretekstem, że jej autor był „antysemitą" i „zwolennikiem nazistów".

Kampania nienawiści prowadzona przeciwko zmarłemu przed blisko 70 laty nestorowi polskiej geopolityki jest kuriozalna. Stosunek do Żydów nie może być bowiem jedynym kryterium oceniania postaci historycznej. Gdybyśmy przyjęli tę metodę, musielibyśmy wyrzucić na śmietnik sporą część panteonu naszych bohaterów narodowych. Z Romanem Dmowskim na czele.

Władysław Studnicki był jednym z ojców polskiej niepodległości. Antyrosyjskim spiskowcem więzionym przez carat na Cytadeli i zesłanym na Sybir. Niezłomnym działaczem niepodległościowym, autorem przełomowej książki „Sprawa polska", która pchnęła Polaków do czynu zbrojnego. A wreszcie człowiekiem, który odegrał olbrzymią rolę w skłonieniu Niemców do proklamacji Aktu 5 listopada 1916 r. – epokowego dokumentu, który był krokiem milowym na drodze do restauracji Rzeczypospolitej.

W trakcie drugiej wojny Studnicki jak lew walczył o zmianę ludobójczej niemieckiej polityki okupacyjnej. Nawoływał Niemców do opamiętania i ugody z Polakami. Interweniował w sprawie aresztowanych polskich patriotów. Słał do Berlina memoriały, w których potępiał straszliwe zbrodnie przeciwko Polakom i piętnował wybryki SS oraz gestapo. W efekcie został aresztowany. Siedział w gestapowskim więzieniu w Berlinie, gdzie podczas przesłuchania dostał zawału serca.

Potem Niemcy wtrącili Studnickiego na Pawiak, gdzie pobił go strażnik sadysta. W 1943 r. Studnicki – jako jeden z nielicznych polskich polityków – podjął działania zmierzające do ratowania wyrzynanej ludności cywilnej Wołynia. A po wojnie

eprasa.pl 5a2134d4e1

Żydzi przy ul. Nalewki w Warszawie przed drugą wojną światową FOT. NAC

i Żydzi

trafił na emigrację, gdzie do końca życia kontynuował bezkompromisową walkę z bolszewizmem.

Czy wszystkie te zasługi mają zostać przekreślone tylko dlatego, że część opinii, które Studnicki wygłaszał na temat Żydów, nie przystaje do wymogów współczesnej politycznej poprawności? Jest to oczywiście pytanie retoryczne.

W II RP

Studnicki bez wątpienia nie był filosemitą. Nie był jednak również – jak twierdzą jego wrogowie – krwiożerczym, rasistowskim antysemitą, który sekundował Hitlerowi w Holokauście. Podobne oskarżenia są nieprawdziwe.

Poglądy Studnickiego na tzw. sprawę żydowską ewoluowały. W epoce walki o niepodległość Studnicki był nastawiony do Żydów życzliwie. Uważał, że należy ich pozyskiwać do zmagań o Polskę. Gdy endecja wystąpiła z hasłami antyniemieckimi i antyżydowskimi, Studnicki zdecydowanie je odrzucił. Uważał bowiem, że odciągają one Polaków od walki z rzeczywistym wrogiem narodu – Moskalami.

„Gdy przed nami leżało, jako konkretne zadanie, osiągnięcie pewnych zdobyczy narodowych – wspominał – gdy o te zdobycze mieliśmy prowadzić walkę z Rosją, przeniesienie uwagi naszego społeczeństwa na akcję antysemicką było zabagnieniem sprawy narodowej. Antysemityzm Narodowej Demokracji przedwojenny i wojenny zmobilizował żydostwo międzynarodowe przeciwko nam, tak w okresie wojny, jak i w okresie kształtowania się naszych granic. Polska zapłaciła za niego ważnymi prowincjami na wschodzie”.

Gdy endecja prowadziła agitację antyżydowską, Studnicki – jak sam podkreślał – trzymał się od niej z daleka i starał się „zjednywać Żydów”. Doszło nawet do tego, że podczas jednego z wieców został wzięty za… Żyda syjonistę. Studnicki był zresztą uczniem Szymona Askenazego, zasymilowanego Żyda, którego podziwiał i cenił do końca życia.

eprasa.pl 5a2134d4e1

Stosunek Studnickiego do Żydów zmienił się w dwudziestoleciu międzywojennym. Wpływ na to miały dwa czynniki. Po pierwsze – niechętna Polsce postawa części Żydów podczas wojny z bolszewikami i popularność idei komunistycznej w tej społeczności. „Bolszewizm – pisał – to produkt żydowskiego socjalizmu i półazjatyckiego ducha Rosji”.

Drugim czynnikiem były stosunki społeczno-gospodarcze, które wytworzyły się w II RP. Chodziło o dominację Żydów w handlu i nadreprezentację w wolnych zawodach. Zjawiska te, zdaniem Studnickiego, prowadziły do silnych napięć między Polakami a Żydami. A napięcia te poważnie szkodziły państwu polskiemu. Szkodziły zarówno Polakom, jak i Żydom.

Jak należało rozwiązać ten spór? W latach 30. Władysław Studnicki uznał, że można to zrobić tylko przez masową emigrację Żydów z Polski. Tak, obecnie brzmi to okropnie. Należy jednak podkreślić, że w tamtej epoce nie było to żadne ekstremum. Była to oficjalna koncepcja rządu, forsowana przez MSZ kierowane przez Józefa Becka.

Swoje poglądy Studnicki wyraził w serii tekstów opublikowanych na łamach wileńskiego „Słowa” oraz w książce „Sprawa polsko-żydowska” (1936).

Niestety, nie ma co ukrywać, że używane wówczas przez Studnickiego słownictwo współczesnego czytelnika musi szokować. Studnicki twierdził m.in., że naród polski może dostać się pod ekonomiczne „panowanie żydowskie” i pisał o konieczności „odżydzenia” Polski. Słowa te bez wątpienia chluby mu nie przynoszą.

Jednocześnie Studnicki dowodził jednak, że owo „odżydzenie” musi zostać zrealizowane w sposób cywilizowany i humanitarny. W ścisłej współpracy z samymi Żydami. A konkretnie z syjonistami, którzy – podobnie jak Studnicki – uważali, że remedium na wszystkie problemy, z którymi borykają się Żydzi w Europie, jest budowa własnego państwa w Palestynie.

Jak wiadomo, Brytyjczycy, którzy sprawowali kontrolę nad Palestyną, bali się narazić Arabom i drastycznie ograniczyli emigrację Żydów na to terytorium. Studnicki postulował więc, aby Polska na forum Ligi Narodów wystąpiła o przekazanie jej palestyńskiego mandatu. Gdyby tak się stało, Polacy mogliby zająć Palestynę i szeroko otworzyć drzwi przed żydowskimi uchodźcami.

Zgodnie z projektem Studnickiego specjalnie powołane do tego rządowe instytucje uczyłyby emigrantów języka hebrajskiego i szykowały ich do życia w nowym kraju. Studnicki postulował ograniczenie liczby żydowskich studentów na wydziałach prawa i medycyny, za to kierowanie ich na wydziały rolnicze i na politechniki. W ten sposób Polska miałaby wykształcić fachowe kadry zdolne do budowy Izraela.

Studnicki zastrzegał, że państwo polskie musiałoby wypłacić pełne odszkodowanie wyjeżdżającym Żydom za pozostawione przez nich mienie. Tak aby żadnemu z emigrantów nie stała się krzywda. Nad ich bezpieczeństwem w arabskiej Palestynie miały zaś czuwać specjalne jednostki paramilitarne złożone z młodych polskich Żydów, którzy zostaliby przeszkoleni i uzbrojeni przez Wojsko Polskie.

Aby uniknąć katastrofy humanitarnej, emigracja – według Studnickiego – powinna być realizowana powoli. Gdyby spełniono wszystkie postulowane przez niego warunki, rocznie na Bliski Wschód mogłoby wyjeżdżać 100 tys. Żydów. Korzystaliby na tym nie tylko Polacy, lecz także pozostali w Polsce Żydzi. Zmniejszyłaby się bowiem konkurencja, a co za tym idzie – bezrobocie i nędza. Dwie plagi wschodniego sztetlu.

Studnicki stanowczo odrzucał radykalne metody rozwiązania kwestii żydowskiej lansowane przez młodzieńców z ONR

Studnicki jednocześnie stanowczo odrzucał radykalne, pałkarskie metody rozwiązania kwestii żydowskiej lansowane przez krewkich młodzieńców z Obozu Narodowo-Radykalnego (ONR). Ich działaniami się brzydził. „Napady na kolegów i koleżanki w szkołach akademickich – pisał – bicie ich za krew semicką pozostawia fatalny osad na psychologii młodzieży polskiej i żydowskiej. Pogromy żydowskie, o ile się rozrosną, utorują drogę do załatwiania spraw społecznych, konfliktów gospodarczych i walk politycznych przez przelewanie krwi współobywateli.

Pewien odłam młodzieży roi sobie o wydaleniu niezwłocznym wszystkich Żydów z Polski i o konfiskacie ich mienia. Idea, świadcząca o niezrozumieniu, że to wtrąciłoby Polskę w anarchię i nędzę. Nie przez mechaniczny gwałt, lecz przez pracę organiczną oraz odpowiednią politykę emigracyjną, możemy wyprowadzić stopniowo Żydów z Polski. Syjonizm palestyński i terytorializm żydowski są dla nas pożądane i do realizacji ich musimy się przyczynić”.

Według Studnickiego stosowanie metod pogromowych prowadziłoby do „zdziczenia ludności, do wykoślawienia uczuć moralnych przez morderstwo”. Dlatego też Studnicki stanowczo sprzeciwiał się importowaniu do Polski bezwzględnych rozwiązań antyżydowskich stosowanych przez władze III Rzeszy.

Jak wiadomo, Studnicki – jako czołowy polski germanofil – opowiadał się za sojuszem z Niemcami. Wypływało to jednak z czynników geopolitycznych, a nie z sympatii dla narodowego socjalizmu i hitlerowskiego, biologicznego antysemityzmu.

„Gdybym był Niemcem – pisał na łamach »Słowa« – prawdopodobnie pozostawałbym w opozycji względem polityki wewnętrznej Hitlera ze względu na rządy jednopartyjne, na centralizację, zaprowadzoną przez niego w Niemczech i wreszcie w stosunku do kwestii żydowskiej miałbym poważne zastrzeżenia”.

Jak widać, poglądy Studnickiego były więc wówczas niejednoznaczne. Z jednej strony drastyczny język i niedające się usprawiedliwić postulaty ograniczania liczby żydowskich studentów na niektórych kierunkach, ale z drugiej – stanowczy sprzeciw wobec bicia, grabienia i szargania godności Żydów. Opowiadanie się za ścisłym współdziałaniem z syjonistami.

„Jeżeli antysemityzm jest to nienawiść, pogarda i wstręt do Żydów – pisał Studnicki – to antysemitą nie byłem i nie jestem. Uznaję bowiem, że plemię żydowskie należy do najbardziej utalentowanych na kuli ziemskiej. Naród ten przeszedł losy wyjątkowo ciężkie, przeżył nie tylko polityczne ujarzmienie swego kraju, lecz wygnanie, rozproszenie po świecie, bezprawie i poniewierkę w ciągu tysiącleci”.

Jak więc widać, sam Studnicki za antysemitę się nie uważał. Choć zapewne wielu Żydów uznałoby tę deklarację za co najmniej dyskusyjną.

POD OKUPACJĄ

O nastawieniu Studnickiego do Żydów dużo mówi jego reakcja na potworne represje, które spadły na tę społeczność pod okupacją niemiecką. Agresywny stosunek władz niemieckich do Żydów

eprasa.pl 5a2134d4e1

Władysław Studnicki FOT. NAC

uważał on po prostu za „oburzający". Tragiczny los tej społeczności wywoływał w nim zgrozę i współczucie.

Już w pierwszych dniach wojny Studnicki był świadkiem gorszących scen – dokonywanych przez niemieckich żołnierzy pogromów. W Krakowie widział, jak Niemcy rekwirują tamtejsze sklepy żydowskie, a samym Żydom nakazują zasypywanie rowów przeciwczołgowych. Wszystko to było dla niego szokiem. „Przykro było patrzeć, jak ze sfery inteligenckiej Żydówki elegancko ubrane, w bucikach obracały ciężką łopatą grudy ziemi – wspominał. – Czuło się, że to zrobiono nie dla pracy, ale dla poniewierki. Żydom kazano nosić opaski i częstokroć obchodzono się z nimi brutalnie".

W swoich ówczesnych notatkach Studnicki pisał z oburzeniem o nasilających się prześladowaniach. Ze zdumieniem dowiadywał się również o radykalnych wystąpieniach niemieckich dygnitarzy, którzy otwarcie zapowiadali generalną rozprawę z Żydami. „Jakież to środki mają wieść do tego »ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej«? – pytał. – Środki te znały już średnie wieki i do niczego one nie doprowadziły. Opaska – poniżenie godności ludzkiej, wzbudza współczucie wśród ludności polskiej. Antysemityzm rozwija się w okupacji rosyjskiej, gdzie Żydzi są w znacznej części w obozie sowieckim. Upada w zaborze niemieckim, pod wpływem kaleczonych uczuć ludzkich".

Studnicki wziął Żydów w obronę w słynnym memoriale, który na początku 1940 r. przedstawił w Berlinie władzom niemieckim. Potępił w nim represje i szykany, które spadały zarówno na polskich, jak i żydowskich mieszkańców Generalnego Gubernatorstwa.

Na własne oczy mógł obserwować niemieckie zdziczenie wobec Żydów, kiedy w 1941 r. został wtrącony do więzienia na Pawiaku. „Przeprowadzano raz na tydzień, w niedzielę, godzinę dręczenia Żydów na dziedzińcu więziennym – wspominał. – Była to gimnastyka karna, odbywająca się na kupach węgla kamiennego znajdującego się na dziedzińcu. Były różne, przez okrucieństwo spłodzone pomysły, jak np. sadzanie dwóch Żydów naprzeciwko siebie i wzajemnie okładanie się przez nich kułakami. Nie mogłem patrzeć na te sceny. Litość i złość rozsadzały mnie. Raptem, drzwi się otwierają do mojej celi, która miała normalne okno, wskakuje dozorca Ukrainiec i mówi: »Patrzajcie, jak się biją«. Podchodzi do okna, podskakuje, wymachuje rękami, wpada w zachwyt i szał. Gdybym miał siłę, zadusiłbym to wstrętne zwierzę".

Studnicki w trakcie wojny stał się ostrym krytykiem narodowego socjalizmu. Uważał, że ideologia ta ponosi winę za moralny i cywilizacyjny upadek Niemiec. A za jedną z najbardziej paskudnych cech narodowego socjalizmu Studnicki uważał właśnie jego rasowy, bezwzględny antysemityzm. „Żydzi stali się głównym obiektem, na którym ćwiczono się w radykalizmie, w przywłaszczaniu cudzego mienia, co wywołuje głęboką ujmę narodowego charakteru Niemiec – pisał. – Krańcowy antysemityzm narodowych socjalistów musiał w konsekwencji wieść do antychrześcijaństwa, bowiem chrześcijanin jest genetycznie związany z podaniami Żydów, ze Starym Testamentem. Etyczny pierwiastek chrześcijaństwa, produkt wiekowej cywilizacji, został zanegowany. Współczucie ludzkie i prawa człowieka uznano za śmieszny przesąd".

Również ludzie, którzy dobrze znali Studnickiego, po latach podkreślali, że rasowa nienawiść do Żydów była mu całkowicie obca. A masową eksterminację Żydów, której dopuścili się Niemcy, potępiał jako akt niewyobrażalnego wręcz barbarzyństwa. „Studnicki nie był nacjonalistą w takim sensie, jaki to słowo nabrało za czasów Hitlera – pisał prof. Stanisław Swianiewicz, słynny »ocalały z Katynia«. – W rozmowach, które z nim prowadziłem, nie był antysemitą i wysoko cenił wkład do polskiej kultury pisarzy i uczonych pochodzenia żydowskiego. Był wolny od jakichkolwiek rasistowskich przesądów. Polityków, którzy brali na poważnie różne teorie i hasła antysemickie, uważał po prostu za durniów".

Podobnego zdania jest człowiek, który Studnickiego znał najlepiej – jego jedyny syn Konrad. „Ojciec podkreślał fakt, że polska kultura narodowa i naród polski wzbogacił się przez absorpcję obcych czynników – pisał Konrad Studnicki. – Spolonizowani Niemcy, Rusini, Żydzi i inni weszli do naszej historii i współtworzyli nowoczesny naród polski. Pogląd ten tłumaczy stosunek ojca do Żydów i do sprawy polsko-żydowskiej. Zagorzałym antysemitom ojciec wymieniał nazwiska Askenazego, Kramsztyka, Tuwima (którego zresztą nie lubił). Za najwybitniejszego ekonomistę polskiego uważał Henryka Tennenbauma, z którym się do końca życia przyjaźnił.

Pamiętam, jak mi ojciec zrobił awanturę za wyrażenie się o znajomym Żydzie jako o »Żydłaku«. – Tych słów i pojęć u nas w domu nie ma i nie będzie. Zresztą twój kolega jest takim samym dobrym Polakiem jak ty – powiedział mi na zakończenie.

Hitlerowską eksterminację Żydów ojciec przeżył jako tragedię. Tragedię, wobec której czuł się bezsilnym".

Jak widać, niesprawiedliwe oskarżenia wysuwane obecnie przeciw Władysławowi Studnickiemu muszą albo opierać się na braku wiedzy historycznej, albo wypływać ze złej woli. A najprawdopodobniej w grę wchodzą oba te motywy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Nauka z Węgier

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5a2134d4e1

Maciej Szymanowski

„Kulturkampf Orbána", „Faszyści w szkolnych programach" – takie tytuły towarzyszą planowanym zmianom podstawy programowej i kanonu lektur w węgierskich szkołach. Co jest prawdą?

Z zatwierdzonego dziś programu nauczania dla szkół wypadł Imre Kertész, laureat literackiego Nobla" – czytamy już na wstępie artykułu „Kulturkampf na Węgrzech" autorstwa Michała Kokota z „Gazety Wyborczej", redaktora uważającego się za specjalistę od spraw Węgier. Informacja prawdziwa o tyle, że Kertész faktycznie jest laureatem Nagrody Nobla. Nie jest natomiast prawdą, że został usunięty z jakiegokolwiek programu nauczania na Węgrzech. Chociaż nie jest pewne, czy akurat ta informacja ucieszy redaktora „GW", biorąc pod uwagę chociażby takie słowa Kertésza jak: „Europa idzie na dno. Z powodu liberalizmu. Liberalizmu, który okazał się dziecinny i samobójczy w swojej istocie. To Europa stworzyła Hitlera, a po nim został jedynie kontynent. Z szeroko otwartymi drzwiami dla islamu. Tu nikt nie powie nic o rasie czy religii. Podczas gdy islam to nienawiść: wobec ras i innych religii".

Tym samym kolejne zdanie redaktora Kokota: „Zamiast Kertésza w kanonie lektur pojawili się konserwatywni pisarze dwudziestolecia międzywojennego, tacy jak Ferenc Herczeg", powinno raczej brzmieć: „Kertész pozostał w programie, niestety. Podobnie jak Herczeg – węgierski Sienkiewicz".

Dalej redaktor Kokot ubolewa nad tym, że do kanonu lektur nie trafiła seria o Harrym Potterze. Dlaczego akurat na Węgrzech miano by odejść od powszechnie stosowanej w krajach cywilizowanych zasady, że w stosunku do polityków czy twórców, których dzieła nie miały jeszcze szansy weryfikacji przez kolejną generację obowiązuje naturalny dystans – autor nie wyjaśnia.

„Jednak w kanonie lektur znaleźli się również pisarze skazani za zbrodnie wojenne, m.in. József Nyirő oraz Albert Vass" – pisze następnie redaktor Kokot, powołując się na wyroki rumuńskich sądów zapadłych zaocznie w 1946 r. Stwierdzenie jednoznaczne i mocne. Zwłaszcza w kontekście obiektywności wyroków zapadających w tym samym czasie w opanowanej przez Sowietów naszej części Europy, w tym w Polsce. Oskarżenie o antysemityzm, według wielu źródeł żydowskiego pochodzenia pisarza Vassa, odznaczonego w 1993 r. wysokiej rangi orderem państwowym przez żydowskiego pochodzenia prezydenta Àrpáda Göncza, pozostaje informacją ciekawą samą w sobie.

Tytułem uzupełnienia – inni autorzy opublikowanych w ubiegłym tygodniu artykułów na temat węgierskiego kanonu lektur zwrócili dodatkowo jeszcze uwagę na niestosowność uwzględniania w programie autorów mieszkających poza granicami Węgier. Gdyby potraktować takie podejście poważnie, z kanonu polskich

REKLAMA

eprasa.pl 5a2134d4e1

lektur musieliby zniknąć nie tylko Miłosz czy Mackiewicz, lecz także Mickiewicz.

WĘGIERSKA PODSTAWA I LEKTURY

Należy przypomnieć, że program nauczania literatury na Węgrzech pozostaje w gestii kilku instytucjonalnych podmiotów. Ważne jest oczywiście Ministerstwo Edukacji, które mniej więcej w trybie co 5–10 lat określa główne cele i wymagania. Następnie we współpracy z ekspertami od Toronto do Władywostoku – podobnie jak Polacy, także Węgrzy nie mieszkają tylko na Węgrzech – zostaje określona podstawa programowa. Do niej swoje propozycje, mniej lub bardziej liczne, wprowadzają samorządy. I last but not least – wypowiadają się nauczyciele. Ci ostatni, w ramach ostatnio uchwalonej i obowiązującej od września reformy mają prawo do zmian i określenia już nie 10 proc., jak wcześniej, ale 20 proc. treści kanonu lektur.

Po 1989 r. podstawa programowa w szkołach na Węgrzech, nie tylko w zakresie kanonu lektur, była zmieniana czterokrotnie. Głównym mankamentem wszystkich zmian – podobnie jak w Polsce – jest kładziony nacisk na wiedzę, a nie umiejętności. Z powodu objętości zakresu materiału wciąż pozostaje za mało czasum by wszystkie elementy z uczniami „przerobić".

Z kolei głównym plusem wchodzącej w życie od września reformy wydaje się anglosaskie podejście do nauk ścisłych, scalające w nauczaniu fizykę, chemię i biologię. Z kolei w przypadku literatury węgierscy pisarze przestają być dzieleni, jak to było zwyczajem w okresie komunizmu, ze względu na pochodzenie czy kraj zamieszkania. Odtąd język pióra albo narodowościowa autodeklaracja stają się wystarczającym czynnikiem, aby dany autor mógł trafić do węgierskiego kanonu lektur. O ile oczywiście na to zasłuży.

ILE WIEMY O BRATANKACH?

Zajmowanie się programem nauczania na Węgrzech ma sens o tyle, że ukazuje znacznie poważniejszy problem. Nie da się ukryć, że relacje prasowe towarzyszące tym zmianom boleśnie obnażyły katastrofalnie niski stan wiedzy Polaków na temat współczesnych Węgier i Węgrów, a pośrednio generalnie państw Europy Środkowej. Informacyjna Telewizja Wyszehradzka pozostała w sferze planów. Budżet PAP sięga jednej dziesiątej swoich agencyjnych odpowiedników w Niemczech czy we Francji. Gdyby wśród 12 wiceprzewodniczących Komisji Europejskiej nie znalazła się niejaka Věra Jourová, przeciętny Kowalski najprawdopodobniej nie miałby szansy się dowiedzieć, że „ano" nie oznacza jedynie „tak", ale jest nazwą partii, która rządzi w kraju, z którym Polska ma najdłuższą granicę i gdzie eksportuje więcej towarów niż do Federacji Rosyjskiej. Wyniki wyborów parlamentarnych na Słowacji, które odbyły się podczas ostatniego lutowego weekendu i w których zatriumfowała prawica, zostały u nas odnotowane w kategoriach zaskoczenia, choć okazały się zgodne z prognozami publikowanymi nawet przez słowacką prasę regionalną typu „Komárenské Noviny". Przed dobrym pół rokiem.

I słabą pociechą pozostaje, że zjawisko to działa też w drugą stronę. Zatajone, bo kłócące się z promocją „zielonej wyspy" przez rząd PO-PSL badania opinii publicznej przeprowadzone przez ministerstwo sportu przed Euro 2012 w państwach – uczestnikach mistrzostw, w końcu ukazały, że prawie połowa Niemców oraz dwie trzecie Francuzów czy mieszkańców Wysp Brytyjskich nie mają pojęcia, jak nazywa się stolica Polski. A mówimy o roku, kiedy polskie mainstreamowe media, w tym „Gazeta Wyborcza", szeroko rozpisywały się o wizerunkowym sukcesie odniesionym ponoć przez polskiego hydraulika i generalnie przedstawicieli zarobkowej emigracji znad Wisły. Ta ostatnia oczywiście wykonała gigantyczną pracę. Chociaż jeszcze większą Polacy w Polsce – twórcy rekordowego w skali współczesnego świata, bo trwającego od 28 lat, nieprzerwanego wzrostu gospodarczego, którego owoce w ostatnich latach trafiły także pod strzechy. Wzrostu, który – jak pokazuje chociażby analiza opublikowana w grudniowym numerze „Politico" – uruchomiła w zachodnim kierunku silny i stały transfer finansowy. Mniej więcej na poziomie 4 proc. własnego PKB, czyli w przypadku Polski, także Węgier, dwukrotnie przewyższający wysokość dotacji otrzymywanych z UE.

Czy tego chcemy, czy nie, jako Polska jesteśmy uczestnikiem wojny informacyjnej – jako największe państwo Europy Środkowej, która z kolei jest zwornikiem całej Europy. Czy w świecie, w którym informacja pełni taką funkcję jak ziemia w średniowieczu czy kapitał finansowy w XIX/XX w., możemy sobie pozwolić na taką sytuację? Sytuację, w której polskich mediów na wiele rzeczy po prostu nie stać i nie są one równoprawnym graczem nie tylko na arenie międzynarodowej, lecz także w samej Polsce.

SPOKÓJ NAUCZYCIELI

Wracając do Węgier – pocieszające wydaje się to, że węgierscy nauczyciele pozostali chłodni wobec apeli zachęcających ich do protestu z powodu ostatnich zmian programowych. A mieliby ku temu powody chociażby z uwagi na to, że zarabiają ok. 50 proc. poniżej uposażeń swoich polskich kolegów. Przy wyższym pensum (22 h).

Relacje prasowe towarzyszące zmianom w programach nauczania boleśnie obnażyły katastrofalnie niski stan wiedzy Polaków na temat współczesnych Węgier i Węgrów

Ponadto opublikowane w omawianym kontekście relacje w Polsce w ogóle nie oddają zasadniczej treści polemik, toczonych w całej tej sprawie nad Dunajem. Tam bowiem nowe podstawy nauczania rozpaliły umysły zupełnie z innego powodu. Z powodu chemii, choć nie tylko. A mianowicie, czy nauczyciele – jak się od nich oczekuje w nowych podstawach programowych – powinni instruować swoich uczniów w sprawie najlepszych sposobów destylacji alkoholu? Kwestia o tyle ważna, że choć od wejścia Węgier do UE produkowany na własne potrzeby alkohol podlega już opodatkowaniu, to pozyskiwanie do 50 litrów rocznie palinki – i jej ekwiwalentów – pozostało na Węgrzech legalne i… szeroko rozpowszechnione. A jak wiadomo, wbrew marksistom, to jakość, a nie ilość zwykle bywa w życiu czynnikiem rozstrzygającym.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka.

eprasa.pl 5a2134d4e1

FOT. KATERINA DIDENKO/INSTAGRAM

LANS AŻ DO ŚMIERCI

Znana rosyjska instagramerka Katerina Didenko z wielką pompą świętowała swoje 29. urodziny. Na jej przyjęciu odbywającym się w klubie na południu Moskwy do basenu wrzucono ok. 30 kg suchego lodu, by wywołać efekt dymu. Podczas tego „efektu" doszło do reakcji i wydzielania się dużych ilości dwutlenku węgla. W efekcie dwie osoby zmarły na miejscu imprezy, a mąż blogerki – w szpitalu. Na Instagramie poinformowała, jak zaplanowała jego pogrzeb.

LEGALNA EUTANAZJA W PORTUGALII

Portugalski parlament przyjął ustawę legalizującą eutanazję. Projekt zgłosiła portugalska partia socjalistyczna. Zakłada on, że na życzenie będzie można odebrać życie pełnoletniemu choremu, który przeżywa ekstremalne cierpienia w związku z nieuleczalnym urazem lub nieuleczalną chorobą. Wniosek pacjenta zatwierdzać ma trzech lekarzy, w tym psychiatra. Od 2007 r. w Portugalii legalne jest przeprowadzenie aborcji do 10. tygodnia ciąży.

GŁOŚNA CÓRKA SPIELBERGA

Mikaela Spielberg – córka znanego reżysera – najpierw podbiła serwisy plotkarskie. Obwieściła bowiem, że zamierza rozpocząć karierę... jako gwiazda porno. Filmy te zresztą zamierza sama produkować. W ubiegłym tygodniu znów było o niej głośno. Została aresztowana nad ranem w Nashville pod zarzutem przemocy domowej. Jej narzeczony zapewniał media, że to „nieporozumienie".

EMERYT CZMYCHNĄŁ Z KWARANTANNY

71-latek, który po zdiagnozowaniu koronawirusa trafił na kwarantannę w szpitalu zakaźnym w Como na północy Włoch, uciekł. Mężczyzna uznał po obchodzie, że czuje się dobrze, więc spakował swoje rzeczy i wezwał taksówkę, którą odjechał do domu. Usłyszał zarzut nieprzestrzegania rozporządzenia władz. A po tej wyprawie na kwarantannę trafił też taksówkarz.

POLSKI SPIRYTUS POSZUKIWANY

W Japonii z półek zaczęły znikać środki dezynfekujące. W obliczu braku tych środków (choć zwykłe mydła niszczą koronawirusa) Japończycy zaczęli szukać alternatywy. I znaleźli polski spirytus rektyfikowany. Zaczęli go masowo kupować. Do tego stopnia, że dostawy spirytusu do Japonii według „The Japan News" są obecnie dwa razy wyższe. A w polskich mediach podśmiewano się z minister Jadwigi Emilewicz, która wieszczyła, że polskie firmy zyskają na epidemii. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

NOTATNIK MALKONTENTA

Jak Rostowski Wielowieyską do pionu ustawiał

ŁUKASZ WARZECHA

Czego politycy oczekują od dziennikarzy? Nie, nie rzetelności i niezależności – przeciwnie. Oczywiście w zależności od tego, kogo się spyta, ten ktoś wskaże, że tak jest tylko po tej drugiej stronie, u tych „złych". Doprawdy?

W ubiegłym tygodniu na Twitterze politycy PO – w tym Jan Vincent-Rostowski czy Hanna Gronkiewicz-Waltz – zaczęli stawiać do pionu Dominikę Wielowieyską z „Gazety Wyborczej" za to, że ośmieliła się napisać, iż kandydatka PO na prezydenta nie radzi sobie z niektórymi tematami. „Ale Pani ma obowiązek obywatelski i moralny zastanowić się nad skutkami swoich słów, tak jak każdy z nas w tych groźnych dla demokracji czasach" – grzmiał były minister finansów.

> **Takie momenty szczerości należy cenić – pokazują, jak dany polityk wyobraża sobie stan idealny**

I zabawne to, i smutne. Rostowski zapewne nawet nie pomyślał, że zachowuje się identycznie jak duża część polityków obozu władzy, którzy od „swoich" dziennikarzy także oczekują bezkrytyczności, bo przecież trwa śmiertelne zwarcie z siłami zła. Takie momenty szczerości należy cenić – pokazują, jak dany polityk wyobraża sobie stan idealny. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

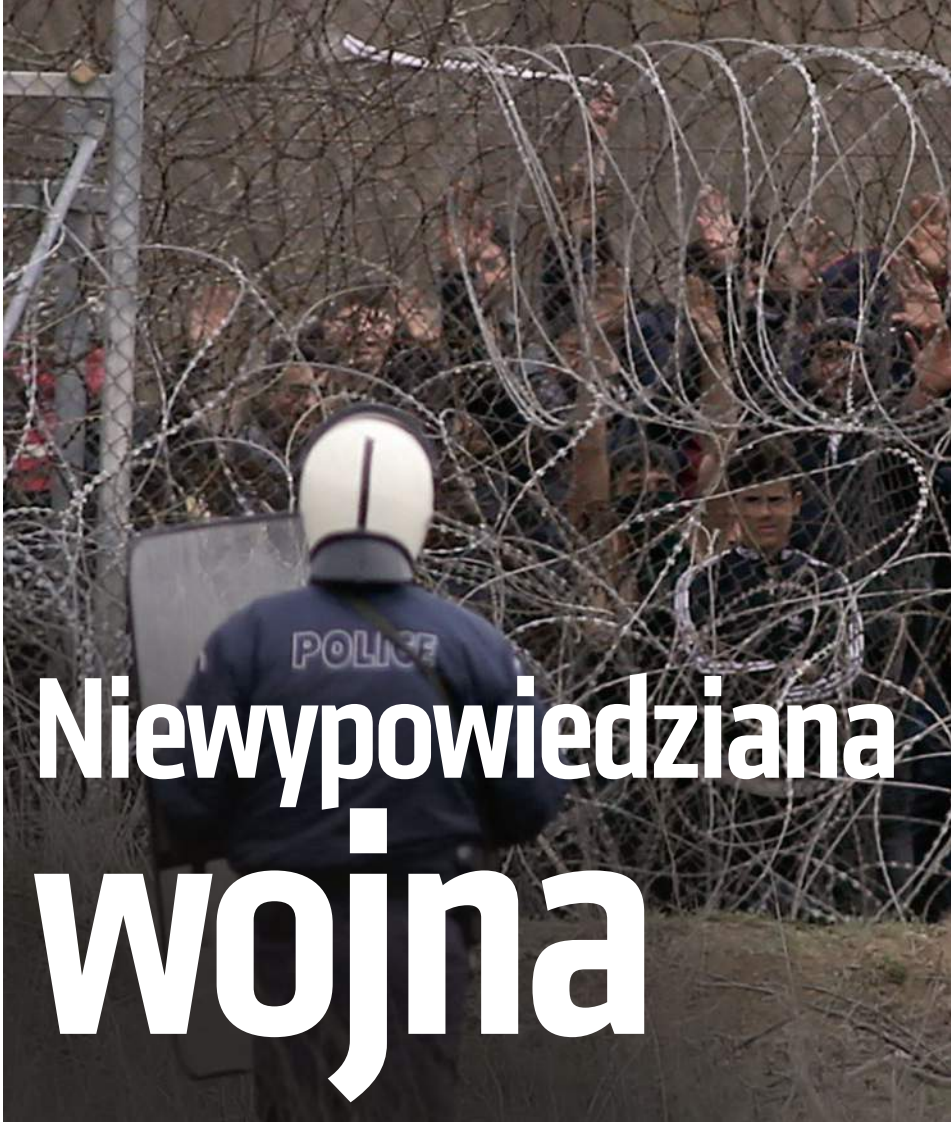

Niewypowiedziana wojna

Jacek Przybylski

Erdoğan sięgnął po sprawdzoną broń i zagroził, że jeśli UE nie wesprze Turcji w wojnie z Syrią, to Europę znów zaleje powódź uchodźców i imigrantów ekonomicznych. Unia chce uniknąć powtórki kryzysu z 2015 r. Zamiast ustępować Turkom, tym razem koncentruje się na uszczelnieniu granic

Połamane barykady, uszkodzone zwoje drutu kolczastego, porozrzucane kamienie i pozostałości po granatach dymno-łzawiących i hukowych. To nie obrazki z Afryki czy Bliskiego Wschodu, lecz z południowych granic Unii Europejskiej. W okolicach turecko-greckich punktów granicznych zaczęła się już nowa inwazja uchodźców z Syrii, Libii, Iraku czy Afganistanu, a także imigrantów ekonomicznych z Maroka, Pakistanu, Somalii i wielu innych krajów Azji i Afryki.

„Ponad 76 tys. uchodźców opuściło już Turcję i udało się w kierunku Europy" – poinformował na Twitterze turecki minister spraw wewnętrznych Süleyman Soylu. Nie wspomniał już jednak o tym, że uchodźcy z rejonów objętych konfliktami zbrojnymi na pontonach ruszyli w stronę greckich wysp, a pieszo w kierunku kontynentalnych granic UE po tym, jak propaganda reżimu w Ankarze zaczęła publikować komunikaty o tym, że unijne kraje znów są gotowe przyjmować imigrantów.

Turcy nie tylko bezczelnie kłamią, lecz także pomagają bliskowschodnim uchodźcom w szturmie na Europę. Według władz w Atenach podczas starć na unijnych granicach gazu łzawiącego używają nie tylko greccy policjanci, lecz także migranci korzystający z granatów będących na wyposażeniu tureckiego wojska. Greckie media opublikowały również w zeszłym tygodniu nagranie, które pokazuje łódź z uchodźcami, która ku greckiej wyspie Lesbos płynie eskortowana przez okręt tureckiej straży przybrzeżnej. Niestety, ta sama łódź zatonęła w pobliżu wyspy. Erdoğan ma tym samym na sumieniu życie kolejnego bezbronnego dziecka.

Władze w Ankarze nie ukrywają radości ze swojej bezwzględnej akcji: niegdyś tak potężnej Europie, która teraz wciąż nie potrafi poradzić sobie z poprzednią falą uchodźców, grozi nowy, jeszcze poważniejszy w skutkach kryzys migracyjny. Po tym, jak w 2015 r., gdy Stary Kontynent zalała fala ok. 1 mln, głównie muzułmańskich, uciekinierów, w 2016 r. Turcy wynegocjowali od przestraszonych Europejczyków aż 6 mld (!) euro „za ochronę" unijnych granic przed kolejnymi hordami imigrantów. Teraz Turcja znów używa szantażu i uruchamiając kolejną falę z uchodźcami, próbuje zmusić Unię Europejską do nowych ustępstw. – Podróż do Europy odbyły już setki tysięcy, niedługo będą to miliony – zagroził autorytarny turecki władca Recep Tayyip Erdoğan, dodając bez ogródek: jeśli Unia chce rozwiązać problem migracji, to musi poprzeć nasze plany.

GRECJA SIĘ BRONI

Przyzwyczajony do uległości Unii Europejskiej Erdoğan trzyma w dłoni silną kartę. Tylko w zeszłym tygodniu greckie siły bezpieczeństwa powstrzymały na granicy próbę nielegalnego przedarcia się na teren Unii ponad 20 tys. osób. Mimo regularnych patroli i wygłaszanych przez megafony ostrzeżeń przed próbą przekroczenia granicy migranci nie zaprzestają prób sforsowania zabezpieczeń. Często dochodzi do przepychanek, a nawet regularnych walk. Obrzucani kamieniami greccy policjanci, aby obronić granicę, są zmuszeni używać gazu łzawiącego, gumowych kul i kajdanek – tylko w marcu do greckich aresztów trafiło ponad 200 nielegalnych imigrantów.

– Grecja jest zdecydowana zrobić wszystko, co trzeba, by bronić swoich granic – ostrzegł w ubiegłym tygodniu premier Kyriakos Mitsotakis, przestrzegając zdesperowanych uchodźców, że jeśli przekroczą granicę nielegalnie, to zostaną zawróceni lub odesłani. Władze w Atenach wstrzymały jednocześnie przyjmowanie wniosków o status uchodźcy. – To nie jest już kryzys migracyjny. To bezczelna próba wykorzystania przez Turcję zdesperowanych ludzi do

eprasa.pl 5a2134d4e1

Imigranci szykują się do szturmu w pobliżu turecko-greckiego przejścia granicznego w Kastanies

FOT. GIANNIS PAPANIKOS/AP/EAST NEWS

promocji jej geopolitycznej agendy i do odwrócenia uwagi świata od koszmarnej sytuacji w Syrii – podkreślał Mitsotakis. Stanowczo z nową inwazją muzułmanów walczą również mieszkańcy przygranicznych terenów Grecji. Sfrustrowani niekontrolowaną falą migracji mieszkańcy Lesbos nawołują przybyszy do powrotu, a czasem własnoręcznie odpychają od brzegów pontony z imigrantami.

Nie tylko Grecy mają problem z ofensywą imigrantów. Coraz gorzej sytuacja wygląda też na liczącej aż 259 km granicy turecko-bułgarskiej. Władze w Sofii podjęły decyzję o wzmocnieniu patroli i wysłaniu w rejon przygraniczny dodatkowych oddziałów żandarmerii.

Władze w Atenach oraz w Sofii nie są jednak chłostane pod pręgierzem politycznej poprawności przez brukselskich urzędników. Przeciwnie: w przeciwieństwie do 2015 r. tym razem Grecy mogą liczyć na wsparcie unijnych przywódców, którzy doskonale pamiętają, że uchodźcy nie chcą zazwyczaj zostawać w cierpiącej z powodu wysokiego bezrobocia Grecji i wolą tzw. szlakiem bałkańskim przedostać się do Niemiec i innych bogatych krajów Europy. Z najnowszych danych Eurostatu wynika, że imigranci spoza UE najbardziej upodobali sobie nie tylko miasta niemieckie i brytyjskie (oba te kraje przyjęły największą liczbę imigrantów), ale także np. Mediolan, Madryt, Barcelonę, Rzym, Brukselę, Rygę, Sztokholm i Neapol.

TARCZA EUROPY

Liderzy Unii Europejskiej tym razem tak bardzo boją się powtórki kryzysu imigracyjnego, że niemiecka szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała już, że Unia Europejska jest gotowa wesprzeć greckich policjantów i wysłać na granicę z Turcją część oddziałów liczącego 1,5 tys. funkcjonariuszy Frontexu, czyli jednostek agencji ochrony zewnętrznych granic Unii.

Jednocześnie nazywając Grecję europejską tarczą, obiecała rządowi w Atenach 700 mln euro pomocy finansowej. Wsparcie finansowe von der Leyen obiecała również Bułgarii.

– Ta granica nie jest jedynie grecką granicą, to również granica Europy i jako Europejka stoję tutaj dzisiaj po waszej stronie… Przybyliśmy, aby dać bardzo jasny sygnał europejskiej solidarności i wsparcia dla Grecji – oświadczyła po wizycie na granicy grecko-tureckiej niemiecka szefowa Komisji Europejskiej.

To nie chochlik drukarski. Na pewno nie pomyliliśmy nazwisk. Naprawdę tak stanowcze stanowisko wobec uchodźców przyjęła sama Ursula von der Leyen – pretorianka kanclerz Niemiec Angeli Merkel, która pięć lat temu tak otwarcie zapraszała do Europy rzesze imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu. Nie tylko w Niemczech doszło do zmiany stosunku wobec zalewającej Europę fali uchodźców i imigrantów ekonomicznych.

– To atak Turcji na Unię Europejską i Grecję – tak „świadomą akcję zorganizowaną przez prezydenta Erdoğana" nazwał z kolei kanclerz Austrii Sebastian Kurz. Zarzucił on tureckiemu autokracie, że posługuje się uchodźcami z regionów objętych konfliktami niczym pionkami, i ostrzegł, aby nie ulegać szantażowi Ankary. – Jeśli teraz ugniemy się pod presją Turcji, jeżeli Erdoğan wyjdzie z tej bitwy zwycięsko, decydując, że nagle dziesiątki tysięcy osób mogą ruszyć ku Grecji i Unii Europejskiej, to następnie będą to setki tysięcy i nastąpi koniec swobodnego przepływu osób w Europie – przekonywał austriacki polityk, informując jednocześnie, że jego rząd już wzmocnił granice, aby nie dopuścić do powtórki z roku 2015, gdy Austrię zalała fala nielegalnych przybyszów.

Pomoc Grecji w uszczelnieniu granicy z Turcją zadeklarowała również Polska. Polska jest w stanie bardzo szybko, jeżeli będzie taka potrzeba, wysłać do Grecji 100-osobowy oddział straży granicznej i 100-osobowy oddział policji – zadeklarował w Brukseli szef polskiego MSW Mariusz Kamiński. Podkreślił jednocześnie, że Warszawa nie zgadza się na przyjęcie uchodźców ani na przymusową relokację.

Zmianę w podejściu do problemu nielegalnych przybyszów widać również u prawników. W połowie lutego 2020 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu orzekł, że Hiszpania miała prawo odsyłać do Maroka imigrantów z Afryki złapanych na nielegalnym przekraczaniu granicy. Sprawniej radzą sobie też Francuzi, którzy zaczęli coraz częściej likwidować nielegalne obozy namiotowe lub składające się z prowizorycznych baraków,

eprasa.pl 5a2134d4e1

w których przebywa czasem kilkaset, a niekiedy nawet kilka tysięcy osób.

TURECKI POKAZ SIŁY

Turcy nie zamierzają jednak rezygnować z brudnej gry uchodźcami. Ankara chce wywrzeć na Stary Kontynent na tyle mocną presję, aby tym razem wyłudzić od Turków nie tylko kolejne miliony euro, lecz także pomoc wojskową w jej operacji militarnej przeciw wspieranemu przez Rosję syryjskiemu dyktatorowi.

Sama Turcja też ma nie lada problem z uciekinierami z różnych krajów. Od grudnia przez turecko-syryjską granicę przedostało się już ok. 1 mln Syryjczyków, w tym kilkaset tysięcy dzieci. Turcy wpuszczają jednak tylko ułamek chętnych. Po syryjskiej stronie granicy z Turcją brakuje nawet namiotów. Wiele rodzin czeka więc na ratunek pod gołym niebem, przez co wiele dzieci zmarło już z wyziębienia.

W gronie osób, którym udało się uciec przed śmiercią, jest słynna Salwa. Malutka, czarnowłosa Syryjka, która trafiła na czołówki światowych serwisów informacyjnych, gdy jej ojciec – niczym bohater filmu „Życie jest piękne" Roberta Benigniego – przekonał trzylatkę, że bombardowania to taka forma zabawy, i nauczył córeczkę śmiać się za każdym razem, gdy w pobliżu jej domu w Idlib spadały kolejne bomby.

W przekroczeniu syryjsko-tureckiej granicy dziewczynce i jej rodzicom pomogły władze w Ankarze. Podobnie jak setki tysięcy innych rodzina Salwy uciekała przed toczącymi się na północnym-zachodzie kraju walkami między wspieranymi przez Turcję antyrządowymi rebeliantami a syryjskimi siłami zbrojnymi, którym w postępach na froncie istotnie pomagają bomby zrzucane przez rosyjskie samoloty.

W Turcji przebywa obecnie niemal 4 mln syryjskich uchodźców, a także imigranci z krajów takich, jak Afganistan, Pakistan, Irak czy Somalia. Wielu z nich, od kilku lat czekając na okazję, by spróbować przedostać się do wymarzonej Europy, w obozach przejściowych spędziło jedną piątą lub nawet jedną czwartą swojego życia.

Podobnych dziewczynek jak Salwa, wraz z braćmi, rodzicami czy dziadkami, będzie w szybkim tempie przybywać nie tylko w Turcji, lecz także na unijnych granicach. Tylko w ubiegłym tygodniu przy unijnej granicy zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy przybyszów, którzy marzą o pokonaniu granicy z Grecją lub Bułgarią. A to przecież dopiero początek wielkiej nowej fali, którą w kierunku Europy popycha prezydent Turcji.

Ostatni zalew imigrantów to m.in. efekt tureckiej kontrofensywy przeciwko syryjskiej armii rządowej. Władze w Ankarze zachowują bowiem coraz mniej skrupułów w niewypowiedzianej wojnie przeciwko Damaszkowi i nie ograniczają się już do dostarczania rebeliantom tureckiego sprzętu wojskowego, ale wysyłają na terytorium Syrii coraz więcej swoich wojsk. Do kontrofensywy doszło trzy dni po nalocie dokonanym przez lotnictwo syryjskie i rosyjskie w prowincji Idlib w północno-zachodniej części kraju, w wyniku którego śmierć poniosło 33 tureckich wojskowych. Oficjalnie 33. Nieoficjalnie media spekulują bowiem, że ofiar po stronie tureckiej mogło być nawet sto.

Turcja w odwecie nie mogła rzecz jasna zaatakować Rosjan. Zestrzeliła więc dwa syryjskie samoloty i za pomocą floty nowoczesnych dronów zbombardowała kilkadziesiąt celów na terenie Syrii, błyskawicznie eliminując co najmniej kilkuset żołnierzy wroga. Jednocześnie na syryjskie terytorium spadł grad pocisków i rakiet wystrzeliwanych z dział i wyrzutni znajdujących się jeszcze po tureckiej stronie granicy. Turcy chwalą się, że zniszczyli Syryjczykom ponad 100 czołgów, kilkadziesiąt transporterów opancerzonych, kilkadziesiąt systemów artyleryjskich oraz zestrzelili osiem śmigłowców i jednego drona.

Władze w Ankarze tak mocno podbiły stawkę w grze o Idlib, że Moskwa wydała ostrzeżenie, iż „nie może zapewnić bezpieczeństwa" tureckim maszynom, jeżeli te przekroczą znów granicę syryjsko-turecką. Turcy mają jednak świadomość, że jeżeli wspierani przez Turków rebelianci z przygranicznych rejonów Syrii zostaną rozbici przez Rosjan i ludzi krwawego dyktatora Baszara al-Assada, to poniosą nie tylko polityczne konsekwencje. Z Idlib i okolic w obawie przed mordami i prześladowaniami do Turcji uciec może wówczas bowiem nawet 4 mln osób. Turcy zapewne pogonią ich wówczas dalej na Stary Kontynent. Już teraz, aby ułatwić niezdecydowanym podjęcie decyzji o pilnej ucieczce do Europy, muzułmańskie władze Turcji tolerują działania takich bojówek jak Szare Wilki, które atakują domy zamieszkane przez imigrantów z Syrii i zmuszają ich do ucieczki do Europy.

ROSYJSKA PROPAGANDA

Cierpienie najsłabszych, w tym bezbronnych kobiet i dzieci, to ulubiony oręż bezwzględnych autokratycznych władców pokroju Erdoğana czy Putina. – Rozumiemy, jak poważne dla Unii Europejskiej są problemy związane z uchodźcami i migracją, ale nie możemy zaprzestać walki z terroryzmem po to, by rozwiązać problem uchodźców, chociaż do tego nieustannie się nas wzywa – oznajmił w ubiegłym tygodniu rosyjski minister spraw zagranicznych. Siergiej Ławrow winą za spodziewaną nową falę uchodźców do Europy obarczył Stany Zjednoczone oraz „Zachód", zapominając zupełnie o tym, że Syryjczycy muszą uciekać z domu i ojczyzny z powodu ataków wspieranej przez Rosję armii syryjskiego dyktatora, a także z powodu bombardowań przeprowadzanych przez rosyjskich zbrodniarzy wojennych.

Władimir Putin odmówił także czterostronnego spotkania w sprawie Syrii, w którym udział mieliby wziąć przywódcy Rosji, Turcji, Niemiec oraz Francji. Moskwa wspiera bowiem krwawego syryjskiego dyktatora, którego siły są o krok od ostatecznego zakończenia rebelii. Przeszkadza im w tym jedynie Turcja. Kremlowi nie zależy też wcale na uspokojeniu kryzysu uchodźczego, bo potencjalna inwazja imigrantów stanowi – obok kurka z gazem – jedno z głównych oręży współczesnej Rosji.

Z kolei według Ankary problem mogłoby rozwiązać długoterminowe zawieszenie broni między Turcją a wspieraną przez Rosję Syrią. Wówczas Erdoğan nakaże przesiedlić miliony imigrantów do prowincji Idlib i rozwiązać w ten sposób nie tylko problem z uchodźcami – których coraz bardziej dość mają też sami Turcy – lecz także z Kurdami, do których te ziemie należały od stuleci, a którzy teraz będą mogli pożegnać się z marzeniami o kurdyjskiej autonomii.

Brudna gra uchodźcami może zakończyć się fatalnym kompromisem: Turcy najpierw siłą przerzucą tam wszelkich imigrantów, a następnie rejon formalnie stanie się częścią Syrii. Takie rozwiązanie – choć w teorii brzmi dobrze – zakończyć się może katastrofą humanitarną na większą skalę niż Palestyńczykom zgotował Izrael.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

TEST „DO RZECZY": HUAWEI BAND 4 PRO

Długi czas pracy na jednym ładowaniu, minimalistyczny design, wodoodporność do 50 m oraz bardzo dobry stosunek jakości do ceny – to największe zalety najnowszego modelu inteligentnej opaski chińskiego producenta.

Ważąca zaledwie 25 g opaska ułatwia nie tylko sprawdzanie swojej codziennej porcji kroków, lecz także pozwala na mierzenie tętna czy analizę snu. Zaletą opaski jest też wodoodporność, dzięki której możemy w niej pływać na basenie lub w otwartych akwenach ze słodką wodą.

Wbudowany moduł GPS sprawia, że jeśli idziemy pobiegać lub pojeździć na rowerze, to nie musimy zabierać ze sobą smartfona, aby śledzić w aplikacjach pokonaną trasę. Fani piłki nożnej po meczu zobaczą zaś w aplikacji nawet linie wyznaczające ich trasę pokonaną na boisku. Podczas treningów do wyboru jest kilka trybów: bieganie na dworze, bieganie na bieżni, marsz na dworze i w pomieszczeniu, jazda na rowerze i rowerku stacjonarnym, orbitrek, ergometr, basen, pływanie w akwenie otwartym oraz ćwiczenie „inne". Inteligentna opaska podaje czas treningu, rejestruje puls (ostrzegając, gdy przekroczymy ustawiony wcześniej poziom maksymalny), a także podaje szacowaną liczbę spalonych kalorii. Miłośnikom pływania opaska zliczy również liczbę pokonanych długości basenu.

Przydatna jest również funkcja Huawei TruSleep 2.0, dzięki której po przebudzeniu możemy sprawdzić w aplikacji jakość naszego snu, w tym czas trwania poszczególnych faz (snu głębokiego, płytkiego, fazy REM czy czuwania).

Opaska odbiera też oczywiście powiadomienia o nowych SMS-ach czy wiadomościach w Messengerze, a także pozwala odebrać lub odrzucić połączenie telefoniczne na sparowanym smartfonie (testowany model współpracuje i ze smartfonami z systemem Android 4.4 lub nowszymi, i z iPhone'ami z iOS 9.0 lub nowszymi).

Solidnie wykonana opaska wyposażona jest w malusieńki dotykowy wyświetlacz AMOLED o przekątnej zaledwie 0,95 cala i rozdzielczości 240 x 120 pikseli. Mimo niewielkiej rozmiarów ekran jest zaskakująco czytelny.

Za pomocą opaski można sterować również odtwarzaczem muzyki, a także wyzwolić migawkę aparatu. Osoby śpiące wraz z użytkownikiem opaski docenią także możliwość ustawienia dyskretnego alarmu wibracyjnego, który obudzi wczesnym rankiem wyłącznie „nosiciela" inteligentnego gadżetu.

Bardzo dużym plusem jest też długi czas pracy na jednym ładowaniu. Przy stałym połączeniu ze smartfonem, inteligentnym pomiarze tętna i sporadycznych treningach z włączonym GPS opaska podczas testu zaczęła domagać się dodatkowego prądu dopiero po pięciu dniach.

Według producenta akumulator o pojemności 100 mAh sprawia, że chiński smartband – w zależności od wykorzystywanych funkcji – powinien wytrzymać bez ładowarki nawet 12 dni. Ładowanie do pełna zajmuje niespełna dwie godziny.

Wady? Irytująca konstrukcja niewielkiej stacji dokującej do ładowania opaski – po pierwsze łatwo ją zgubić, a po drugie brak zwykłego złącza USB w kopercie opaski sprawia, że nie da się jej podładować podczas wyjazdu z dowolnego powerbanku. Bluetooth w wersji 4.2, a nie 5.0. Minusem jest też stosunkowo niewielki wybór darmowych tarcz dla posiadaczy iPhone'ów. Niektórych niepotrzebnie stresować może również brak pomiaru poziomu stresu.

Mimo tych minusów, biorąc pod uwagę cenę, testowana opaska zasługuje jednak na polecenie. Huawei Band 4 Pro dostępny jest w trzech kolorach: czarnym, czerwonym oraz różowym.

Cena: 299 zł. ©℗

Jacek Przybylski

KATAPULTA BIUROWA

Niestety, nie służy ona „wykatapultowaniu" się z nudnej nasiadówki, bezpiecznego ewakuowania z biura, gdy zbliża się burza albo gdy szef sekretariatu domaga się namolnie oddania tekstu. Czemu więc służy? Ot, może ładnie wyglądać i w tej roli spełnia się znakomicie. Może też służyć końskim zalotom i tu też odgrywa swoją rolę. Kto pamięta popularne w dawnych latach „rurki plujki", którymi męskie szowinistyczne świnie zaczepiały – wystrzeliwując ziarna ryżu albo (co gorsza) kuleczki plasteliny – co bardziej atrakcyjne (uwaga, seksizm) koleżanki z klasy, ten wie, o co chodzi. Otóż katapultą można wystrzeliwać kuleczki papieru (niech będzie, że listy miłosne) na biurko koleżanki. Albo robić bałagan na biurku szefa. Gadżet nazywa się Da Vinci Catapult i składa się z obrabianych laserowo części (głównie drewnianych) do samodzielnego montażu. Wizualnie wygląda naprawdę dobrze. Producent twierdzi, że można też prowadzić przy użyciu tego urządzenia oblężniczego wojnę biurową. Na przykład „dział papierowy" vs. „dział on-line". Sprawdzimy. Jedna katapulta kosztuje ok. 120 zł i zamawiać ją można na Kickstarterze. Dostawa w czerwcu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

UNIWERSALNY KUBEK DO KAWY

Jest mały, składany i zmieści się w każdej kieszeni. Gadżet, czyli kubek, nazywa się Hunu i jest wykonany z sylikonu oraz bambusa klasy spożywczej, które dzięki specjalnym taśmom ściągającym pozwalają na niemal dowolne składanie i zginanie do niewielkiego krążka. Zdejmowana opaska izolacyjna pełni także funkcję zatyczki do otworu do picia, chroniąc przed wyciekami w kieszeni lub torbie po złożeniu. Rozmiar 8 oz/240 ml pasuje do każdej standardowej wielkości kawy, kubek jest też lekki, bo waży ok. 100 g. Oczywiście trwałość Hunu jest też ograniczona, niemniej jednak producent przekonuje, że przetrwa on co najmniej kilkanaście miesięcy. Jeden kubek kosztuje ok. 70 zł i zamawiać go można na Kickstarterze. Dostawa praktycznie od zaraz. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 5a2134d4e1

Trump przeciw cywilizacji śmierci

Piotr Włoczyk

Wbrew obawom sceptyków prezydentura Donalda Trumpa to bardzo dobry czas dla amerykańskiego ruchu pro-life. Jego administracja zrobiła bardzo wiele, by poważnie utrudnić działalność potężnemu lobby proaborcyjnemu

Nie będę ukrywała – byłam bardzo sceptycznie nastawiona do prezydentury Trumpa. Pomyślałam sobie: „Co myśmy najlepszego narobili?" – mówi „Do Rzeczy" Abby Johnson, znana amerykańska obrończyni życia, której historia jest podstawą scenariusza głośnego filmu „Nieplanowane". Johnson była szefową kliniki aborcyjnej w Teksasie, ale w 2009 r. przeżyła nawrócenie i od tego czasu jest jedną z najważniejszych twarzy amerykańskiego ruchu pro-life. – Oczywiście prezydentura Hillary Clinton byłaby czymś najgorszym, ale Trump wydawał mi się pomyłką pod kątem pro-life. Dałam mu jednak kredyt zaufania. No i proszę bardzo, okazało się, że to najbardziej proliferski prezydent, jakiego mieliśmy w USA. Takich sceptyków jak ja było w ruchu pro-life mnóstwo, ale on nas wszystkich zadziwił i zrobił dokładnie to, co obiecywał. Efekt jest taki, że polityka Trumpa jest bardziej przyjazna ochronie życia niż Busha juniora – kwituje Johnson.

To nie lada wyróżnienie, bo Bush junior ma świetną opinię wśród amerykańskich obrońców życia. Przede wszystkim przez zakazanie potwornej metody aborcji nazywanej „aborcją przez częściowe urodzenie". Polega ona na wyciągnięciu dziecka na zewnątrz, ale tak, by w środku pozostała tylko głowa (teoretycznie więc dziecko nie przyszło jeszcze na świat, czyli według prawa jest jedynie płodem), w którą aborcjonista wbija nożyce i wysysa mózg. Czaszka dziecka zapada się i bez problemu można ją wyjąć na zewnątrz. Do 2003 r. była to legalna metoda zabijania dzieci w ostatnich miesiącach ciąży. Bush junior, podpisując uroczyście zakaz przeprowadzania takich aborcji, powiedział, że Ameryka powinna „zapewnić dzieciom inne – lepsze – przywitanie na tym świecie".

GWIAZDA MARSZU

Najlepszym świadectwem stosunku amerykańskich pro-liferów do Trumpa jest to, jak został przyjęty na gigantycznym 47. Marszu dla Życia, który odbył się w Waszyngtonie pod koniec stycznia. To wielkie zgromadzenie amerykańskich obrońców życia organizowane jest co roku w stolicy USA w rocznicę sądowej decyzji Roe vs. Wade, która uznała aborcję za jedno z podstawowych praw człowieka.

„To dla mnie olbrzymi zaszczyt, że jestem pierwszym prezydentem w historii, który bierze udział w Marszu dla Życia. Jesteśmy tu z bardzo prostej przyczyny. Chcemy bronić prawa każdego dziecka, urodzonego i nienarodzonego, do wypełnienia danego im przez Boga potencjału" – tymi słowami Donald Trump rozpoczął swoje przemówienie. Wielokrotne podkreślanie przez amerykańskiego prezydenta świętości życia było żywiołowo przyjmowane przez nieprzebrane tłumy obrońców życia.

Krytycy Trumpa, komentując to przemówienie, nie szczędzili mu złośliwości, wyciągając jego dawne wypowiedzi, gdy nazywał siebie zwolennikiem prawa do wyboru, a także przypominając jego sprośne wypowiedzi sprzed lat na temat kobiet. Gdy jednak spojrzeć na jego czyny, od kiedy został prezydentem USA, trudno nie dziwić się entuzjazmowi amerykańskich pro-liferów. Wygląda bowiem na to, że Trump nie przesadził, gdy powiedział na marszu, iż „nienarodzone dzieci nigdy nie miały mocniejszego obrońcy w Białym Domu".

KONKRETNE CZYNY

„Zaczynając od mianowania sędziów i pracowników federalnych o poglądach pro-life, poprzez ograniczanie funduszy na aborcje w kraju i za granicą, a kończąc na wezwaniu do zakończenia późnych aborcji, prezydent Trump i jego administracja konsekwentnie opowiadają się za życiem" – oświadczyła Jeanne Mancini, przewodnicząca Marszu dla Życia.

– Najważniejsze są konkretne czyny. To po nich widać, czy człowiek faktycznie jest za obroną życia: choćby wybór kandydata na sędziego Sądu Najwyższego pokazuje, że Biały Dom jest po naszej stronie – powiedziała „Do Rzeczy"

eprasa.pl 5a2134d4e1

Donald Trump na 47. Marszu dla Życia w Waszyngtonie FOT. LEAH MILLIS/REUTERS/FORUM

Lila Rose, przewodnicząca Live Action, amerykańskiej organizacji pro-life, która zasłynęła z przeprowadzania prowokacji w klinikach Planned Parenthood (PP). Tylko ta jedna organizacja przeprowadza każdego roku ponad 300 tys. aborcji. Wykonane przez Live Action nagrania z ukrytej kamery pokazały m.in., jak pracownicy PP informowali ludzi podających się za stręczycieli na temat najlepszych sposobów, by prostytutki po aborcji jak najszybciej mogły wrócić do „pracy". Na innym nagraniu Live Action widać z kolei, jak pracownica PP łamie prawo i zamierza umożliwić dokonanie aborcji dziewczynie, która jest na to zbyt młoda. Ujawnione przez Lilę Rose nagrania wywołały olbrzymi kryzys wizerunkowy PP i dały amunicję tym wszystkim, którzy domagali się odcięcia tej organizacji od pieniędzy podatników.

– Hillary Clinton w Białym Domu byłaby dla nas koszmarem. Ta kobieta jest pupilką biznesu aborcyjnego, który przeznaczył dziesiątki milionów dolarów na walkę z jej politycznymi przeciwnikami. Pamiętajmy, że Hillary Clinton opowiada się za pełnym dostępem do aborcji na życzenie przez całe dziewięć miesięcy ciąży. Dlatego proszę się nie dziwić, że rezultat wyborów prezydenckich wywołał u mnie taką radość – podkreśla Lila Rose.

Jedną z pierwszych decyzji Trumpa po przeprowadzce do Białego Domu była reaktywacja tzw. polityki z Mexico City – wprowadzonej w 1984 r. przez Ronalda Reagana – która zabrania wydawania pieniędzy federalnych na wspieranie organizacji pozarządowych promujących aborcję poza granicami USA. Odejście od tej zasady było z kolei jedną z pierwszych decyzji podjętych przez administrację Baracka Obamy.

Amerykańscy pro-liferzy dłużej musieli poczekać na spełnienie jednego ze swoich najważniejszych postulatów – odcięcie Planned Parenthood od finansowania ze środków federalnych. Donald Trump zrobił to w zeszłym roku. Wcześniej prawo stanowiło wprawdzie, że pieniądze podatników nie mogą być przeznaczane na wykonywanie aborcji, ale w przypadku PP istnieje tu cienka granica. PP zajmuje się także m.in. leczeniem chorób przenoszonych drogą płciową czy wykonywaniem badań mammograficznych, jednak pro-liferzy argumentowali, że przekazywanie PP pieniędzy na ten rodzaj działalności i tak ostatecznie kończy się wspieraniem przemysłu aborcyjnego.

– Rzeczywiście, środki publiczne nie finansują wprost aborcji, ale pośrednio przyczyniają się do tego. Między innymi z tych środków są przecież opłacane rachunki za użytkowanie budynków, w których dokonuje się aborcji. Pośrednio więc amerykańscy podatnicy łożą na przemysł śmierci, czy tego chcą, czy nie – tłumaczy Lila Rose.

Wygląda na to, że Trump nie przesadził, gdy powiedział, że „nienarodzone dzieci nigdy nie miały mocniejszego obrońcy w Białym Domu"

Konieczność szczelnego oddzielenia działalności aborcyjnej od tej, którą można finansować ze środków publicznych, sprawiła, iż w sierpniu zeszłego roku PP w dramatycznie brzmiącym komunikacie ogłosiła, że nie będzie już pobierała środków publicznych.

„Skutki decyzji kagańcowej administracji Trumpa będą odczuwalne w całym kraju" – powiedziała wówczas Alexis McGill Johnson, szefowa Planned Parenthood, strasząc, że „decyzja kagańcowa" odbije się na zdrowiu najbiedniejszych Amerykanek.

SĘDZIA NUMER TRZY

Amerykańskie feministki nie mogą też darować Trumpowi wskazania do Sądu Najwyższego dwóch sędziów, którzy zostali uznani przez nie za „wrogów praw kobiet". Jest to o tyle ważne, że stany konserwatywne od kilku lat forsują ustawy mające na celu maksymalne ograniczenie liczby aborcji. Tak zwane ustawy o bijącym sercu przewidują, że nie wolno wykonywać aborcji od momentu, gdy u rozwijającego się w łonie matki dziecka zaczyna bić serce (dzieje się tak już ok. szóstego tygodnia życia). W obecnej sytuacji prawnej regulacje te są jednak jawnie sprzeczne z kluczowym werdyktem w sprawie Roe vs. Wade i bardzo szybko są blokowane przez sądy federalne. Wszystko może się tu jednak szybko zmienić. Pro-liferzy liczą, że wysłanie przez Trumpa do SN kolejnych sędziów o dużej wrażliwości w sprawach ochrony życia może rozpocząć kontrrewolucję, która skruszy, a następnie zupełnie wysadzi w powietrze orzeczenie w sprawie Roe vs. Wade. Jeżeli Trump wygra kolejną kadencję, to bardzo możliwe, że w SN zdecydowaną przewagę zyskają przedstawiciele myśli pro-life.

Dzisiaj amerykańskie społeczeństwo podzielone jest w tych sprawach niemal dokładnie po połowie. Sondaż Gallupa z zeszłego roku pokazuje, że 49 proc. Amerykanów widzi się po stronie pro-life. Po drugiej stronie sytuuje się 46 proc. mieszkańców USA. Wahania są tu od lat minimalne, ale rzut oka na wykres pokazujący ostatnie trzy dekady nie pozostawia wątpliwości, jak wielki postęp zrobili pro-liferzy. Jeszcze w połowie lat 90. zaledwie 33 proc. Amerykanów nazywało siebie pro-liferami. Po drugiej stronie barykady było aż 56 proc. mieszkańców USA. Od tego sympatia dla postulatów ruchu pro-life stopniowo, ale nieubłaganie rośnie.

Aborcja odgrywa też coraz większą rolę w czasie wyborów. Jak pokazują dane Gallupa, o ile w 2008 r. stosunek polityka do aborcji był kluczowy dla 13 proc. Amerykanów, o tyle dziś już niemal co trzeci wyborca deklaruje, że ta sprawa to główne kryterium wyborcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Z Tomaszem Janikiem, prezesem Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, skupiającego firmy z polskim kapitałem
rozmawia Jacek Krzemiński

Gospodarcza

JACEK KRZEMIŃSKI: PTG opracowało raport o tym, co hamuje rozwój polskiej gospodarki. Według niego polityka UE i unijne przepisy to wypadkowa interesów państw członkowskich oraz ich firm. To dlatego państwa zdaniem Polska powinna prowadzić podmiotową, czyli własną, niedyktowaną z zewnątrz, politykę gospodarczą?

TOMASZ JANIK: Podmiotowa znaczy przede wszystkim nie pozorna, ale rzeczywiście służąca rozwojowi polskiej gospodarki, polskich firm. Największą część naszej gospodarki stanowią polskie firmy, z polskim kapitałem, w tym zwłaszcza prywatne. To im polityka gospodarcza naszego państwa powinna służyć, dla nich tworzyć najlepsze z możliwych rozwiązania. To jest według mnie podmiotowe traktowanie polskiej rzeczywistości gospodarczej. Wszystkie inne działania w polityce gospodarczej są tylko pozorne lub mają zabarwienie polityczne.

Jeśli postulujecie podmiotową politykę gospodarczą, to znaczy w domyśle, że dotąd takiej polityki Polska nie prowadziła? Że wciąż lepiej traktuje się u nas firmy zagraniczne niż polskie?

To jest ocena biorąca pod uwagę doświadczenia ostatnich 30 lat po 1989 r. Bywało wprawdzie w tym okresie, że kolejne polskie rządy podchodziły podmiotowo do firm z polskim kapitałem, ale jednak kładły głównie nacisk na ściąganie inwestorów zagranicznych i podmiotowo traktowały przede wszystkim firmy zagraniczne. Jeśli mówiło się o tworzeniu dobrych warunków do rozwoju firm, to były to dobre warunki dla dużych firm, a dużych z polskim kapitałem było przez wiele lat niewiele, więc służyło to bardziej zagranicznym koncernom.

Tak było ze specjalnymi strefami ekonomicznymi, które były tak skonstruowane, że inwestowały w nich głównie zagraniczne koncerny i to one przede wszystkim korzystały na obecnych tam zwolnieniach podatkowych. To sprawiało, że ich polskim konkurentom było jeszcze trudniej.

Jedną z nielicznych stref ekonomicznych, którą adresowano do mniejszych firm, była strefa suwalska, dzięki czemu wiele małych firm z polskim kapitałem zbudowało tam swoje zakłady. I z tych małych firm urosły potem duże, dynamiczne, wysyłające sporą część swej produkcji na eksport. Przykład tej strefy pokazuje, że dopiero takie rozwiązania, które wynikają ze zrozumienia prawdziwych preferencji i potrzeb przedsiębiorców, dają oczekiwane efekty.

Musimy postawić sobie pytanie: Czy rzeczywiście naszym celem jest rozwój polskiego żywiołu gospodarczego, czy tylko mówimy, że to jest dla nas priorytet, nawet mamy taką wolę, ale kończy się na deklaracjach i na bezsilności? Tak, niestety, można ocenić wielu polityków obecnego rządu, którzy stawiają racjonalne diagnozy, ale ich działania są nieskuteczne.

eprasa.pl 5a2134d4e1

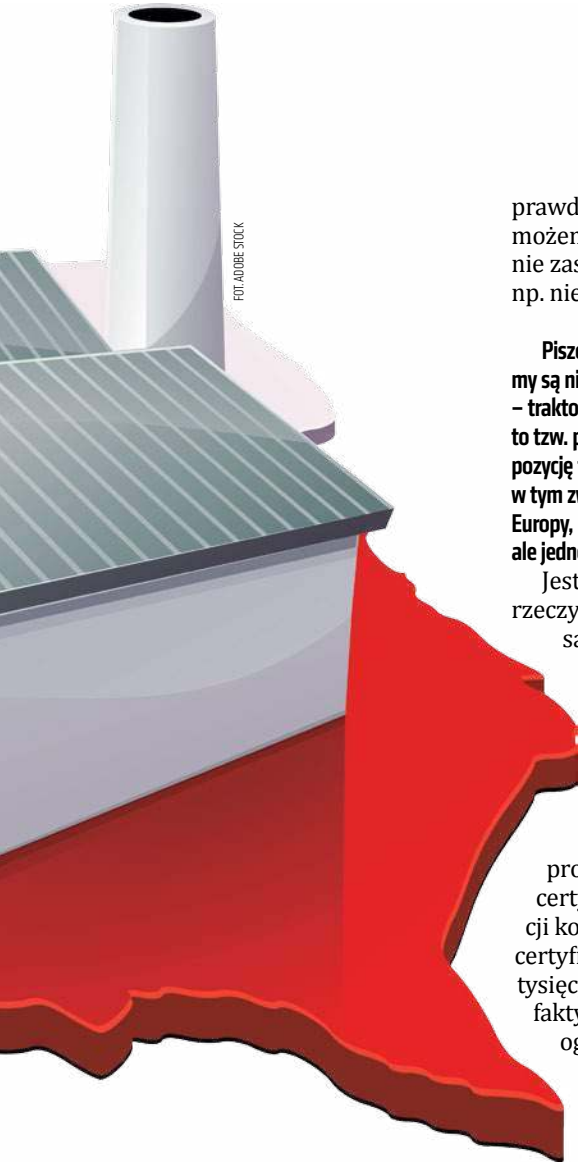

FOT. ADOBE STOCK

prawdę duży obszar, gdzie taką politykę możemy kreować, swobodnie działać, nie zasłaniając się przepisami UE. To np. niemal cała polityka podatkowa.

Piszecie w swoim raporcie o tym, że polskie firmy są nierówno – względem zachodnioeuropejskich – traktowane przez unijne organy. Ostatni przykład to tzw. pakiet mobilności mający utrącić silną pozycję firm transportowych z naszej części Europy, w tym zwłaszcza polskich, na rynkach zachodniej Europy, która każe nam otwierać rynek dla jej firm, ale jednocześnie chroni swój przed naszymi.

Jest wiele takich obszarów, gdzie rzeczywiście rynki krajów starej UE są bardzo szczelnie chronione przez tzw. bariery pozataryfowe, np. certyfikacyjne. One teoretycznie powinny być ujednolicone, ale tak nie jest. Te bariery są bardzo realne, bardzo kosztowne. Ostatnio słyszałem od dużego polskiego producenta, że przeprowadzenie certyfikacji jednego produktu we Francji kosztuje 120 tys. euro, a w Polsce certyfikacja tego produktu kosztuje kilka tysięcy złotych. Wejście na polski rynek faktycznie nie jest w żaden sposób ograniczone, a na rynki zachodnioeuropejskie – przeciwnie. To widać m.in. w zamówieniach publicznych. Z raportu Fundacji Republikańskiej o barierach wejścia polskich firm na rynki jest w zasięgu naszych możliwości. Werbalnie to już się odbywa. Rząd deklaruje, że chce te warunki poprawiać. Podejmuje działania mające taki cel. Jest ze strony przedstawicieli rządu, jego resortów gospodarczych, wola rozmowy z przedsiębiorcami, dobry, przyjazny klimat w relacjach i rozmowach z nimi. Jednak w praktyce bywa z tym bardzo różnie. Dam przykład: jedna z firm należących do PTG wynalazła przełomową technologię, miała otrzymać na jej wdrożenie grant z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, ale przez bardzo sztywne, biurokratyczne podejście tej instytucji, opóźnienie w wypłacie grantu, została doprowadzona niemal do bankructwa.

Poza tym rząd ocenia swoje działania regulacyjne w zupełnie inny sposób niż sami przedsiębiorcy, bardzo różnimy się z nim w postrzeganiu rzeczywistości gospodarczej. Pan premier ogłosił podczas swego exposé wprowadzenie tzw. CIT estońskiego. To bardzo dobry pomysł, ale u nas ma dotyczyć tylko mikroprzedsiębiorców. Rząd mówi, że jest ich wielu. To prawda. Jednak jaką część polskiej gospodarki oni stanowią? Ilu zatrudniają pracowników? Ilu tych przedsiębiorców tworzy wartość dodaną w polskiej gospodarce, zwiększa jej produktywność, eksportuje? CIT estoński przyniósłby bardzo korzystne efekty w naszej gospodarce, ale wtedy, gdyby dotyczył także większych firm.

niepodległość

Aby prowadzić podmiotową politykę gospodarczą, Polska, będąc w UE, musiałaby być tak silna ekonomicznie jak kraje zachodnie. A tak silna jeszcze nie jest i dlatego, gdy próbuje się wybijać na gospodarczą niepodległość, to dostaje po głowie i przechodzi do defensywy.

To nie jest tak, że będąc w UE, niewiele możemy, jeśli chodzi o kreowanie własnej, niezależnej polityki gospodarczej. Nasz raport pokazuje, że tylko 20 proc. polskich przepisów jest implementacją przepisów unijnych. Mamy więc nazachodniej Europy wynika, że firmom zachodnioeuropejskim dużo łatwiej wygrać w Polsce przetarg niż polskiej firmie w krajach starej UE.

Co mamy robić? Ograniczać firmom zagranicznym dostęp do swojego rynku tak, jak robią to bogate kraje zachodnie czy Chiny?

To, co możemy i powinniśmy w Polsce robić, to zdecydowanie poprawiać warunki prowadzenia działalności gospodarczej. Na to mamy wpływ, to

Jeśli więc przygotowujemy bardzo dobre rozwiązanie tylko dla bardzo niewielkiej części naszej gospodarki, to nie jest rozwiązanie.

Ciekawe, jaki jest dziś entuzjazm Polaków odnoszący się do prowadzenia działalności gospodarczej, czy są badania, ilu młodych ludzi w Polsce chciałoby założyć własną firmę, prowadzić biznes. Ja rozpocząłem studia w 1992 r., studiowałem na wydziale zarządzania i zdecydowana większość moich kolegów

eprasa.pl 5a2134d4e1

w tamtym czasie marzyła o własnej firmie. Tylko niektórzy myśleli o pracy dla firm zagranicznych.

Dzisiaj o własnej firmie wciąż marzy wiele osób, ale warunki prowadzenia biznesu są w Polsce tak trudne, że wielu z tego powodu rezygnuje z takiej drogi.

Pan Józef Mokrzycki, prezes fimy Mo-Bruk, powiedział na naszej konferencji, że niedługo będziemy mieć duży problem z tym, iż duża część polskich przedsiębiorców, którzy zaczynali w latach 90., będzie przechodzić na emeryturę i wielu z nich nie będzie miało następców. Ile dzieci polskich przedsiębiorców chce przejąć ich firmy? Okazuje się, że niewiele. Bo w Polsce przedsiębiorcy rzeczywiście mają bardzo pod górkę, prowadzenie firmy jest dużym ciężarem i dzieci przedsiębiorców to widzą. To nie tylko polski problem, bo występuje on np. także w rodzinnych firmach w innych krajach.

Biurokracja w naszym kraju ciągle przyrasta, a fiskus nadal nie jest przyjazny dla firm

Jeśli więc chcemy myśleć i działać długofalowo, to nie wystarczą takie działania rządu, jak przygotowanie ustawy sukcesyjnej czy ustawy o fundacjach rodzinnych. Chodzi o to, by Polacy znów chcieli być przedsiębiorcami, byli gotowi podejmować ryzyko, odpowiedzialność. To jest też kwestia społecznego klimatu wokół przedsiębiorców.

Zwracają też państwo uwagę na nierówne opodatkowanie polskich i zagranicznych firm w naszym kraju. Te drugie oddają w formie podatku dochodowego tylko 0,3 proc. swoich przychodów, a polskie – dwa razy więcej. Dlatego że międzynarodowe korporacje sztucznie zaniżają swoje zyski, uciekają z nimi do rajów podatkowych. To jest dla polskich firm nierówna konkurencja.

Nasz raport pokazuje, że walka z tym zjawiskiem jest pozorna, nie tylko w Polsce, lecz także na świecie. Bo wielu państwom zależy na inwestorach zagranicznych, nie chce ich wystraszyć. Dlatego również, że firmy zagraniczne płacą nie tylko CIT, lecz także PIT, ZUS czy podatek od nieruchomości. I dlatego wiele krajów nie walczy z luką CIT tak, jak powinno.

Czy my wciąż powinniśmy tak zabiegać o inwestorów zagranicznych, oferować im ulgi podatkowe czy rządowe dopłaty do budowy fabryk, czyli tzw. granty inwestycyjne?

Moim zdaniem nie. Z tego względu, że Polska stwarza już im na tyle dobre warunki do inwestowania, że nie trzeba ich do tego dodatkowo zachęcać. Rząd powinien skupić się raczej na poprawianiu warunków prowadzenia działalności gospodarczej dla wszystkich firm w Polsce. Te wszystkie – wprowadzane od pewnego czasu – ułatwienia dla firm, programy dotyczą głównie mikrofirm. To dla nich jest mały ZUS czy estoński CIT. Mówi się, że to będzie rozszerzone. Ale kiedy?

Współkieruje pan firmą rodzinną, która zaczynała od produkcji zlecanej w Chinach. Potem, 10 lat temu, przenieśliście produkcję do Polski. Dlaczego najpierw zlecaliście ją w Chinach?

Dlatego że tam były dużo niższe koszty inwestycyjne, dużo niższe koszty uruchomienia produkcji. Ale też dlatego, że w Chinach można było łatwiej i szybciej uruchomić produkcję niż w Polsce czy Europie. Nasz chiński partner w ciągu roku wybudował na potrzeby kontraktu z nami dwie hale po 10 tys. mkw. W Polsce to nie byłoby możliwe i wciąż nie jest możliwe w tak krótkim czasie. Tam jest dużo łatwiej inwestować niż u nas.

Jakie są dziś największe bariery w rozwoju firm w Polsce?

To w pierwszej kolejności bariery instytucjonalne. Tutaj nie będę oryginalny. Mamy za dużo przepisów, gospodarka jest przeregulowana. Co gorsza, te przepisy zbyt szybko się zmieniają, czyli mamy niestabilne, nieprzewidywalne prawo. To oczywiście także wysokie pozapłacowe koszty pracy, klin płacowy.

Wspominacie też o niewydolności sądów, o tym, że wciąż zdecydowanie zbyt długo trwają procesy w sprawach gospodarczych.

Jeszcze gorszą sprawą jest solidarna odpowiedzialność przed fiskusem za nierzetelnych kontrahentów. To miało miejsce w wyniku czyszczenia rynku z karuzeli VAT-owskich, których ofiarą było nie tylko państwo, lecz także uczciwe firmy. Udało się te karuzele ukrócić, i bardzo dobrze. Ale podjęto tę walkę zbyt późno i wielu uczciwych przedsiębiorców ponosi tego bardzo duże koszty, a często doprowadza ich to do bankructwa. Bo ci nieuczciwi, działający z premedytacją, zwinęli się, a ci, którzy działali w dobrej wierze, uczciwie, zostali na lodzie, z roszczeniami ze strony fiskusa.

W naszym raporcie wspominamy też o zbyt dużych ograniczeniach w obrocie ziemią rolną, przez co nie można kupić ziemi pod inwestycję. Te ograniczenia dotyczą też gruntów rolnych w miastach, co wydaje się absurdem.

Dużą barierą pozainstytucjonalną, rynkową, jest to, że konkurencja na rynku jest dziś bardzo silna, rynek stał się bardzo wymagający. W związku z tym potrzebujemy dziś bardzo zdrowych firm, kreatywnych, umiejących skutecznie konkurować na rynku z całym światem. I to też jest ogromne wyzwanie. Dlatego trzeba dbać o kondycję polskich firm i je wspierać. To nie jest tak, że w naszym kraju rodzime firmy wciąż są gorzej traktowane. Problem polega na tym, że my konkurujemy na polskim rynku z najmocniejszymi graczami na świecie, z wielkimi międzynarodowymi koncernami, dużo większymi i silniejszymi od naszych rodzimych firm.

Jak oceniacie warunki do prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce?

Te warunki w Polsce nie są najgorsze. Ale trzeba zadać pytanie, czy warunki prowadzenia działalności gospodarczej w Polsce poprawiają się, czy pogarszają. W mojej ocenie nadal się pogarszają, coraz trudniej jest prowadzić biznes. Rosną obciążenia fiskalne dla firm, zwiększa się sprawozdawczość, przybywa przepisów.

Rząd i administracja działają w dobrej wierze, sumiennie, z przekonaniem, że służą Polsce. Ale biurokracja w naszym kraju ciągle przyrasta, a fiskus nadal nie jest przyjazny wobec firm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Janik – absolwent Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, prezes firmy Decco SA, prezes Polskiego Towarzystwa Gospodarczego, jeden z fundatorów Fundacji Republikańskiej.

eprasa.pl 5a2134d4e1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska nawet za Białorusią

Zastanawiam się, czy Polska – niemałej wielkości państwo – jest w stanie wznieść elektrownię jądrową. Wznieść, czyli wyznaczyć jej położenie, zaprojektować, zaplanować sposób sfinansowania inwestycji, a potem ten plan zrealizować i siłownię wybudować.

Przy czym nie chodzi mi o jakąś nie wiadomo jaką elektrownię jądrową, lecz o najzwyklejszą, jakich co roku niemało powstaje na całym świecie (pracuje już prawie pół tysiąca reaktorów), w tym całkiem blisko nas – także w krajach dużo mniejszych i biedniejszych od Polski. Zastanawiam się nad tym i na razie wychodzi mi, że jest to ponad możliwości naszego państwa; że jak nie była w stanie uczynić tego komunistyczna PRL, tak nie jest w stanie zrobić tego demokratyczna RP.

A przecież w sąsiedztwie Polski od dekad pracują elektrownie atomowe, powstają nowe i rozbudowywane są istniejące. W Niemczech, które deklarują, że w 2022 r. zamkną ostatnią swoją siłownię jądrową (lecz czy zamkną?), nadal pracuje ich sześć: w Brokdorf, Grohnde, Gundremmingen, Emsland, Neckarwestheim oraz Isar. Na Ukrainie, po ostatecznym zamknięciu w 2000 r. elektrowni atomowej w Czarnobylu, pracują cztery takie siłownie, w obwodach: rówieńskim (od 1981), mikołajowskim (od 1983), zaporoskim (od 1985 – to największa elektrownia atomowa w Europie) i chmielnickim (od 1987). W Czechach pracują dwie elektrownie jądrowe – w Dukovanach (od 1985) i Temelínie (od 2002), na Słowacji także dwie – w Bohunicach (od 1972) i Mochovcach (od 1983). Na Litwie, po zamknięciu w 2009 r. Ignalińskiej Elektrowni Jądrowej, wyposażonej w reaktory podobne do tych z Czarnobyla, do końca 2022 r. ma zostać uruchomiona Wisagińska Elektrownia Jądrowa, zaopatrzona w dużo bezpieczniejszy reaktor. Na Białorusi zaś niedługo ruszy Białoruska Elektrownia Atomowa w Ostrowcu itp., itd.

A tymczasem w Polsce… A tymczasem w Polsce nie dość, że nie udało się dotąd wznieść choćby jednej siłowni jądrowej, to jeszcze de facto do tej pory nie dano rady sformułować spójnej i realistycznej strategii energetycznej państwa. Dlatego wciąż nie wiemy nawet, w jakim stopniu nasza energetyka będzie oparta na węglu (co w UE staje się zabójczo kosztowne), a w jakim – i czy w ogóle – na energetyce atomowej? No bo przecież nie na energii odnawialnej, która w naszych warunkach klimatycznych (mało słońca, nie za dużo wiatrów) może raczej odgrywać rolę jedynie uzupełniającą.

Mamy już za to pewność, że wskutek nieroztropności polityków ponad miliard złotych utopiliśmy w bloku węglowym w Ostrołęce, który nie zostanie dokończony, bo nie ma sensu, i niewiele mniej – w istniejącej od 10 lat państwowej spółce PGE EJ 1, której ekipa miała zbudować elektrownię jądrową nr 1, a doprowadziła do „przepalenia" setek milionów złotych, w tym ponad 100 mln zł na własne płace. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

To ostatnia pandemia

Globalna epidemia koronawirusa z Wuhan jest prawdopodobnie ostatnią pandemią w dziejach ludzkości. Dlaczego? Ponieważ w ciągu najwyżej kilku lat zostaną opracowane mechanizmy wykorzystujące sztuczną inteligencję do monitorowania zachowań ludzi i masowe zachorowania ludzi będą natychmiast wykrywane, monitorowane i eliminowane, zanim przyjmą formę epidemii.

Oczywiście pionierem w budowie takiego systemu będą Chiny i inne kraje zaawansowane technologicznie, takie jak USA, Izrael, Korea Południowa i Japonia. Dane z kamer monitoringu i inne dane zbierane przez rządy i firmy prywatne (takie jak historia zakupów, wyszukiwania w sieci, dane geolokalizacyjne telekomów etc.) zostaną wykorzystane do wytrenowania modeli uczenia maszynowego do rozpoznawania przypadków zachorowań. O ile w Chinach będzie to wynikało z decyzji partii, o tyle w krajach demokratycznych obywatele poprą partie, które będą proponowały takie działania. Jako przykład może służyć USA, gdzie po ataku terrorystycznym na dwie wieże w Nowym Jorku wprowadzono mechanizmy państwa totalitarnego (masowe podsłuchy i zatrzymywanie ludzi na wiele dni bez formalnego oskarżenia) i dopiero po wielu latach, gdy ludzie już przestali się bać, te mechanizmy zostały częściowo rozmontowane.

Co więcej, oczekuję, że ochrona prywatności wprowadzona w UE przez dyrektywę GPRD (RODO w Polsce) zostanie zawieszona w przypadku zagrożeń epidemią. To pozwoli na integrację danych z różnych źródeł i budowę modeli prognostycznych, które będą bardzo skuteczne.

Po co marnować olbrzymie środki i wiele czasu na zbadanie, z kim kontaktowała się dana zarażona osoba, jeżeli można przeanalizować dane telekomów i wiedzieć natychmiast oraz bardzo dokładnie, z kim dana osoba się fizycznie kontaktowała i gdzie przebywała. Albo inny przykład. Osoba zarażona w pewnym momencie zmienia swoje nawyki zakupowe, sposób przemieszczania się czy nawet wyraz twarzy, gestykulację lub sposób chodzenia. To można odczytać z danych zakupowych operatorów kart płatniczych i z kamer miejskich. Wytrenowanie modeli, aby nauczyły się rozpoznawać chore osoby, to prosta sprawa, gdy ma się takie dane. Co więcej, modele można nauczyć, aby rozróżniały zwykłą grypę, anginę od infekcji niebezpiecznego wirusa. Takie systemy zostaną zainstalowane prawdopodobnie na większości lotnisk czy dużych stacjach kolejowych, aby zmniejszyć ryzyko przenoszenia wirusa między krajami i miastami. Oczywiście zagrożone pozostaną biedne kraje, w których takich systemów kamer lub baz danych nie ma.

W ten sposób epidemia koronawirusa przyczyni się jednocześnie do postępu technologicznego i ograniczenia swobód obywatelskich. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 5a2134d4e1

fot. PIOTR TYRYK OGORZAŁEK / AGENCJA GAZETA

ZUS kontra matki

Tomasz Cukiernik

Matki prowadzące działalność gospodarczą mają dość nękania przez ZUS

Pani Marioli z Tarnowa, która firmę założyła w trakcie urlopu macierzyńskiego z etatu, ZUS nakazał oddać pieniądze, zarzucając jej pracę na L4. Później Zakład odmawiał jej wypłaty świadczeń pod różnymi pretekstami: próbowano udowodnić, że firma jest fikcją, mimo że funkcjonuje od 2013 r., miała kontrole w domu co trzy dni, otrzymała odmowę świadczeń, bo przerwała ciągłość składek i zarzucono jej wpłatę składki po terminie, co – jak twierdzi kobieta – nie było prawdą. Gdy tylko dostała decyzję o zwrocie 93 tys. zł, ZUS natychmiast zablokował jej konta firmowe. Teraz czeka na pierwszą rozprawę w sądzie.

NIESPRAWIEDLIWA SPOŁECZNIE

Beata Musińska z Puław swój gabinet kosmetyczny prowadzi od 2006 r. W tym czasie urodziła troje dzieci. W 2018 r. ZUS przeprowadził czynności wyjaśniające, nie dopatrując się żadnych nieprawidłowości. – Dopiero po roku, 29 października 2019 r., organ rentowy w ramach prowadzonej w całym kraju akcji „matka" i odbierania wypłaconych zasiłków wszczął wobec mnie postępowanie wyjaśniające w sprawie zasadności podwyższenia podstaw wymiaru składek od stycznia do marca 2015 r. – opowiada pani Beata. – Mimo że nie pojawiły się żadne nowe okoliczności, 16 grudnia 2019 r. organ rentowy wydał absurdalną decyzję, w której podważa prawie cztery lata wypłaconych mi zasiłków poprzez obniżenie podstawy wymiaru składek zadeklarowanych i opłaconych przeze mnie w 2015 r. – dodaje.

ZUS zażądał zwrotu 131 tys. zł, co uzasadniał zbyt niskim dochodem osiągniętym od stycznia do marca 2015 r. Uznano, że zwiększenie podstawy wymiaru składek było nieracjonalne z ekonomicznego punktu widzenia, niemające uzasadnienia w przychodach i dochodach, a tym samym sprzeczne z definicją działalności gospodarczej, której istotą jest zarobkowy charakter. – Przedstawione w decyzji wnioski z analizy dowodzą jedynie, że urzędnicy ZUS nie posiadają odpowiednich kwalifikacji, aby badać działalność gospodarczą pod kątem ekonomicznym. Nie są bowiem biegłymi w tym zakresie, prawdopodobnie nigdy nie prowadzili własnej działalności i nie rozumieją jej specyfiki – komentuje pani Beata. – Mam wrażenie, że organ rentowy próbuje na siłę usprawiedliwić swoje naganne zachowanie. Jak bowiem można wypłacać komuś świadczenia i nagle stwierdzać, że jednak te świadczenia mu się nie należą, mimo że przepisy prawne się nie zmieniły? – pyta Musińska, podkreślając, że zarówno przychody, jak i dochody pozwalały jej na zadeklarowaną podstawę.

Kobieta podkreśla, że ewentualne negatywne rozstrzygnięcie jej sprawy spowoduje kłopoty finansowe w firmie, problemy rodzinne i w rezultacie zamknięcie działalności gospodarczej oraz straty dla państwa. – Jeśli zostanę skrzywdzona przez państwo polskie, to moja sprawa trafi do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i tę sprawę na pewno wygram. Zgodnie bowiem z art. 8 kpa organy administracji publicznej powinny prowadzić postępowania w sposób budzący zaufanie obywateli (zasada pogłębiania zaufania obywateli do organów publicznych). W przypadku gdyby organ nakazał mi zwrot wypłaconych zasiłków, naruszy Europejską Konwencję Praw Człowieka – wyrok ETPC z 26 kwietnia 2018 r. w sprawie Čakarević przeciwko Chorwacji (skarga nr 48921/13) – podkreśla pani Beata.

Pani Edyta z województwa podkarpackiego działalność gospodarczą prowadzi od 2011 r. Kontrola przyszła w 2018 r. ZUS stwierdził, że jej działalność jest fikcją i że – podobnie jak u Musińskiej – występuje dysproporcja pomiędzy wpłaconymi składkami a wypłaconymi świadczeniami. – Kazali mi zwrócić 230 tys. zł. Cofnęli się pięć lat i podważyli swoją wcześniejszą decyzję. Powiedzieli mi, że jestem niesprawiedliwa społecznie. Odwołałam się do sądu, a moja firma cały czas prosperuje i nie mam zamiaru jej zamykać – podkreśla pani Edyta. Sąd stwierdził, że nie ma wątpliwości co do tego, że kobieta prowadziła działalność gospodarczą, ale jego zdaniem wystąpiła dysproporcja między wpłaconymi składkami a wypłaconymi świadczeniami, bo przedsiębiorczyni wpłaciła 19 tys. zł, a wypłacono jej 230 tys. zł. Kobieta odwołała się do sądu drugiej instancji w Rzeszowie i czeka na rozprawę.

– Uczciwie pracowałam jak głupi wół i łączyłam z tym wychowanie dzieci. Dlaczego teraz mam być ukarana za to? Teraz prowadzę działalność gospodarczą i jestem bezterminowo wywalona, czyli tak naprawdę ZUS i sąd zmuszają mnie do zamknięcia mojej działalności i dążą do pozbawienia mnie środków do życia. A składki płacę, bo oni składki chętnie przyjmują, a moja sprawa wisi. Tylko że gdybym zachorowała, to nic nie dostanę, bo jestem w zawieszeniu. Gdybym wiedziała, że ja mam takie nerwy jeść i tak to wszystko będzie wyglądać, tobym w ogóle nie brała tych świadczeń. Bo nie warto było. Gdy miałam kontrolę, traktowali mnie jak śmiecia. Schudłam 10 kg, odbiło się to na moim zdrowiu, na mojej rodzinie. Zrujnowali mi życie – mówi z żalem pani Edyta.

TAK DORADZIŁ... ZUS

Co ciekawe, o możliwości podwyższania sobie składek, by potem mieć wyższe

eprasa.pl 5a2134d4e1

świadczenia, kobiety niejednokrotnie dowiadywały się od… pracowników ZUS. – W ZUS dowiadywałam się, czy w ogóle mogę podnieść wysokość płaconych składek. Odpowiedziano mi, że tak. Uważam, że zostałam źle pouczona przez urzędnika – wspomina Katarzyna Nabożna-Motała, adwokat z Zielonej Góry, której ZUS wydał decyzję wyłączającą z ubezpieczenia chorobowego z powodu… złego formularza. Sprawę ostatnio wygrała, gdyż sąd przyznał jej rację. Gdyby przegrała, jej budżet domowy musiałby się uszczuplić o ok. 45 tys. zł. – O możliwości zadeklarowania wyższych składek dowiedziałam się od pani w ZUS. Powiedziała mi, że płacę preferencyjną składkę, więc będę miała niskie świadczenia na macierzyńskim i na L4. Poradziła mi, co mam zrobić – wspomina pani Magda, fizjoterapeutka spod Lublina, od której ZUS domaga się zwrotu 40 tys. zł. – Nie mi jednej pracownica z ZUS tak doradziła. Nie miałam wtedy księgowej i nawet nie miałam pojęcia o takich przepisach. To ona mnie naprowadziła na podniesienie składek – zaznacza.

W sprawach, kiedy kobiety wpłacały wyższe składki (ZUS chętnie je brał), Zakład powołuje się na wyrok Sądu Najwyższego z 5 września 2018 r. (I UK 208/17), mimo skrajnie odmiennych sytuacji w kontrolowanych firmach. Orzeczenie odnosi się bowiem do zgłoszenia do ubezpieczeń społecznych przez osobę dopiero co rozpoczynającą działalność gospodarczą, a ZUS podciąga pod to nawet firmy, które działają od kilkunastu lat! – Jak płacący składki na ZUS w 2015 r. mógł przewidzieć, że w 2018 r. będzie inna interpretacja prawa przez Sąd Najwyższy i że ZUS będzie kontrolował składki za 2015 r. według tej nowej interpretacji, mimo że prawo się nie zmieniło? – pyta Nabożna-Motała.

Rozszerzenie ZUS-owskiej interpretacji prawa może prowadzić do absurdów. – Taka sama sytuacja może być z rencistami, którzy pobierają renty, aż w końcu ZUS może zrobić kontrolę za pięć lat, stwierdzić, że się pomylił, i kazać oddawać wszystkie pieniądze. Tak samo może być z emeryturami – mówi pani Edyta z województwa podkarpackiego. – Gdyby ZUS na początku zakwestionował decyzje o wypłacie, to nie byłoby problemu. To tak jakbym poszła do sklepu i kupiła sobie pralkę na Black Friday, a za trzy lata ktoś by zapukał do drzwi i powiedział, że to jest naganne postępowanie wobec ludzi, którzy tydzień później kupili sobie tę samą pralkę tysiąc złotych droższą – mówi pani Magda spod Lublina. A przecież skoro ZUS brał wyższe składki, to zgodnie z poczuciem sprawiedliwości należały się wyższe świadczenia. To oczywiste, że kobiety płaciły wyższe składki z myślą o wyższych świadczeniach. Tutaj nie ma co udowadniać. Przecież nie po to płaciły więcej, by dostawać mniej. A powoływanie się na „sprawiedliwość społeczną" jest jakimś komunistycznym wymysłem.

Co więcej, jak zauważa Biuro Rzecznika MŚP, „przepisy prawa umożliwiają przedsiębiorcom zadeklarowanie podstawy wymiaru składek w dowolnej wysokości w określonym przedziale i nie przewidują możliwości kwestionowania tych deklaracji przez organ rentowy". Takie też były dwie uchwały Sądu Najwyższego z 2010 r., z których wynika, że ZUS nie może kwestionować podstawy wymiaru składek na ubezpieczenia społeczne płaconych przez przedsiębiorców, jeśli są one w ustawowych granicach i ZUS nie może w żaden sposób wiązać wysokości składek z uzyskiwanymi przez przedsiębiorcę przychodami. Dlatego Biuro Rzecznika MŚP podkreśla, że „przedsiębiorca, deklarując podstawę wymiaru składek na ubezpieczenie społeczne w ustawowo określonych granicach, działa w granicach prawa, nawet jeśli wskutek takiego działania otrzyma wysokie świadczenia".

PIEKŁO MATEK

Oczywiście zdarzają się wyłudzenia zasiłków i ZUS musi z tym walczyć. – Zadaniem Zakładu jest m.in. stwierdzanie i ustalanie obowiązku ubezpieczeń oraz kontrola wykonywania przez płatników składek obowiązków w zakresie ubezpieczeń społecznych. W związku z tym Zakład jest zobowiązany do podejmowania działań zapobiegających uzyskiwaniu ochrony ubezpieczeniowej przez osoby nieuprawnione – mówi Paweł Żebrowski, rzecznik prasowy Centrali ZUS. Jednak z przedstawionych sytuacji wynika, że Zakładowi ewidentnie brakuje pieniędzy i robi wszystko nie tylko, by nie płacić świadczeń, lecz także by odebrać już te zapłacone. Według prognoz sytuacja ZUS będzie się pogarszała, a przecież Zakład nie może podnieść składek, jak robią to prywatne towarzystwa ubezpieczeniowe, więc rekompensuje to sobie w ten sposób. – Rozumiem, że ZUS musi kontrolować, bo ludzie za bardzo sobie folgują, ale robi to z taką zaciekłością… Atakuje w sposób agresywny. Znam przypadki, że ZUS przegrywa w sądzie i robi drugą kontrolę tej samej osobie. Usilnie stara się coś znaleźć, żeby kobieta przestała dostawać świadczenia, żeby przestała korzystać ze swoich praw – ocenia Nabożna-Motała.

Pokrzywdzone przez Zakład kobiety zorganizowały już kilka protestów. Ruch Społeczny Kobiety na Działalności Gospodarczej kontra ZUS postuluje m.in., by Zakład dokonywał kontroli przed wypłatą świadczenia, a nie po kilku latach, by nakazywano zwrot i blokowano wypłatę świadczeń dopiero po uprawomocnieniu się decyzji, by ZUS nie podważał swoich wcześniejszych decyzji, jeśli nie pojawiły się nowe dowody, by wyraźnie określono, kiedy kobiety mogą płacić wyższe składki, czy też by nie zarzucano im fikcyjności prowadzenia działalności z błahych powodów. – Pojechałyśmy z innymi poszkodowanymi matkami do biura rzecznika MŚP z prośbą o pomoc. Przyznał nam rację, że wszystko robiłyśmy zgodnie z prawem. Od tamtej pory rzecznik popiera odwołania kobiet w postępowaniach sądowych w podobnych sprawach. Byłam pierwszą osobą, której odwołanie do sądu poparł rzecznik – mówi Nabożna-Motała.

Nie na tym polega prorodzinna polityka państwa. Wiele kobiet po stresie zafundowanym przez ZUS rezygnuje z chęci posiadania drugiego dziecka. – My, matki, na działalności gospodarczej zamiast zajmować się swoimi firmami i dziećmi, musimy przechodzić przez to piekło, które zgotował nam ZUS. Wiele z nas nie sypia, ma koszmary, potrzebuje wsparcia psychiatry. To nie o to powinno chodzić, by wykańczać dodatkowo i tak niemających łatwo w tym kraju przedsiębiorców – komentuje Beata Musińska. – Jako młoda matka powinnam być pod szczególną ochroną zwłaszcza w kraju, którego rządzący mówią o polityce prorodzinnej, a nie być traktowana jak złodziej – dodaje. – To był taki pierwszy moment w życiu, kiedy zastanowiłam się nad moją przyszłością w tym państwie. Bo być może podobne perspektywy czekają mnie na emeryturze. To jest bezprawne działanie instytucji państwowej, która bardzo utrudnia życie przedsiębiorcom. W momencie, kiedy państwo powinno być wspierające, tej pomocy nie udziela – mówi Barbara Podobas, dentystka z Warszawy, która od 2007 r. regularnie płaci składki, a po urodzeniu dziecka dopadła ją kontrola ZUS i wstrzymano jej wypłatę zasiłku macierzyńskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

Koniec mentolowych

Chociaż papierosy mentolowe i te z zapachową kapsułką zostaną wycofane ze sprzedaży już 20 maja, z badań Forum Konsumentów wynika, że połowa palących mentole nie ma o tym zielonego pojęcia, a zdecydowana większość tych, którzy wiedzą, nie planuje rzucić palenia

Papierosy zapachowe, przede wszystkim mentolowe, 20 maja znikają ze sklepowych półek. To konsekwencja dyrektywy z 2014 r., która zakazuje ich sprzedaży na terenie całej Unii Europejskiej. Skąd ten zakaz? Według unijnych ekspertów zapachowe papierosy, w tym mentolowe i z kapsułką, są najgroźniejsze – ich dym przyjemnie pachnie, a ubrania nie przechodzą tytoniem. Dlatego palacze chętniej sięgają po „mentolowy dymek", także ci, którzy dopiero zaczynają palić. To nie wszystko. Miętowy smak papierosa sprawia, że palacz nie jest w stanie kontrolować ilości dostarczanej do organizmu nikotyny, przez co mocniej się zaciąga, bez świadomości, że wdycha więcej substancji smolistych.

Unijny zakaz najmocniej odczuje Polska, bo w żadnym innym państwie Wspólnoty mentol nie cieszy się tak dużą popularnością jak tu: odsetek osób palących takie papierosy w stosunku do ogólnej liczby palaczy jest u nas najwyższy: szacuje się go na poziomie nawet powyżej 30 proc. A ponieważ w Polsce pali nawet około 9 mln osób, łatwo policzyć, że mowa o kilku milionach palaczy. Zakaz mentoli spowoduje też zmniejszenie wpływów do budżetu w wysokości nawet 9 mld zł. Obecnie nasz kraj jest potentatem w produkcji mentoli – ten typ papierosów produkuje aż sześć fabryk, z czego ponad dwie trzecie trafia na eksport.

RUSZA #ZAKAZMENTOLI

Jak Polacy oceniają ten zakaz? Parę dni temu Fundacja Forum Konsumentów zaprezentowała wyniki ogólnopolskiego badania odbioru i oceny planowanego zakazu mentoli, przeprowadzonego przez firmę Maison & Partners w styczniu na reprezentatywnej próbie ponad 1 tys. Polaków. Pokazało ono, że świadomość nadchodzących zmian jest stosunkowo niska: dwie trzecie ogółu Polaków i połowa palących nie ma o tym pojęcia. Z tych palaczy, którzy wiedzą, zdecydowana większość użytkowników mentoli nie planuje rzucić palenia, a prawie dwie trzecie palaczy mentoli negatywnie ocenia dyrektywę unijną. Co więcej, uważają, że to ograniczenie wolności wyboru i nieskuteczne działanie, które nie przyniesie oczekiwanych rezultatów. Jednocześnie wielu z nich nie rozumie tej zmiany. Dlatego Forum Konsumentów na stronie zakazmentoli.pl rusza z akcją informacyjną na temat przyczyn i skutków zakazu.

Z badań Maison & Partners wynika też, że Polacy nie wierzą w skuteczność zakazu w walce z nałogiem. 81 proc. jest zdania, że nie spowoduje on zmniejszenia liczby palaczy, ponieważ z pewnością znajdą oni inne sposoby, aby „obejść" zakaz, np. kupując mentole na czarnym rynku. Spośród badanych palaczy mentoli planuje tak zrobić prawie jedna piąta. Połowa chce palić zwykłe papierosy, a 16 proc. przejdzie na dozwolone produkty alternatywne, takie jak mentolowe wkłady tytoniowe do podgrzewaczy tytoniu czy mentolowe e-papierosy.

– Pojawia się pytanie, czy wprowadzenie zakazu sprzedaży papierosów mentolowych oraz z kapsułką to dobra metoda, aby nakłonić palaczy do porzucenia nałogu. Nie ulega wątpliwości, że rzucenie palenia byłoby najlepszym rozwiązaniem, jednak większość palaczy nie bierze go pod

eprasa.pl 5a2134d4e1

FOT. ADOBE STOCK

papierosów

uwagę. Istnieje wiele badań pokazujących, że pierwszą reakcją na zakazy jest poszukiwanie innych możliwości, np. na czarnym rynku. Wprowadzenie ostrzeżeń na paczkach papierosów, w drastyczny sposób pokazujących zdrowotne skutki palenia, również miało ich zniechęcić. Okazuje się jednak, że takie działania w niewielkim stopniu przemawiają do palaczy – uważa prof. dr hab. Dominika Maison z Uniwersytetu Warszawskiego.

POWRÓT SZAREJ STREFY?

Ekspertów Forum Konsumentów niepokoi możliwość poszukiwania zakazanych papierosów na czarnym rynku, co zadeklarowało prawie 20 proc. badanych palaczy mentoli. Szczególnie że w badaniach niechętnie przyznajemy się do łamania prawa, stąd można założyć, że w rzeczywistości odsetek ten jest wyższy. Warto przypomnieć, że w ciągu ostatnich pięciu lat służbom celnym udało się znacznie ograniczyć nielegalny handel papierosami. Instytut Doradztwa i Badań Rynku ALMARES szacuje, że szara strefa w Polsce plasuje się obecnie na poziomie 11 proc. całego rynku wyrobów tytoniowych (dane z ostatniego kwartału 2018 r.). Tylko w 2019 r. funkcjonariusze Krajowej Administracji Skarbowej, we współpracy z innymi służbami (policją oraz Strażą Graniczną), zarekwirowali niemal 260 mln papierosów pochodzących z przemytu, o łącznej wartości około 180 mln zł. Istnieje więc uzasadniona obawa, że skala przemytu mentoli do Polski po 20 maja może wzrosnąć.

BĘDĄ DOZWOLONE MENTOLE

Jakie legalne alternatywy pozostają palaczom mentoli? Po 20 maja będą to mentolowe wkłady tytoniowe do podgrzewaczy tytoniu oraz mentolowe e-papierosy (nie zawierają tytoniu, tylko płyn z nikotyną). Te pierwsze są tytoniowym produktem bezdymnym i działają, wykorzystując technologię podgrzewania, a nie spalania tytoniu (ang. Heat-Not-Burn). Należy do nich IQOS, pierwszy podgrzewacz na polskim rynku, który, jak dotąd jako jedyny wyrób tytoniowy, przeszedł pozytywną weryfikację amerykańskiej Agencji ds. Żywności i Leków (FDA). Po dwóch latach badań FDA uznała IQOS za „produkt właściwy dla ochrony zdrowia publicznego", który wywołuje potencjalny skutek w postaci obniżenia poziomu zachorowalności i/lub śmiertelności. Zdaniem agencji produkty podgrzewające, a nie spalające tytoń: „wytwarzają mniej określonych toksyn w mniejszych dawkach niż papierosy tradycyjne". IQOS-owi przyjrzeli się również naukowcy z Polskiej Akademii Nauk (Pracownia Bioenergetyki i Błon Biologicznych Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marcelego Nenckiego). Stwierdzili oni, że aerozol powstały w wyniku podgrzewania tytoniu zawiera znacznie mniej niektórych szkodliwych i potencjalnie szkodliwych dla mitochondriów komórek nabłonka oskrzeli substancji aniżeli dym papierosowy.

– Badania naukowe dowodzą, że w porównaniu z dymem produkowanym przez tradycyjne papierosy, w którym wyróżnia się około 40 substancji o udowodnionym szkodliwym działaniu, dym pochodzący z urządzeń podgrzewających tytoń ma w składzie nikotynę, samą w sobie prawie nieszkodliwą, nie zawiera natomiast najniebezpieczniejszych substancji szkodliwych – mówi prof. Piotr Kuna, były wieloletni dyrektor Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego nr 1 im. Norberta Barlickiego w Łodzi i laureat grantu Komisji Europejskiej Innovative Medicines Initiative.

Magdalena Gryn

Brytyjczycy rekomendują przejście na e-papierosy

Public Health England (PHE), agencja wykonawcza ministerstwa zdrowia Wielkiej Brytanii, w najnowszym raporcie na temat e-papierosów utrzymuje swoje rekomendacje, zgodnie z którymi palacze powinni przejść na e-papierosy, jeśli nie mogą rzucić nałogu całkowicie, bo choć e-papierosy nie są całkowicie pozbawione ryzyka, są znacznie mniej szkodliwe niż papierosy. PHE podkreśla, że błędne przekonanie, iż e-papierosy są bardziej szkodliwe niż palenie, wzrosło gwałtownie wśród brytyjskich palaczy po przypadkach uszkodzeń płuc u użytkowników e-papierosów w USA jesienią ub.r. Władze USA potwierdziły jednak, że główną przyczyną zachorowań był octan witaminy E, środek zagęszczający dodawany do płynów zawierających THC, substancję czynną konopi indyjskich. Co istotne, substancja ta jest zakazana w produkcji płynów do e-papierosów zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i Polsce.

eprasa.pl 5a2134d4e1

Co wiemy o wirusie z Wuhan?

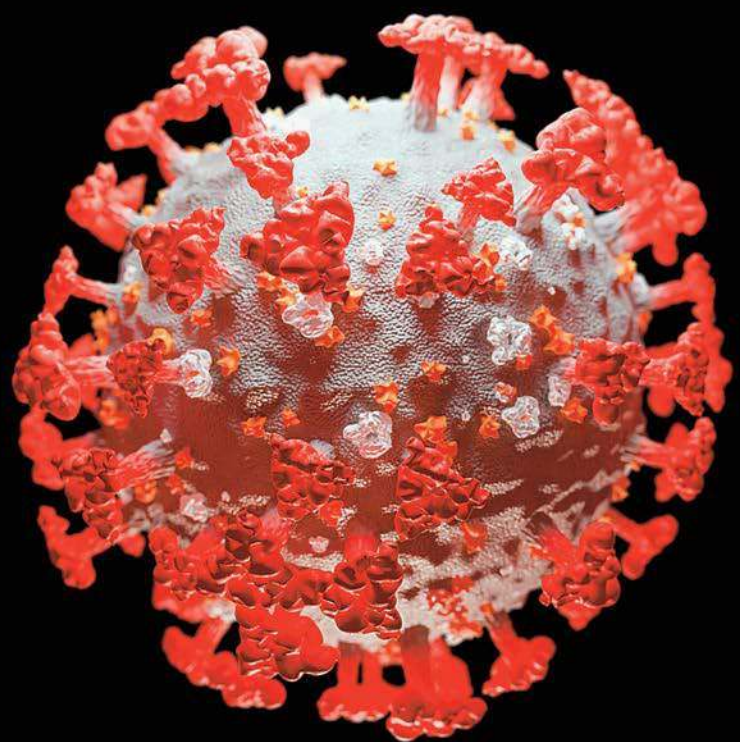

Katarzyna Pinkosz

Braki maseczek, mydła, środków dezynfekcyjnych, niespotykane na taką skalę środki ostrożności i prognozy, że koronawirusem może się zarazić nawet 60–70 proc. osób. Przez wirusologów jest oceniany jako stosunkowo łagodny, ale bardzo zaraźliwy i przez to groźny

Wiemy o nim dość dużo – jeśli wziąć pod uwagę to, że na świecie jest obecny prawdopodobnie niewiele od ponad trzech miesięcy. A jednocześnie wiemy niewiele. Do pierwszych zakażeń prawdopodobnie – to słowo pojawia się często, bo faktycznie nasza wiedza na temat wirusa jest wciąż ograniczona – doszło w listopadzie ubiegłego roku. Wciąż nie wiadomo, jak potoczy się epidemia i w którą stronę wirus będzie mutował. Bo to, że będzie mutował, jest pewne.

ŁATWO ZAKAŹNY

Przede wszystkim oficjalnie nie jest to już „wirus z Wuhan" czy „chiński wirus", tylko SARS-CoV-2 (czyli koronawirus SARS typu 2). Taką nazwę nadał mu Międzynarodowy Komitet Taksonomii Wirusów. SARS w nazwie wskazuje na podobieństwo do pierwszego odzwierzęcego koronawirusa SARS, który spowodował w latach 2002–2003 zachorowanie 8096 osób i zgony 774 w wyniku niewydolności oddechowej.

SARS-CoV-2 ma otoczkę z białkowymi kolcami w kształcie korony, stąd nazwa „koronawirus". Z koronawirusami stykamy się od urodzenia: są przyczyną ok. 10–15 proc. infekcji przeziębieniowych, które zwykle przebiegają łagodnie, z katarem, kaszlem, czasem gorączką. – To koronawirusy alfa, czyli ludzkie. Koronawirusy beta to wirusy odzwierzęce, dużo bardziej dla nas groźne. SARS najprawdopodobniej „przeskoczył" na człowieka od nietoperzy, za pośrednictwem cywet. Takie „przejścia" wirusów od zwierząt na ludzi się zdarzają, podobnie było w przypadku wirusa MERS. Ponieważ są to nowe dla nas wirusy i nigdy z ich powodu nie chorowaliśmy, nie mamy przeciw nim wytworzonej odporności – mówi doc. Ernest Kuchar, specjalista chorób zakaźnych, kierujący Kliniką Pediatrii z Oddziałem Obserwacyjnym Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Nowy koronawirus ma 79,9 proc. takich samych genów jak SARS. Wnika do komórek dzięki tym samym receptorom (białko ACE-2, występujące m.in. w płucach i sercu) i wywołuje podobne objawy, z których najbardziej niebezpieczne są zapalenie płuc i niewydolność oddechowa. Śmiertelność spowodowana SARS wynosiła blisko 10 proc., SARS-CoV-2 aż tak zabójczy nie jest, za to bardzo szybko się rozprzestrzenia. Dlatego śmiertelność z jego powodu już jest ponad trzy razy wyższa niż łącznie z powodu SARS i MERS. – Jeśli wirus jest bardzo zjadliwy, to chorzy

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5a2134d4e1

umierają, ale liczba zakażonych wolniej rośnie i epidemia dość szybko wygasa, bo wirus nie ma szans szybko się namnażać. Jeżeli natomiast wirus nie jest tak bardzo niebezpieczny, to wielu chorych przeżywa i wiele osób się zaraża, stąd wysoka liczba zgonów – tłumaczy prof. Andrzej Horban, krajowy konsultant w dziedzinie chorób zakaźnych.

Do zakażeń dochodzi głównie drogą kropelkową, najczęściej poprzez kaszel i kichanie (choć opisywane były też zakażenia drogą pokarmową). – Prawdopodobnie okres zakaźności rozpoczyna się, jeszcze zanim wystąpią objawy. Dlatego tak trudno jest uchronić kolejne osoby przed zakażeniem. Nie wiemy też, jak długo chory zaraża – mówi doc. Kuchar. Początkowo uważano, że maksymalnie dwa tygodnie, jednak może to być dłużej, stąd przedłużanie czasem kwarantanny do trzech tygodni.

Zwykle przechorowanie powoduje pojawienie się przeciwciał, które chronią przed kolejnym zachorowaniem. W przypadku SARS-CoV-2 doniesienia z Chin świadczą, że niektóre osoby zarażają się ponownie. – Prawdopodobnie jest możliwa ponowna aktywacja wirusa, jednak te osoby nie zarażają innych. Zapewne obecność przeciwciał powoduje, że osoba, mimo że w organizmie ma wirusa, nie jest zakaźna – mówi dr Paweł Grzesiowski, ekspert w dziedzinie immunologii i terapii zakażeń.

DLA KOGO NIEBEZPIECZNY

Do 5 marca na świecie potwierdzono ponad 93,5 tys. zakażeń w 81 krajach (jeden w Polsce). Ponad 3,2 tys. osób zmarło. Śmiertelność ocenia się na 3,4 proc., choć faktycznie jest niższa, bo statystyka dotyczy potwierdzonych przypadków, a większość osób przechodzi infekcję lekko, część prawdopodobnie bezobjawowo.

Zwykle infekcje są najbardziej niebezpieczne dla osób starszych i dzieci. SARS-CoV-2 dzieci oszczędza. – W Chinach opisano tylko 2 proc. dzieci, które miały objawy zakażenia. To bardzo niewiele jak na ponad 80 tys. chorych. Dzieci przechodziły zakażenie łagodnie, nie miały powikłań, żadne nie zmarło. Wydaje się, że jest to spowodowane tym, że obecność receptora ACE-2 na powierzchni komórek rośnie wraz wiekiem. U dzieci jest go mało, więc namnażanie wirusa może być słabsze – tłumaczy dr Paweł Grzesiowski. Ostatnie doniesienia wskazują, że dzieci z rodzin, w których byli zakażeni dorośli, miały wirusa w organizmie bez żadnych objawów.

Wirus jest bardzo niebezpieczny dla osób starszych (umiera aż 14,8 proc. zakażonych powyżej 80. roku życia), a także obciążonych chorobami serca, cukrzycą, przewlekłą obturacyjną chorobą płuc, nadciśnieniem, nowotworami. Zagrożony jest też personel medyczny: w Chinach doszło do wielu zakażeń i zgonów wśród lekarzy oraz pielęgniarek.

Patrząc na Chiny, możemy zauważyć, że SARS-CoV-2 jest groźniejszy dla mężczyzn (zmarło ich procentowo więcej), prawdopodobnie jest to spowodowane tym, że mężczyźni znacznie częściej palą tam papierosy, a palenie powoduje, że koronawirus atakuje już uszkodzone płuca.

Szacuje się, że chory na koronawirusa średnio zaraża 2,5 osoby. Stąd reżim sanitarny i dążenia wszystkich krajów, by nie dopuścić do rozprzestrzeniania zakażenia. – Wirus jest zagrożeniem przez swoją powszechność. Musimy zatrzymać jego lawinowy postęp. Temu służą kwarantanny, szybka izolacja chorych, unikanie zgromadzeń – mówi dr Grzesiowski.

Koronawirusy są wrażliwe na powszechnie dostępne środki dezynfekcyjne: niszczą one otoczkę wirusa, a więc i jego samego. Stąd apele o częste i dokładne mycie rąk. – Mydło spłukuje koronawirusa; może być to zwykłe mydło albo nawet płyn do mycia naczyń, tylko ręce trzeba myć dokładnie co najmniej przez co najmniej 20 sekund – dodaje doc. Kuchar. Ponieważ można się również zarazić, dotykając klamki, poręczy w autobusie czy koszyka w supermarkecie, trzeba unikać odruchowego dotykania rękoma śluzówek – okolic ust, nosa i oczu, często myć ręce lub odkażać je płynem do dezynfekcji z dodatkiem alkoholu. Wirus ginie potraktowany środkami dezynfekcyjnymi zawierającymi chlor czy 60–70 proc. alkoholu. Ważne, by często czyścić przedmioty, które mają kontakt z twarzą – np. okulary, a także ekran smartfona. Są doniesienia o tym, że organizm wydala wirusa także ze stolcem – dlatego należy dokładnie czyścić i dezynfekować toaletę.

Ograniczoną efektywność ma za to noszenie maseczek – nie rekomenduje tego WHO. – Maseczki powinni nosić chorzy, bo to zapobiegnie rozprzestrzenianiu się wirusa. Noszenie maseczek przez osoby zdrowe nie chroni przed zakażeniem. Maseczki bawełniane nie zatrzymują cząstek wirusa, musiałyby chronić też oczy i posiadać filtry antywirusowe – mówi doc. Kuchar. – Najważniejsze jest to, żeby wirus jak najwolniej się rozpowszechniał. Osoby, które mają objawy infekcji, katar, kaszel, gorączkę, niech zostaną w domu. W szpitalu powinny znaleźć się osoby, które mają poważne objawy, takie jak wysoka gorączka i duszność – dodaje dr Grzesiowski.

SZCZEPIONKI I LEKI

W kwietniu w Narodowym Instytucie Alergii i Chorób Zakaźnych w Bethesda (USA) mają rozpocząć się badania kliniczne pierwszej fazy szczepionki przeciw SARS-CoV-2. Wyniki będą znane za kilka miesięcy, jednak cały proces wraz z rejestracją może zająć rok czy półtora roku. Nie ma leków przeciw SARS-CoV-2, jest możliwe tylko leczenie objawowe; w przypadku niewydolności oddechowej konieczne jest mechaniczne wspomaganie oddychania. Poszukuje się leków, które mogłyby pomóc najciężej chorym. Obecnie są prowadzone próby stosowania leków przeciw wirusowi HIV oraz leków przeciwgrypowych.

Profesor Christian Drosten, wirusolog z berlińskiej klinki Charite, stwierdził niedawno, że przypuszczalnie koronawirusem zarazi się 60–70 proc. osób. – Być może nawet więcej, jednak najważniejsze jest to, w jakim to stanie się czasie. Ważne, żeby ten proces opóźnić, bo jeśli w Polsce zachorowałoby milion osób, to 30 tys. z nich mogłoby umrzeć. Spowodowałoby to paraliż systemu ochrony zdrowia i całej gospodarki. Jeśli zachorowania rozłożą się w czasie, to osoby, które przechorowały, nabędą odporność i nie będą zarażać – mówi dr Grzesiowski. Dzięki temu epidemia będzie powoli wygasać.

Cechą wirusów jednoniciowych RNA (a do takich należy SARS-CoV-2) jest to, że mutują. – Zwykle różnice są niewielkie, natomiast może się zdarzyć większa mutacja, na którą nie będziemy mieć odporności, i wtedy może pojawić się kolejna epidemia, podobnie jak to się dzieje co kilka lat w przypadku grypy. Jest ryzyko, że SARS-CoV-2 zmutuje do wersji bardziej zjadliwej, jednak może też zmutować w wersję łagodniejszą, utraci zdolność ataku bezpośrednio płuc i stanie się kolejnym wirusem przeziębieniowym – mówi dr Grzesiowski.

Kolejne miesiące musimy po prostu przetrwać – bez paniki. Dbając o odporność, myjąc ręce, chroniąc drogi oddechowe, unikając kontaktu z chorymi i uważając, by nie zachorowali najsłabsi. Nie lekceważąc wirusa: z najnowszych doniesień wynika, że osoby, które przeszły zapalenie płuc spowodowane koronawirusem, może dojść do włókienia płuc, które postępuje mimo wyleczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 5a2134d4e1

RYCERZE I WARCHOŁY

Tuhaj-bej rozserdywsia duże!

JACEK KOMUDA

Zakamieniały wróg Lachów – jak opisywał go Sienkiewicz, pierwszy raz pojawił się na widowni dziejowej w 1642 r., kiedy został bejem Perekopu. Karierę zaś zaczął tyleż szumnie, co nieszczęśliwie. Został bowiem wodzem wyprawy Tatarów na Rzeczpospolitą. Poniosła ona klęskę 30 stycznia 1644 r. w bitwie pod Ochmatowem. „Goniony nieprzyjaciel wiele trupa swego zostawił, wiele w niewolę podał. Siła ich porzuciwszy wszystko i konie nawet, w lasy pieszo poszli. Ostatek noc bardzo ciemna okryła" – wspominał Stanisław Oświęcim.

Bitwa pod Ochmatowem była, jak podaje Leszek Podhorodecki, największym zwycięstwem wojsk polskich nad Tatarami w pierwszej połowie XVII w. Zachęciła króla Władysława IV do przygotowania planów wojny przeciwko Turcji. W jej wyniku spodziewał się podbić Chanat Krymski i wyzwolić spod władzy sułtana ludy bałkańskie. Jak pokazał czas, plany – choć w końcu ograniczone do wojny przeciwko Chanatowi – doprowadziły jednak do wybuchu na Ukrainie powstania Kozaków pod wodzą Bohdana Chmielnickiego.

Tuhaj-bej nie został ukarany za klęskę. Godność beja utracił, ponieważ wziął udział w buncie tatarskich arystokratów przeciwko chanowi Islamowi Gerejowi III w 1645 r. Odzyskał ją dopiero, kiedy urząd wezyra objął Sefer Gazi aga, postać niezwykle barwna. Wezyr najpierw zbuntował się przeciwko chanowi, został jednak uwięziony i skazany na śmierć. Na szczęście dla jego głowy pozycja nowego władcy była zbyt niepewna, aby karać tak wpływowego polityka. Islam Gerej zatem ułaskawił Sefera Gaziego i przywrócił mu dawne stanowisko. Wezyr zaś wywyższył znowu także Tuhaj-beja.

Sienkiewicz przekazał nam w „Ogniem i mieczem" wizerunek

FOT. WIKIPEDIA

beja jako pohańca szarpiącego Rzeczpospolitą. Niestety, ten obraz powstania Chmielnickiego to zwykłe bajędy. Mają one tyle wspólnego z prawdą historyczną, co sanacyjne wspominki dotyczące polityki II Rzeczypospolitej, która doprowadziła do klęski we wrześniu 1939 r.

W rzeczywistości to Chanat Krymski czuł się zagrożony przez przygotowywany sojusz dwóch potęg – Rzeczypospolitej i Moskwy – które zmierzały do jego likwidacji. Świadczyły o tym przygotowania do wojny wszczęte przez Władysława IV, wyprawy Aleksandra Koniecpolskiego i Jeremiego Wiśniowieckiego w głąb Dzikich Pól. Tymczasem pozycja chana była słaba, podkopywana przez ledwie uspokojony bunt tatarskiej arystokracji. Ciekawe, że Islam Gerej III był niemal polonofilem. W 1629 r., w czasie wyprawy na Rzeczpospolitą, dostał się do niewoli, gdzie był traktowany dobrze, nauczył się polskiego i zaprzyjaźnił z Tomaszem Zamoyskim, synem sławnego Jana, założyciela Zamościa. Jednak kiedy pod koniec 1647 r. zbiegły na Zaporoże Chmielnicki pokazał Tatarom wykradzione listy będące dowodem na to, że król Polski przygotowuje wojnę, zdecydował się wysłać Zaporożcom na pomoc Tuhaj-beja z kilkoma tysiącami ordy nogajskiej. Chan i wezyr nie zakładali wojny z Rzecząpospolitą, a raczej wywołanie kolejnego powstania kozackiego, które z kolei uniemożliwiłoby wojnę z Krymem. Nikt nie wątpił, że Kozacy zostaną pokonani, więc przy okazji Islam Gerej pozbyłby się kolejnego kłopotu – Zaporożców. W razie klęski mógł zwalić całą winę na Tuhaj-beja.

Przybyły do Chmielnickiego bej perekopski został dowódcą połączonych sił kozacko-tatarskich i to właśnie on pokonał wojska koronne pod Żółtymi Wodami. Nie mogło być inaczej, gdyż kozacki wódz dysponował na początku buntu zaledwie 900 Zaporożcami. Jest niemożliwe zatem, aby przejął dowodzenie nad kilkutysięczną ordą Tuhaj-beja. Stosunek sił zmienił się dopiero przed bitwą pod Korsuniem, kiedy siły Chmielnickiego wzmocnione przez Kozaków rejestrowych i czerń z Ukrainy zaczęły górować liczebnie nad Tatarami. Ordyńcy Tuhaj-beja mieli decydujący udział w ataku i rozerwaniu polskiego taboru, który wpadł w zasadzkę w Grochowej Dąbrowie pod Korsuniem, a następnie w pościgu za uciekającymi. Bej perekopski wziął udział w kolejnych wyprawach na Rzeczpospolitą – choć nie było go pod Piławcami – dotarł wraz z Chmielnickim pod Lwów i Zamość, który oblegano od 6 do 23 listopada.

Tuhaj-bej zginął w 1651 r., trzeciego dnia bitwy pod Beresteczkiem, w krytycznym momencie, kiedy do natarcia ruszyła polska piechota i ostrzelała poczet chana. Został śmiertelnie ranny – prawdopodobnie dosięgła go kula z działa lub muszkietu; być może to on był owym „znaczniejszym Tatarem", który spadł z konia, wywołując panikę u samego Islama Gereja, opisaną w pamiętniku Albrychta Stanisława Radziwiłła. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

JACEK WILK ZDRADZA SPOSÓB NA PUSZYSTE NALEŚNIKI

Lubię tradycyjną kuchnię według przepisów, które w naszej rodzinie przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Jestem wielkim fanem zup. Jedną z moich ulubionych jest barszcz czerwony. Po mamie odziedziczyłem przepis na pyszny gęsty barszcz gotowany z dużej ilości buraków, które wręcz nie mieszczą się w garnku i wystają w trakcie gotowania. Wtedy barszcz wychodzi bardzo esencjonalny, wręcz gęsty, daleko do niego restauracyjnym barszczom, które często bardziej przypominają farbowaną wodę. W moim rodzinnym domu jadało się barszcz – zwłaszcza w Wigilię, ale nie tylko wtedy – z fasolą. I bardzo mocno doprawiony. Drugą z moich ulubionych zup jest klasyczna zupa jarzynowa – na ziemniakach, pietruszce, selerze, porze, marchewce itp.

Cenię proste przepisy, ale mające w sobie coś, co nadaje potrawom pewnej wyjątkowości. Na przykład do kurczaka używam specjalnej panierki panko, którą albo można przyrządzić samemu, albo kupić gotową w sklepie. Rozbijam mocno mięso, obtaczam w mące, następnie maczam w roztrzepanym jajku i na koniec przed smażeniem w panierce.

Staram się gotować tak, by moje dzieci jadły z przyjemnością. Najbardziej smakują im moje naleśniki, które uważają za najlepsze na świecie. Robię je według bardzo prostego przepisu mojej mamy. Oprócz jajek, mleka i mąki dodaję do ciasta łyżkę oleju. To sprawia, że są wyjątkowo puszyste. Do tego oczywiście cukier i, o dziwo, całkiem sporo soli. Najlepsze naleśniki wychodzą, gdy smażymy je na smalcu, choć ostatecznie można też użyć margaryny lub masła. Wszystkie te niuanse sprawiają, że naleśniki zawsze wychodzą doskonałe, a przepis sprawdza się od pokoleń. Jako dziecko pomagałem mamie, robiąc te naleśniki, a dziś towarzyszą mi w kuchni moje dzieci, które chętnie uczestniczą w mieszaniu mąki, świetnie się bawią, a przy okazji przyzwyczajają się do pewnych domowych obowiązków. No i co najważniejsze – zawsze z przyjemnością je jedzą. Oczywiście zwinięte w rulon, bo takie naleśniki są najlepsze! ©℗

oprac. raw

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Jacek Wilk jest politykiem Konfederacji, był posłem VIII kadencji Sejmu.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Inès broni Europy

INÈS DE LA FRESSANGE „PARYSKI SZYK" REBIS

Mit paryżanki, powielany przez nie wiem już które pokolenie, ma się dobrze. Zmistyfikowana istota zamieszkująca miasto nad Sekwaną stała się ikoną międzynarodową, obiektem kultu i pożądania. Zawsze piękna, szczupła i elegancka, żywi się ostrygami, popijając je winem, i tym pokarmom zawdzięcza smukłą sylwetkę i dobry nastrój. W każdej chwili gotowa do flirtu, skropiona perfumami Chanel roztacza wokół siebie niepowtarzalną woń piękna i elegancji.

Szczególne powodzenie mit ten ma wśród Amerykanek. W Internecie można znaleźć kilkanaście poradników, jak zostać ową mityczną istotą, mieszkając w stanie Idaho. Napisane są przez Amerykanki – ma się rozumieć.

Kiedy jednak książkę napisze sama Francuzka, rzeczy mają się trochę inaczej. W książce Inès de La Fressange „Paryski szyk" (ładnie wydanej przez Rebis) nie znajdziemy tego niewolniczego naśladowania pseudoidolek, tak irytującego u Amerykanek. Tutaj są konkretne rady i sporo autodystansu. Przeczytałam tę książeczkę z dużą przyjemnością, choć z zasady jestem przeciwniczką poradników. Ten jest jednak rzeczowy, dowcipny, zawiera dużo praktycznych rad oraz informacji dla turysty z wizytą w Paryżu.

Czy rzeczywiście paryżanki są godne naśladowania? W czym są lepsze od nas? Przecież mamy globalizację, wszędzie te same sklepy, marki, sieciówki, zanikają różnice między krajami i miastami, ulice stolic świata zaczynają wyglądać podobnie. Co tu może mieć do powiedzenia Inès de La Fressange, francuska modelka, projektantka, arystokratka i tzw. osoba z towarzystwa, zresztą pani po pięćdziesiątce?

Otóż właśnie przy lawinowej globalizacji, przy szybkiej modzie, która każe wszystko zmieniać, wyrzucać stare i kupować nowe (obecny trend „ekologiczny" to nowy chwyt marketingowy) Inès de La Fressange broni europejskiej elegancji, która obecnie jest w defensywie. Ustępuje pod naporem buldożera amerykańskich marek, takich jak Vetements, Off White czy Supreme, które rozjeżdżają wszelkie znane dotąd zasady europejskiego ubrania. Agresywnym marketingiem usiłują złapać klienta, zwłaszcza młodego, za gardło, czytaj – za portfel. Forsują styl przedmieść, wulgarną tandetę, której jedyną wartością jest wielkie logo. „Paryżanka jak ognia unika rzeczy z widocznym logo, nawet jeśli to najnowszy trend". To samo robią wielkie korporacje mody, właściciele znanych marek.

Styl Inès nie woła na ulicy: „Patrzcie na moje drogie ciuchy i zazdrośćcie". To elegancja nowoczesna, organiczna, niewystudiowana. Delegatura Francji na zagranicę. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Peugeot 208

SAMOCHÓD ROKU 2020

Międzynarodowe dziennikarskie jury z 23 europejskich państw najlepszy europejski samochód roku wybierało w tym roku z 35 modeli. W finale znalazło się siedem aut: małe miejskie Peugeot 208 i Renault Clio, dwa kompakty: Toyota Corolla i BMW Serii 1, superauta Porsche Taycan i Tesla Model 3 oraz jeden crossover Ford Puma. W głosowaniu jury – które tytuł auta roku przyznaje od 1965 r. – zwyciężył niespodziewanie malutki i zwyczajny Peugeot 208.

Miejski francuski samochodzik z lwem na masce jest dostępny z trzema rodzajami silnika – benzynowym, dieslem i elektrycznym – a jego ceny zaczynają się w tym roku od 55 tys. zł. Drugą lokatę zajęła Tesla Model 3 (do kupienia za ok. 225 tys. zł), a na podium znalazło się jeszcze Porsche Taycan (za biedawersję 4S trzeba dać 454 tys. zł, ale najbardziej wypasione Turbo S kosztuje już 790 tys. zł). Kolejne miejsca w tegorocznym konkursie zajęły Renault, Ford, Toyota i BMW.

Tesla Model 3

Porsche Taycan

LŻEJSZY I MOCNIEJSZY ZAWODNIK MCLARENA

765LT. Tak nazywa się najnowszy model firmy McLaren Automotive. Sportowe superauto jest nie tylko piękne, lecz także piekielnie szybkie. Od zera do pierwszej setki wystrzelimy nim zaledwie w 2,8 s, a na rozpędzenie się od 0 do 200 km/h nowy model McLarena potrzebuje zaledwie 7,2 s. Ograniczona elektronicznie prędkość maksymalna wynosi 330 km/h.

Takie wyśrubowane osiągi umożliwia silnik V8 doładowany podwójną turbiną o mocy 765 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 800 Nm.

Aby zmniejszyć wagę auta do zaledwie 1229 kg, projektanci zastosowali m.in. tytanowy układ wydechowy, tytanowe felgi oraz wiele elementów z włókna węglowego (od przedniego zderzaka poprzez dyfuzor do aktywnego tylnego spojlera). W ramach walki ze zbędnymi kilogramami wyrzucono też klimatyzację i system audio. Oczywiście przy zakupie można kazać producentowi je przywrócić, ale wiąże się to z dodatkową opłatą. Cena nie została jeszcze ogłoszona. Tanio jednak nie będzie, bo producent zamierza wypuścić na drogi zaledwie 765 egzemplarzy 765LT. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

OKIEM JASTRZĘBIA

Nogi, nogi, setki nóg

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Zacznijmy od nogi tej bardzo znanej piosenkarki, której akurat mogą państwo nie znać, ale pomogę. Stopa Eweliny Lisowskiej (lat 28) stała się przebojem Internetu, gdyż pani Ewelina wsadziła ją sobie do buzi. No takie mamy czasy, nic zrobić z tym się nie da. Pani Ewelina jest piękna, młoda i utalentowana i dlatego ludzie twierdzą, że obgryza sobie paznokcie u stóp. Nie żartuję. Prawda, że dziwne? Zawiść zawiścią oraz zazdrościopodłością. Ale komu by do głowy przyszło, żeby imputować piosenkarce, że akurat z powodu stresu ogryza paznokcie nogowe? A ludziom przyszło. Niezmierzone są wyobraźni moce. I pani Ewelina na takiej aplikacji dla młodziaków nagrała filmik, w którym pokazuje, czy to w ogóle byłoby możliwe, żeby wsadziła nogę do ust. Jednak nie wiem, po co to zrobiła, gdyż udowodniła tym niegodną tezę nienawistników, że mogłaby teoretycznie zrobić to, co jej się zarzuca. Po co więc ta akcja samoobciążająca? Może dla sławy? To takie dziwne.

Druga noga ma jednak zupełnie inną wagę, druga noga to stopa polityczna, dla niektórych wręcz stopa wolności, dla innych noga bezkarności i o zupełnie inne chodzi zarzuty. To noga samego Władysława Frasyniuka i oskarżona była ta stopa o kopnięcie policjanta, co było rozpatrywane w kategoriach przestępczych. Pan Władysław poszedł mianowicie sobie protestować, bo lubi i może, i w trakcie tychże protestów, według policji i prokuratury, kopnął policjanta stopą właśnie, czym naruszył jego cielesność. Pana Władysława ze stopą postawiono przed sądem i sąd niższy uznał, że owszem, stopa kopnęła i że Władysław też szarpał (w czym stopa nie brała udziału, ale Władysław i owszem). Pan Władysław został uznany za winnego, ale sprawę warunkowo umorzono z powodu niskiej szkodliwości stopy. Tfu, przepraszam, z powodu niskiej szkodliwości czynu oczywiście. Ale sąd wyższy, czyli apelacyjny, uznał, że sprawę całkowicie trzeba umorzyć. Zaręczam, że nikt nie jest w stanie zrozumieć tego wyroku, gdyż brzmi on tak (z uzasadnienia ustnego, bo pisemnego nie ma): co prawda Frasyniuk naruszył nietykalność cielesną policjanta, ale jego czyn nie jest szkodliwy społecznie w stopniu wyższym niż znikomy.

Najbardziej zdumiewające polski sąd zostawił jednak na koniec. Otóż pani sędzia stwierdziła, że wyrok nie jest żadnym tam przyzwoleniem na „przestępne naruszanie nietykalności cielesnej funkcjonariuszy policji", co można interpretować na dwa sposoby. 1. Tylko Frasyniukowi wolno kopać gliniarzy. 2. Drugi sposób może nie istnieć.

Serdecznie państwa pozdrawiając, odradzam sprawdzanie, czy w państwa przypadku sąd byłby tak łaskawy jak w przypadku Frasyniuka. Równość wobec prawa nie oznacza bowiem w Polsce, że wszystkie stopy są takie same. ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Tunel bez światełka

MARCIN MAKOWSKI

Przyznam się państwu do czegoś wstydliwego. Uwielbiam czytać wywiady z Krystyną Jandą. Takiego stopnia emocji, pasji, rozedrgania, teatralności i emfazy nie znajdziemy gdzie indziej. Aktorka od pięciu lat żyje na granicy wyparcia rzeczywistości oraz pełnego rezygnacji buntu. Gdy budzi się, myśli o Jarosławie Kaczyńskim łamiącym konstytucję, gdy zasypia – o Andrzeju Dudzie, który z uśmiechem żyruje gwałcenie polskiej demokracji. I oto przytrafiła się okazja do lektury kolejnej wiwisekcji intelektualnej wielkiej aktorki, przeprowadzonej przez Dorotę Wysocką-Schnepf w „Gazecie Wyborczej". – Jak się pani żyje w Polsce PiS? – zaczyna była prowadząca „Wiadomości". – Ojej, to jest pytanie killer! Jakby mnie pani uderzyła w głowę tasakiem, od razu! – odpowiada Janda. Dalej leci jak z górki. I jest wszystko, czego można się spodziewać.

Po pierwsze – życie w cieniu wszechmocnej partii. – Ja cierpię z powodu lasów, zwierząt. Doprowadza mnie to do absolutnej rozpaczy i nie rozumiem, dlaczego my wycinamy te drzewa. Czy oni wiedzą, ile takie drzewo produkuje tlenu? Mieszkam w Milanówku otoczona drzewami i patrzę na to z przerażeniem. Wycięto tyle tak pięknych alei. Nie mogę zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi – mówi artystka. Po drugie – rozczarowanie kryptopisowcami. – Nienawidzę też tego symetryzmu. Doprowadza mnie to po prostu do szału. Co z czym ma być symetryczne: morze z górą? Białe z czarnym? – pyta Janda. Po trzecie – nieustanne poczucie nierzeczywistości świata, w którym się przebywa. Kilka przykładów: „Przebudzeniu i zasypianiu towarzyszy śledzenie tego, co się stało, jak się stało, dlaczego się stało. Koszmar", „Jednego dnia się budzę i mam najgorsze myśli", „Po prostu mam uczucie, że śnię. Że żyję w świecie, gdzie już nie ma ani sprawiedliwości, ani prawdy, ani logiki. Jest tylko jakiś zakręcony szał. Jakieś tsunami, które nas zagarnia i które nie ma końca" itd.

Po czwarte – manifestowanie buntu intelektualistki wobec wywyższenia miernot. – Coś, co zawsze uważaliśmy za dobre, za honorowe, za sprawiedliwe, jest wyśmiane. Ludzie wykształceni są pogardzani. Siostra Małgorzata, Jurek Owsiak, pani Ochojska… – żali się Krystyna Janda i ciągnie dalej. – Niewiedza się stała normą, brak wykształcenia, to jakby nie jest żaden wstyd, że się czegoś nie wie, nie rozumie. Jest kryzys – taka prawdziwa pogarda dla inteligencji. […] To jest nobilitacja nieuctwa, chamstwa, nobilitacja bardzo powierzchownego życia i powierzchownego spojrzenia na świat i ludzi – czytamy. Na koniec zapytana o nadzieję, aktorka odpowiada: „Jeżeli pan Duda zostałby prezydentem na kolejną kadencję, to nadziei nie ma żadnej. To byłby tunel bez światełka. I wielu ludzi już to rozumie".

A potem wraca na swojego Facebooka i dodaje kolejnego mema z cytatami, których dany polityk nigdy nie wypowiedział. I tak to się kręci. ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Epidemie i wojny kulturowe

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Brytyjski premier Harold Macmillan zapytany przez dziennikarkę tuż po wygranych wyborach, co może stanąć na przeszkodzie realizacji jego politycznych planów w nowej kadencji, odpowiedział: „Wydarzenia, droga pani, wydarzenia". Potęgę wydarzeń odczuwamy wszyscy. Kto na początku stycznia mógłby przypuścić, że takie piętno na toczącej się kampanii prezydenckiej odciśnie wirus z Chin. A przecież koronawirus przyćmił inne niespodziewane „wydarzenia" – napięcie wokół Iranu i środkowy palec pani poseł Lichockiej.

Dzięki wirusowi zakwitło w naszym kraju dziennikarstwo śledcze. Uwielbiam oglądać rozemocjonowanych dziennikarzy odkrywających przed swoimi widzami – na podstawie rzecz jasna sprawdzonych i wiarygodnych źródeł – że należy myć ręce, i to mydłem. W epoce Internetu i coraz bardziej wyrafinowanej telefonii komórkowej prawdziwym newsem była instrukcja mycia rąk mydłem zaprezentowana w prime timie przez generalnego inspektora sanitarnego. Co tam technologia 5G, gdy nie każdy wiedział, że trzeba myć mydłem także „przestrzenie między palcami", a nawet kciuki. Jak to robić, każdy sobie może zobaczyć w necie.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Wirus wszedł do polityki. Najpierw próbowała go rozgrywać opozycja, następnie zajął się nim obóz rządzący. Ktoś najwyraźniej w KPRM przeczytał podręczniki psychologii społecznej, które mówią, że w chwili powszechnego zagrożenia naturalną reakcją większości obywateli jest skupianie się wokół rządzących. No i nie ma co ukrywać, wirus „przykrył" inne niewygodne „wydarzenia", jak chociażby sposób „poprawiania włosów" przez wspomnianą panią poseł.

A przecież wirus nie wyczerpał swojego potencjału, na przykład jako poręczne narzędzie odkrywania fatalnego wpływu, który na stan zdrowotny naszego społeczeństwa wywiera dominujący ciągle nad Wisłą katolicyzm. Zanim głos w tej sprawie, jak zawsze wnikliwie i nieszablonowo, zabierze pani dr Spurek z UAM i PE, podzielę się na tych łamach cząstkowymi wynikami moich badań nad zjawiskiem antykatolicyzmu w Europie od czasów nowożytnych.

Otóż katolicyzm jako zagrożenie epidemiologiczne pojawia się po raz pierwszy w kręgach protestanckich. Dość wspomnieć, że za kataklizmy, które w latach 1665–1666 spadły na Londyn (dżuma i wielki pożar), powszechnie obwiniano „perfidnych jezuitów". Towarzystwo Jezusowe (wtedy mocno wierzące) oskarżano również o rozpowszechnianie takich szkodników niszczących plony jak filoksera. Jak bardzo ta antykatolicka (antyzakonna) paranoja udzieliła się również oświeceniowym elitom, mówi to, że szwedzki biolog Linneusz w swojej słynnej klasyfikacji roślin i zwierząt jednego ze szkodników żerującego w lasach nazwał Lymantria monacha, czyli brudnica mniszka.

Dostrzeganie ścisłego związku między katolicyzmem a złym stanem higieny, tym samym zaś zagrożeniem epidemiologicznym, należało do wokabularza walczących o nowoczesność i postęp liberalnych elit, promujących XIX-wieczne „wojny o kulturę" (tj. narzucaną odgórnie laicyzację). Na przykład w liberalnej prasie niemieckiej w okresie wielkiego natężenia ruchu pielgrzymkowego w 1844 r. z okazji wystawienia w trewirskiej katedrze (po raz pierwszy od 1810 r.) Świętej Szaty pisano, że pielgrzymki tych „wszystkich niedomytych ludzi" (wiadomo, katolicy to brudasy) grożą epidemią biegunek, a nawet cholery.

Ta ostatnia nawiedziła Europę w 1848 r. Prasa liberalna w portowej Genui na poważnie utrzymywała (i nawet powtórzyła to w 1854 r. przy kolejnym nawrocie zarazy), że przyczyna nieszczęścia leży w złej wentylacji miasta. Wystarczyłoby wyburzyć kilkadziesiąt klasztorów i kościołów w centrum miasta, by stworzyć tak potrzebne korytarze powietrzne. A ile ośrodków „ciemnoty i zabobonu" przy tej okazji by zniknęło!

Do podobnych wniosków doszedł Rudolf Virchow, badając w 1848 r. przyczyny epidemii cholery na Śląsku. Nieprzypadkowo, zdaniem wybitnego niemieckiego fizjologa, a politycznie liberała, epidemia zdarzyła się w katolickiej prowincji. Katolicy „nauczeni przez księży, że dbanie o higienę ciała jest czymś grzesznym" w naturalny sposób są grupą podwyższonego ryzyka. W kolejnych dekadach niemiecka nauka poszła ostro do przodu i pod koniec XIX w. pisano w prasie liberalnej w Badenii o „odmiennym kształcie czaszek" miejscowych katolików, co miało wyjaśniać ich „kulturowe zapóźnienie". ©℗

eprasa.pl 5a2134d4e1

fot. Jerzy Gumowski

Zwyczajny

Wedle zasady *„co się odwlecze, to nie uciecze”* i porzekadła *„lepiej późno niż wcale”* — odnoszę się dzisiejszym tekstem do wezwania Piotra Goćka sprzed paru miesięcy. W numerze 40/2019 ***„Tygodnika Lisickiego”*** pan Gociek zaanonsował Czytelnikom, że ukazała się nowa biografia cesarza Napoleona, której autorem jest Adam Zamoyski, dodając: *„Niecierpliwie czekam na recenzję pióra naszego autora, Waldemara Łysiaka”*. Doczekał się pan, kolego.

Adam Zamoyski to brytyjski historyk polskiego pochodzenia (jak sama nazwa wskazuje), jego książki są na polski tłumaczone. Tłumaczone z *„języka obcego”* lingwistycznie (angielskiego) i z języka obcego etycznie vel światopoglądowo (salonowego), gdyż ów gość (o czym felietonując wzmiankowałem już niegdyś kilka razy) to typowy politpoprawny produkt nowego Kominternu, internacjonalSalonu. Jaki tedy może być wysmażony przezeń wizerunek *„korsykańskiego uzurpatora”*, jeśli ów Salon głęboko Napoleona nienawidzi (choćby za to, że ten przywrócił we Francji religię katolicką zniesioną dekretem jakobinów i tępił wszelkie przejawy lewactwa), o czym sporo już pisałem. Nie tylko ja zresztą. By nie wychodzić poza obszar królowej Elżbiety II przywołam również Angola — John Lichfield: *„Europejski (angielski i kontynentalny) oligarchiczny establishment robi wszystko, aby odrzeć Napoleona z wielkości — aby zdezawuować tak jego gigantyczne (prawodawcze, egalitaryzujące i in.) dokonania, jak i jego wspaniałą osobowość. Merytokracja napoleońska zawsze budziła ich furię, nie wystarczyło im więc militarne pokonanie tego człowieka, muszą wciąż odprawiać nad nim egzorcyzmy dla umniejszania jego nimbu”* (2002). Co właśnie czyni *„historyk”* Zamoyski, kolejny *„odbrązawiacz”* Napoleona w karnym szeregu antybonapartystowskich salonowców, których uwiera, że od 200 lat na całym świecie imię Napoleon jest synonimem słowa: geniusz.

Już przedmową 900–stronicowego woluminu Zamoyski bez żenady ujawnia swój *„point of view”*: *„Napoleon był kimś całkiem zwyczajnym (...), trudno mu przyznać status geniusza (...) Był sprytnym małomiasteczkowym manipulatorem”* (wszystkie cytaty w tłumaczeniu M. Ronikiera). Po czym prawie tysiącstronicowo tokuje o tej tuzinkowości Bonapartego, perswadując, że tylko *„zdolności w dziedzinie autopromocji”* zezwoliły Napoleonowi *„wykreować własny wizerunek człowieka niezwykłego, odnoszącego sukcesy”*. Puenta: *„Był* [Napoleon] *po prostu widocznym przejawem choroby tamtych czasów”*. Moim zdaniem: nikt bardziej niż salonowcy nie jest widocznym przejawem choroby dzisiejszych czasów.

Od razu też (na samym początku tomiszcza) deklaruje Zamoyski, że z nieufnością traktował jako źródła pamiętniki sympatyków Bonapartego (Bourrienne i in.) tudzież opracowania korzystne dla Napoleona, preferując świeże biografie/monografie zaciekłych antybonapartystów, zwłaszcza francuskich, choćby Thierry'ego Lentza. Francuskie postSartre'owskie elity są od dekad tak makabrycznie zgoszyzowane (Houellebecq nazywa je *„lewacką hołotą intelektualną terroryzującą życie kulturowe i naukowe”*), że antybonapartyzm stanowi tam jedno z ekshibicjonistycznych *„wyznań wiary”* salonowców, więc trudno się dziwić, iż w ankiecie telewizji France 2, mającej wyłonić najznamienitszych Francuzów (2005), Napoleon zajął… 16 miejsce, wyprzedzony m.in. przez komików Bourvila i Coluche'a. Zamoyski dałby mu pewnie pozycję jeszcze dalszą, ma bowiem do zarzucenia Korsykaninowi mnóstwo wad, grzechów i niedostatków. Mnie to wkurza, bo ów *„historyk”* przypisuje Bonapartemu rzeczy/cechy afaktograficzne/ahistoryczne/absurdalne, m.in. *„libertyńskie instynkty”* (Napoleon był wrogiem libertynizmu), *„zmienianie poglądów”*, *„dziwny brak empatii”*, *„nieeleganckie zachowanie”*, *„niezręczny sposób poruszania się”*, i nawet *„jakobinizm”* (sic!), mimo że Bonaparte został pogromcą i grabarzem jakobinizmu (rozdział VII ma w cegle Zamoyskiego bezsensowny tytuł: ***„Jakobin”***!). Dowiadujemy się też od *„historyka”*, że Bonaparte *„często dłubał w nosie”*, *„był kiepskim jeźdźcem”*, *„nie był dobrym mówcą”* i *„był zdolny do makiawelicznych kalkulacji”*. Wszelkie pozytywne (nie mówiąc już o entuzjastycznych) opinie na temat cech/zachowań Korsykanina Zamoyski opatruje klauzulą, że *„trzeba te opowieści traktować ze sporą dawką sceptycyzmu”*.

Lektura *„dzieła”* (a przeczytałem uważnie) wykazuje, że *„ze sporą dawką sceptycyzmu”* autor potraktował nie tylko wszystko co dobrego powiedziano kiedykolwiek o Cesarzu, lecz i wszystkie jego duże (czy nawet epokowe) osiągnięcia, zaś zdarzenia z życia Korsykanina szczególnie zasługujące na miano *„glorieuse”* (jak choćby opiewana przez Puszkina wierszem **„Bohater”** wizyta w lazarecie zadżumionych w Jaffie) zostają pominięte lub zbyte jednozdaniowo. Jednozdaniowo — można rzec *„per noga”* — wzmiankuje autor również sprawy kluczowe, exemplum fakt, że wojna Francuzów i Polaków z Rosją była uderzeniem prewencyjnym, bo A. D. 1811 carat planował frontalny atak na Zachód latem 1812 roku (operacja *„Wielikoje Dieło”*).

Problem pomyłek plus nieścisłości (takich jak choćby liczba ofiar zamachu w paryskiej uliczce Saint–Nicaise) też istnieje u Zamoyskiego, lecz jest rzeczą wtórną wobec problemu przekłamań i ordynarnych kłamstw. Dam przykład rażący. Autor pisze: *„Ludzie z jego* [Bonapartego] *otoczenia, szczególnie żołnierze, nienawidzili tego, że zmusza się ich do udziału w nabożeństwach”*, ale szybko dodaje, iż Cesarz *„odrzucił naukę chrześcijańską — uważał boskość Chrystusa za wątpliwą”*. Nazwać tę opinię absurdem znaczyłoby użyć eufemizmu, jest ona karygodna, w istocie bowiem Napoleon tak mówił o umiłowaniu przezeń Jezusa Chrystusa: *„ — Boskość Chrystusa dociera do mnie dzięki skuteczności Eucharystii. Jego nauka jest istnym cudem, Jego żywot stanowi jedyny wzór. Z Nim wszystko wraca na właściwe tory. Do Niego należą przeszłość, przyszłość i nieskończoność. Jest naszym Ojcem, naszym Bogiem, naszym Przyjacielem”*, etc. Nie bez przyczyny Mickiewicz głosił: *„Boską istotę Chrystusa Napoleon pojmuje i wyjaśnia lepiej niż jakikolwiek teolog. Nie ma komentarza Ewangelii równego temu, który znajdujemy na kilku kartach podyktowanych przez Napoleona”* (1844).

Uziemiając Napoleona metodą tak bardzo odbrązawiającą, że nieomal bliską paszkwilanctwu, Zamoyski mimowolnie (?) sugeruje, iż całe pokolenia dziejopisów hołdujących Bonapartego to były stada durniów. No i wszyscy ci idioci — od Goethego, Mickiewicza i Balzaka, do Askenazego, Kubricka i Łysiaka — którzy deifikowali Cesarza!… Panie Zamoyski, mam dla pana złą wiadomość: ten pański śliski elaborat nie powstrzyma milionów Polaków (wdzięcznych za pobicie i wypędzenie przez Cesarza trzech naszych zaborców w latach 1805–1807) od chóralnego śpiewania z tzw. świętym przekonaniem: *„Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy!”*. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 5a2134d4e1

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

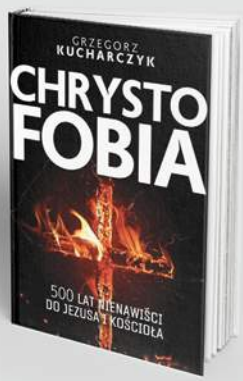

W PREZENCIE
KSIĄŻKA
GRZEGORZ KUCHARCZYK „CHRYSTOFOBIA. 500 LAT NIENAWIŚCI DO JEZUSA I KOŚCIOŁA"

~~347~~ ZŁ > 139,00 ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 208 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 5a2134d4e1